

Tow. Przysiaclól Nauk w Przemysłu.

5507

D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

5507 D

Tow. Przyjaciół nauk w Białymostku.

~~55070~~



NOWELE I SZKICE



1005023765

ELIZA ORZESZKOWA

# NOWELE I SZKICE

TRZY UDERZENIA DZWONU — SERCE DZWONU —  
URYWEK Z ROZMOWY — BYŁO ICH TRZY — ŚPIEWNA —  
PYTANIE — TRZY CHWILE — SŁOWO — MOWA —  
LITERATURA — KILKA SŁÓW O SŁOWACKIM — PRO-  
METEUSZ I SYZYF — MAŁE STWORZENIE — Z RĄK  
DO RĄK — PRZYPOMNIJ! — O JANIE KOCHANOWSKIM —  
NA WSPANIAŁEJ WILHELMSSTRASSE — MUZY — O ZYG-  
MUNCIE KRASIŃSKIM — EXCELSIOR! — NIEMEN



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ  
THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC., NEW YORK

hf

A-19159

Liberat. 13a

**BIBLIOTEKA**  
**UMC.**  
**LUBLIN**

K. 1160/56/455

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.  
□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□



## TRZY UDERZENIA DZWONU.

Dwór to był wiejski, nie wspaniały, nie rozległy, tylko w lipy rozłożyste i w topole strzeliste bogaty, barwami kwiatów niewymyślnych świecący przed domem, którego białe ściany nie wysoko wznosiły się nad ziemię, okryte dachem może i nie ze słomy uczynionym, ale do strzechy słomianej podobnym.

Dzień letni, pogodny, skończył się był przed chwilą, słońca na niebie już nie było i tam, gdzie ostatni rąb ognistej tarczy jego zniknął, łagodna zorza wieczorna zasłala skłon nieba bladem złotem i jasną purpurą.

Od ziemi szły w powietrze pachnące oddechy kwiatów, wstępował w nie zmierzch powolny, nad którym w górze zaświeciło trochę drobnych gwiazd.

Ku górze wzbijały się w zmierzchu strzeliste linje topoli i widać było na tle złotej zorzy, równie jak one ciemną i cięższą, niż one, dzwonnice kościelną.

Ganek domu pełen był niewyraźnych postaci ludzkich. W zmierzchu i wśród gęsto po słupach ganku wi-

jących się pnączy, rysy i kształty ich stawały się niewyraźne i zmacone, ale widać było głowy ciemne, płowe, siwe, ruchy ramion silnych, wątlých, prędkich, powolnych i słyhać było rozmawiające głosy męskie, niewieście, młodzieńcze. Siedziały niewyraźne postacie te na ławach i na niskich stołkach, u samej prawie ziemi, stały u słupów, mając zielone gałęzie pnączy na głowach i ramionach, przybliżały się ku sobie i od siebie oddalały, znikwały w głębi domu i powracały znowu...

Głosy ich zniżowały się, przycichały, spadały do cichego szmeru. Nadeszła pora milczenia natury, wyraźnej na tle zorzy strzelistości topoli, smętnego dogorywania blasków dnia...

Zniżony głos kobiety na ganku przemówił:

— Zaraz na Anioł Pański zadzwonią...

Inny, męski, monotony podjął:

— W Polsce na Anioł Pański dzwonią inaczej, niż na szerokim świecie...

Ktoś dzwięcznie zagadnął:

— Te trzy uderzenia dzwonu?

Kto inny odpowiedział:

— Te, pomiędzy trzema strofami do modlitwy wzywającami, trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu...

— Takie przewlekłe, głębokie i dzwięczne...

— Trzy uderzenia dzwonu za tych...

— Za kogo?

— Gdzieindziej uderzeń tych niema...

— Tych trzech uderzeń kościelnego dzwonu...

— Bo modlitw niema za tych...

— Za kogo?

- Co piekło na ziemi przebyli...
- Za tych są te trzy uderzenia...
- Te, pomiędzy trzema strofami do modlitwy wzywającami, trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu...

## SERCE DZWONU.

Na wyspie, którą wokół oblewało niezmierzone, niezgłębione morze, był raz ogród piękności bajecznej, tulipanami wszystkich barw świata zasadzony, narcyzów śnieżystą bielą jaśniejący. Z narcyzami o biel śnieżystą i większą szerokość źrenic walczyły roje jaśminowych oczu, po wysokich krzakach rozsypane, a nad tulipanami, u ramion pni wysmukłych, w sukniach takich jak słońce, takich jak księżyc i takich jak płaszcze królewskie, gorzały róże. W dole zaś, nisko, do kadzielnic ametystowych podobne, kępy fijołków wonie słodkie w powietrzu rozwiewały i, na tysiączne kolory pomalowane, z pośród traw wychylały się tysiączne liczka bratków. A w górze, wysoko, lipy kwitły, kasztanowe drzewa kiściami kwiatu, jak różanemi pochodniami ogrodowi przyświecały, warkocze smętne brzozy opuszczały na purpurowe, księżycowe i słoneczne róże.

W liściastych, kwiecistych zaciszach ogrodu tego, snopami brylantowymi były w górę fontanny, noszące imiona różne. Jedna z nich nazywała się fontanną Marzeń, druga fontanną Tęsknoty, lecz innych też było

wiele, cichych i szumnych, smaki wód i kolory mających rozmaite.

Mnóstwo motyli, barwami skrzydlate kwiaty udających, latało po tym ogrodzie, słowik często w nim śpiewał, dzwoniły wiecznie skowronki, polatywało różne inne, różnie na skrzydłach malowane ptactwo. I jednego tylko mieszkańca bajecznie piękny ogród doczekać się nie mógł; mówili, marzyli o nim wszyscy, którzy go zwiedzali, nie przybywał. Był to, za morzem niezmiernym, niezgłębionem przebywający — błękitny ptak szczęścia.

I jedna tylko nad bajecznie pięknym ogrodem zawieszona była groźba, jednej troski doznawał ogrodnik, jedno przewidywanie zasępiało czoła zwiedzających. Oto: przychodziły czasem dni, gdy szafirowy strop nieba ukrywał się za brzydkim, albo też strasznym stropem chmur, które na kwiaty, drzewa, motyle, ptaki spuszczały bioze deszczów i płachty nawałnic. A ilekroć chłosta biczów ostrych i ciężar płacht zimnych na ogród spadły, próżen śród wyspy stawał ten puhar rozkoszy, gasł cud, rozwiewał się czar i zdawać się mogło, że nie przyleci tu nigdy już, nigdy błękitny ptak szczęścia.

Co czynić? Ogródnik w księgach się zanurzył i dotąd ich zapytywał, aż odpowiedziały.

— Zawieś dzwon! Pośród ogrodu zawieś dzwon i patrz tylko, aby miał kielich z mocnego spiżu i serce wielkie. Gdy wielkie serce dzwonu o mocny spiż uderzać będzie, powstaną pędy eteru tak wartkie, że rozproszą chmury i rozlegnie się pieśń, którą za niezmie-

rzonem, niezgłębionem morzem usłyszy błękitny ptak szczęścia i — przyleci.

Przywołał ogrodnik architekta biegłego, który pośród ogrodu wznosił cztery niebotyczne słupy, owinał je girlandami ze złota wynobionych akantusowych liści, spoił je łańcuchami ze srebra ulanych nenufarowych kwiatów i na łańcuchach zawiesił spiżowy kielich, w którym kołysało się wielkie spiżowe serce. Lecz nie było ono, to serce, zupełnie spiżowem, gdyż mistrz odlewca, w czarodziejską moc amalgamatów wierząc, do roztopionego metalu, z którego ulaniem zostać miało, wetchnął echo pieśni słowiczej, wlał kroplę z fontanny marzeń i wrzucił różę.

Przyzwał potem ogrodnik mechanika, mistrza słynnego, który nićmi niewidzialnemi tak serce dzwonu ze stropem niebieskim połączył, że gdy mały obłoczek mleczny ukazał się nad nim, już zadrgało i, o ścianę kielicha uderzając, wydało ton, który na usta ogrodnika wywołał radosne słowa:

— O! Muzykant to będzie!

A słowik, który uszko małe ciekawie ku dzwonowi nastawiał, dorzucił:

— I śpiewak! śpiewak!

Czas był, czas wielki robotę około dzwonu ukończyć. Na skrajach widnokregu kłębić się poczynaly niby dymy, bielą żółtawą nasiąknięte, niby góry, wewnętrzny ogniami pobłyskujące, niby otchłanie czarne, wypuszczające w przestrzeń olbrzymów niewidzianych, niesłychanych. Napowietrzne te olbrzymy miały postacie głów bez tułowi, skrzydeł bez głów, łon czarną posoką

wzdętych, ramion od dzikiej żądzы opuchłych i wyprężonych, pędziły ku sobie, spajały się, rosły i szedł od nich ku ziemi powiew zimny jak twarz trupa, szleszczący, jak tuman uschłych liści, z wielkiego lasu zerwany i przez puste pole na wietrze lecący.

Złękły się potworów napowietrznych kwiaty, drzewa, motyle, ptaki, złękło się, znieruchomiło stworzenie wszelkie, w ogrodzie żyjące, rozgorzałe przedtem oblicza róż pobladły, narcyzowe i jaśminowe oczy szeroko rozwarły się i pożółkły, drżały wargi tulipanowych kielichów, kasztanowe pochodnie przygasły, motyle znikły w liściastych gęstwinach i boże krówki, chybkie biegi powstrzymując, czerwonymi centkami osiadły na wyprężonych trawach. I zapanowała tam cisza oczekiwania, cisza odrętwienia, cisza taka, z jaką pod ostrzem topora schyla się twarz skazańca.

A w górze łączyły się, spajały, zlewały z sobą tułowia, ramiona, skrzydła potworów napowietrznych, zbudowały nad ogrodem strop niski, mnóstwem burych kłębów i granatowych wałów zbalwaniony. Były też tam, na tym stropie, pasma gór, które miały wierzchołki ku ziemi obrócone, w łonach ich przelewały się mętne białości z czarnością ponurą i rozwierały się ogniem wystane otchłanie — gniazda błyskawic.

Pod tym stropem, wśród tej ciszy, serce dzwonu zakolysało się w kielichu śpiżowym, powoli zrazu, powoli i, o ściany kielicha uderzając, rozlewało po ogrodzie tony przewlekłe zrazu, przewlekłe, przyciszone, zadumane. Jakby dziwiło się, że ono to właśnie z potworami podniebieskimi do boju ma wystąpić, jakby nad wolą prze-

znaczeń tajemniczych z przecuciem nieszczęścia dumalo, jakby nad brzegiem przepaści chwiało się i na pomoc kogoś czy coś przyzywało...

— Na pomoc! Na pomoc! O szafirze niebieski, przez potwory przeraźliwe od krańca do krańca zakryty! O moce dobre, potężne a litościwe, które nad szafirami mieszkacie! O orły, pod szafirami na szerokich skrzydłach szybujące! O morze niezmierzone, niezgłębione! O upale i blasku słoneczny! O gwiazdy wysokie! Na pomoc!

Taki był początek pieśni dzwonu i chociaż słuchały go stworzenia wszelkie w ogrodzie żyjące, lecz najchciwiej słuchała jedna z rosnących w nim lilij białych. U stóp słupa akantusami owiniętego rosła i, z pod złotego liścia śnieżny kielich wychylając, rzucała ku śpiewającemu dzwonowi duszę swą w woń upajającą zakłątą. Aż dosięgła woń lilji serca dwonu, obudziła duszę roztopionej w nim róży i połączyły się, zwały na mgnienie oka w powietrzu, pełnem grozy, dusze lilji i dzwonu — zakłąte w woniach.

Ale na obudzenie się pieśni słowiczej i kropli z fontanny Marzeń, które mistrz odlewacz razem z różą roztopił w dwonie, czasu nie było. Olbrzymy niebieskie płakać poczęły, a lzy ich, jak zwykle u olbrzymów, rzadkie były, lecz grube i ciężkie. Szelest przeszedł po ogrodzie.

— Klęska! Klęska już nadchodzi! już nadeszła!

Z suchym szelestem przestachu, giąć się pod łzami olbrzymów poczęły kwiaty, liście, trawy, lecz zarazem, jakby szelestem wszystkiego co żyło wezbrane,



gniewem rozmiotane, żądzą ratowania zapalone, serce dzwonu uderzyło w pieśń ogromną, która nad ogrodem zahuczała i gamami wołań potężnych, akordami gromów groźnych w podniebieszkie olbrzymy uderzyła. Niósł ją ku górze, na skrzydłach szumiących, wichher pomiędzy ziemią a niebem latający i piorunowe jej tony ciskał pomiędzy bure kłęby, na granatowe wały, na obrócone ku ziemi wierzchy czarnych gór, w wysłane ogniem gniazda błyskawic.

Aż nagle zciemniało. Nikt nie widział, jak za stropem straszliwym słońce zaszło i wieczór w postaci nocy przyszedł i zarazem sypnęły się na ogród zimne bicze deszczu. Nikt w ciemnościach nie widział, lecz czuć je było we wzdychaniu chłostanej ziemi, w szumie powietrza i w jękach drzew. Uczuł je ogrodnik i, przy świetle kaganka w celi swej pobladły, szeptał:

— Nawałnica zbliża się... nadchodzi... już czuję spadającą płachtę zimną, całun grobowy...

Nie nadchodziła jednak nawałnica, nie spadał całun śmiertelny. Dzwon grał, a pieśń jego była jak gniew, jak rozpacz, jak przekleństwo i jak szal, była ona jak modlitwa i jak płacz. Była ona jak niebo letniej nocy wysoka i wygwiażdżona i w niebo to, co za stropem z potworów, gromami modłów błagalnych, łkaniami płaczów straszliwych bijąca, była opowiadaniem niebu o otchłaniach ziemskich i pozywaniem otchłani, aby na oka niebieskie czarne z męki wargi swe otwierały — była jak ból wszystkiego co żyje niezmienna, niezgłębiona i jak ból wielkiego serca nad wszystkim co żyje, nie mająca granic, ani dna...

Spiz w niej grał. Sam tylko spiz grał w pieśni dzwonu, wśród nocnych ciemności, bijącej w chmury. Spiz w niej grał, który przez ogień przeszedł i wiedział co to gorzenie i męka.

I gdy tak grał — w ciemnościach czyniło się coraz ciszej, ciszej... Nie nadchodziła nawałnica, nie spadał na niewidzialny w cieniu ogród całun śmiertelny... Uciszała się owszem chłosta biczów deszczowych, uciszał się jęk drzew, ziemia ciszej wzdychała...

Spiz dzwonu grał... Spiz wiedzący, że z olbrzymami bój prowadzi, spiz mocny a śpiewny...

Godziny upływały, on ciągle grał. I była pieśń jego czasem jak huk grzmotów, które nawzajem o siebie uderzają, czasem jak mowa ust potężnych, która w pierś olbrzymią wedrzeć się usiłuje, czasem jak wymierzane przeciw tej piersi wystrzały, od których ziemia drży.

Godziny upływały, spiz dzwonu ciągle grał. Sam tylko spiz grał, który przez ogień był przeszedł, więc wiedział co to gorzenie i męka, i co to płomień, i co to w płomieniu śmierć. Gorzeć zdawał się i sercem z płomienia o płomieniejące ściany kielicha uderzać, spiz dzwonu, wiedzącego, że z olbrzymami bój prowadzi, że puchar rozkoszy, że cud i czar świata zbawia, spiz mocny a śpiewny...

Godziny upływały, on jeszcze grał. W ciemnościach, ogród okrywających, zaległa cisza, lecz nie ta, która groźbą i grozą wszystko, co żyje, w kamienie obraca. Była to owszem cisza ukojenia. Taką ciszą oddycha pierś,

gdy z niej spada pancierz bólu, tak szemrzą westchnienia nieśmiało budzących się nadziei...

Coraz więcej wśród ciszy słyhać było westchnień ulgi, coraz śmieiej odzywać się w niej poczynały dzwonki budzącej się radości. To kwiaty wzdychały tak słodko, że będą żyć i kwitnąć, to ptaki podzwaniały tak radośnie, że wnet zobaczą słońce.

Ogrodnik dogorywający kaganek swój zgasił i przez okno celi na ogród wyjrzał...

Co to? Strop niebieski ciemny jeszcze, lecz niema już pod nim potworów-chmur, a są — gwiazdy. Gdzie-niegdzie złotemi oczyma ku ziemi mrugają: pogoda! pogoda! Będzie tu nas zaraz więcej!

I było ich coraz więcej. Ogrodnik zaszeptał, że pieśń dzwonu uratowała ogród, z piensy wydał westchnienie ulgi i po trwodze śmiertelnej — spoczął.

Ale dzwon nie spoczywał i grał, tylko inaczej jak wprzód. Gdy z pod nieba pierzchnęły chmury-potwory, nie wydał z siebie westchnienia ulgi, tylko umilkł na chwilę, a potem znowu rozległa się nad ogrodem pieśń jego, lecz inna.

Słyhać w niej było serce, śmiertelne, zmęczone i ogarnięte tęsknością przedśmiertną, serce czujące, że wyszły zeń siły wszystkie i że wnet umrze.

Nie było w niej triumfu z odniesionego zwycięstwa, ani dumy, ani radości. Było zdumienie głębokie nad tem, że bój wygrany, a radość nie przyszła i nad życiem przewalczonem, przeminionem zaduma bezdenne i żalność po czemś, co w życiu być mogło, nie było. Była w niej

tęskność niezmiernona, niezgłębiona za błękitnym ptakiem szczęścia!

Gdy bój się skończył i siły się wyczerpały, gdy w świetle gwiazd coraz liczniejszych odsłonił się widok puharu rozkoszy, cudu i czaru świata, rozkołysał się dzwon nad otchłanią losów swoich i rozdumało się serce jego nad zagadką oblewającej je tęskności niezmiernonej, niezgłębionej.

Nie sam już spiz w nim grał, lecz kryształowem szemraniem odzywały się krople z fontanny Marzeń i echo słowiczej pieśni w oddali podzwaniać zaczęło.

Czemu zamiast ze spizu nie powstało z krep lekkich, które motylom na skrzydła z krosien swych strąca natura? Czemu nie spadłem z krosien natury gołębiem, który na słodkie noclegi gniazdo pod strzechą spokojną uwija. Czemu z ziemi nie wyrosłem jako ten tulipan, co gdy słońce jaśniało, u stóp złotych akantusów, ku śnieżnemu kielichowi lilji koralowy kielich swój pochylał? Lub gdym stworzon został poto, by w bój z potworami życie swe, jak słomkę w stos gorejący, wrzucić, czemu mistrz odlewca w spiz mój trel słowiczy wetchnął i wrzucił różę? Czemu z pod złotych uplotów akantusowych wyjrzała ku mnie lilja biała? czemu ją ujrział? I czemu dusza jej, w cudnej zakłęta woni, na mgnienie, na jedno, złączyła się z duszą zakłętą we mnie róży? O liljo! O blasku dni pogodnych, gdy motyle na skrzydłach z krep lekkich pocałunki od kwiatu do kwiatu przenoszą! O ciszy gniazd gołębic, loty par jaskółczych, rozwierające się pod gorącym okiem słońca puhary rozkoszy! O czaru serdecznego rzeki, które rzeźwicie pustynie

ziemi! O cuda serdeczne, co po jej ranach płyniecie balsamem i piersiom dajecie długich ukojeń i cichych radości oddechy! O liljo! Woni swej tchnienie jedno przyślij mi... jedno tchnienie woni twej, liljo biała! liljo! błagam cię, ja, który z hucem olbrzymich potworów bój zwycięski stoczyłem... o liljo!

Tak śpiewał teraz dzwon. Pieśń jego była jako błaganie, które wie, że wysłuchane nie będzie, jako westchnienie, które wie, że się po zimnych rozłogach pustyni rozwieje i czyniła się coraz cichszą.

Czyniła się jako dzwonienie rosy, gdy na trawy i kwiaty spada, jako słowiczy trzask, gdy daleko, daleko odlatuje, jako szelest płatków róży, gdy uwiędłe rozlatują się na wietrze. Czyniła się jako melodia, która po klawijaturze życia stacza się coraz niżej, bo dłonie ją wygrywające wszystką moc swą już z siebie wydały i która coraz ciszej, ciszej płynie ku akordowi, mającemu być rozgłosnem, bo ostatniem westchnieniem komania...

Rozległ się pod gwiazdami ostatni akord dzwonu, przeciągłem westchnieniem długo w powietrzu brzmiał i umilkł. Nad uciszonym w przedporankowej sennieści ogrodem, wschodzić poczęło wpółsenne, słodkie, błękitne świtanie.

Gdy białe opary o świtaniu podnoszące się nad ziemią pierzchły i odsłoniły przezysty strop nieba, gdy na niebo i ziemię tarcza słoneczna wyrzuciła pierwsze snopy strzał olśniewająco złotych, ogród ukazał się w ca-

lej krasie swej porankowej, letniej, rajskiej. W perłach i brylantach rosy, strojne i świeże stały narcyzy, tulipany, lilje i jaśminy, w sukniach takich jak słońce, takich jak księżyc i takich jak płaszcze królewskie gorzały róże, fijołki z ametystowych kadzielnic wonie słodkie w powietrzu rozwiewały, wesoło śmiały się tysiączne liczka bratków. W górze pachnące lipy kwitły, kasztanowe drzewa różanemi pochodniami na szerokich ramionach świeciły, warkocze brzoź smętne opadały na gorejące twarze róż i motyle rojem skrzydlatych kwiatów powietrze napełniały, i świetlistych iskier nieprzeliczone mirjady migotały w powietrzu, i rozlegały się w niem dzwonięcia skowronkowe, poloty różnie na skrzydłach małowanego ptactwa, szmery w kwiecistych, liściastych ustroniach fontann, bijących wodami o różnych smakach i kolorach. Pełen po brzegi puhar rozkoszy stał pod stropem szafirowym, pełnym potokiem rozlewał się czar, pełnem światłem jaśniał cud. Wszystko w ogrodzie żyło, kwitło, jaśniało, śpiewało, kochało i najpiękniejsza z jego lilij białych, z pod złotego akantusa wychylona, pełną persią piła porankową złocistość i świeżość, a ku jej koronie, sznurami brylantów owiniętej, koralowy tulipan przychyłał wargi, które przed chwilą złoty owad miodowym lepem przepoił.

Tylko dzwon, wysoko, na łańcuchach z nenufaryowych kwiatów zawieszony, milczał i światło słoneczne do wnętrza kielicha zaglądał zakrwawiło na sercu jego głęboki szram, który był wskrós serca idącym pęknięciem.

Serce dzwonu pękło.

Czy dlatego pękło, że z chmurami-potworami bój zawiodło straszliwy i długi? czy, że mistrz odlewacz, w czarodziejską moc amalgamatów wierząc, do roztopionego spiżu, z którego powstać miało, wetchnął echo pieśni słowiczej, wlał trochę kropel z fontanny Marzeń i wrzucił różę?

Niewiadomo. I to tylko jest pewne, że jakkolwiek od czasu owego, wiele dzwonów staczało nad tym ogrodem walki z chmurami, chmury powracały zawsze i że choć senca dzwonów pośród walk tych pękały, żadne nie zdołało pieśnią swą sprawić, aby zza niezmiernego, niezgłębionego morza przyleciał do ogrodu błękitny ptak szczęścia.

---

## URYWEK Z ROZMOWY.

...Mówi pan, że są na świecie prace wysokie i niskie, takie, co na skrzydłach anielskich wzbijają się pod niebiosy i takie, które jak te, potrzebne w naturze, ale liche robaczki czolągają się po ziemi. Szyncerz i kowal, — mówi pan, — malarka i kucharka...

Nie podzielam zdania tego. Nie praca sama przez się leci pod niebo lub pełza po ziemi, ale dusza, która pracę tę wykonywa. Jeżeli dusza przyziemna, to pracę za najwyższą poczytywaną ku brudnej ziemi przygnie, jeżeli lotna, najniższą uniesie w błękity.

Jestem malarką i pocóżbym miała fałszywą skromnością przed panem się okrywać? posiadam w świecie sławę dużą, niewiastom dostępną rzadko. Na szczytach myśli i sztuki przebywam. Jednak raz...

X Znałam raz kobietę z elementarną zaledwie oświatą, bardzo spracowaną, z bardzo zgrubiałemi od pracy rękoma, z mnóstwem bruzd na twarzy, od skwarów słońca i życia pociemniałej. Tak zwana ochmistrzynia była, w dworach wiejskich przez całe życie gospodarstwa kobiecego doglądała, nieraz przytem pomaga-



jąc dzieci hodować, chorych pielęgnować, ogrody obsie-  
wać i zasadzać. Skromna, zdaje się, pozycja społeczna,  
niskie roboty, nieprawdaż? x

Otóż, spotkałyśmy się dnia pewnego w alei ogro-  
dowej i długo chodziłyśmy razem, a ona mi o swoim  
życiu rozpowiadała. Gdzie była, jakim ludziom służyła,  
jakimi bywały zajęcia jej, trudy i troski. Duże trudy,  
dojmujące nieraz troski. Bo nic to nie znaczy, że szło  
zawsze prawie o rzeczy drobne; dla niej były one wa-  
żne, jak sumienie.

— Bo co to jest, proszę pani, cudze dobro zmar-  
nować, czy zepsuć, czy na zgubę narazić, kiedy ono  
uczciwości mojej powierzone zostało! To zgryzota taka,  
że od niej po nocach spać nie można i człowiek potem  
ze skóry wyłazi, aby wynagrodzić, odpracować, napra-  
wić zrządzoną szkodę...

Wcale ładnie! Skromna dusza ta nieco podlaty-  
wać umie, pomyślałam i zapytałam, czy też nie uprzy-  
krzyły się jej te zachody, krętaniny, nigdy nie kończące  
się roboty, a tak liczne i tak drobne, jak ziarnka tego  
piasku, po którym stąpamy.

Pewno, pewno, chciałaby czasem odpocząć, choć  
miesiąc, dwa nie robić, niczem się nie kłopotać, rankami  
spać dłużej, wieczorami móc sobie z kimkolwiek miłe po-  
gawędzić. Nie jest już młoda, nie, więc czasem zmęczoną  
się czuje i dusza tęskni za czemś, za czemś takim, czego  
nie doznała... Ale i pociechy ma, pociechy duże, za które  
Panu Bogu dziękuje codziennie...

— Bo, proszę pani, czy to ja nie wiem i nie rozu-  
miem, że w mojem ręku często zdrowie ludzkie, dostatek

ludzki, spokojność ludzka znajduje się i że, choć roboty moje takie małe, ja niemi mogę ludzi uczynić zdrowszymi, spokojniejszymi i nawet lepszymi, bo człowiek zdrowy i spokojny, łatwiej niż chory i zmartwiony dobrym być może. To też kiedy uda mi się cokolwiek doskonale urządzić, dobra jakiegoś przysporzyć, wygodę czy przyjemność, czy tam oszczędność jaką wymyślić i uskutecznić, radość mię ogarnia taka, że o wszystkim, co mi dolega, albo czego mi nie dostaje, zapominam!...

O! to już i bardzo ładnie! To już lot duszy dość wysoki!

A ona, rozgadawszy się, mówiła jeszcze, że bardzo często w domach, którym służyła, pielęgnowanie chorych powierzone jej bywało. Gdy tylko w domu kto zachoruje, gospodarcze zajęcia na kogo innego spadają, a ona idzie chorego doglądać i — pocieszać. A tak; pocieszać! Bo dla chorego rozweselenie, odpędzenie nudy, wmówienie odwagi i nadziei często więcej znaczy, niż, żeby i najlepsza mikstura, czy pigułka. A ona właśnie do tego majster. Umie chodzić cicho, mówić albo milczeć w porę, godzin i minut jak swego oka pilnować, coś wmówić, o coś uprosić, czasem coś opowiedzieć, rozśmieszyć... A dlaczego wszystko to umie? Ot, bo zawsze człowieka chorego żałuje i pragnie odjąć mu cierpienia i choćby je z niego wyjąwszy w siebie przyjąć.

— To też, proszę pani, ile razy człowiek cierpiący z mojej przyczyny uśmiechnie się, albo roześmieje, mnie jakby kto na sto koni wsadził, takam szczęśliwa. Dużo też, dużo takich chwil szczęśliwych dał mi Pan Bóg

i gdy obejrzę się za siebie, to widzę je świecące — jak brylanty!

Oprócz tych brylantów, jaśniały za nią na drodze przebytej inne jeszcze bogactwa. Strasznie lubiła w ogrodach zasiewać, zasadzać.

— Już i na ziółeczko drobne i na kwiatek pachnący ręką moją zasiane, kiedy z ziemi wysuną się, mile sobie spoglądam, bo wprzód nie było ich, a teraz są i ot, w tem miejscu gdzie są, zieleniej zaraz, pachnie i pożywienie dla człowieka czy choćby dla jakiego stworzenia wyrasta. Ale razy kilka to nawet i drzewka sadziłam. Już mniejsza o to, jakim sposobem, dlaczego, kiedy przyszło mi w tem ogrodniłkom dopomagać, ale sadiłam i potem, przez lat kilka przypatrywałam się, jak one rosły, a razem z niemi i dusza we mnie od pociechy doznananej rosła. Bo co to znaczy, proszę pani, drzewinę jaką gdzie zasadzić? Znaczy to, że komuś, kiedyś owoce ona rodzić, jeżeli owocowa, a jeżeli inna jakaś, dla ozdoby i cienistości posadzona, komuś, kiedyś oko cieszyć, lub głowę cieniem osłaniać będzie... Oko może zaplakane, głowę może zmęczoną... Dawno już ja moich tych drzewin kochanych nie widuję, już pewno wielkie powyrastały, owoce rodzą i cień szeroki rozpościerają. Ani owoców ich, proszę pani, ja nie jem, ani w cieniu ich nie ochładzam się, gdy mi gorąco, ale kiedy obejrzę się za siebie, widzę je stojące i świecące jak jasne świece.

Brawo! ślicznie! Zupełnie wysoko dusza ta wzlatywać umie i z sobą pod błękity unosić swoje drobne, niskie prace! czy złudzeniem to jest, czy naprawdę piasek, po którym stąpamy, staje się złotym, złotym? Tak,

tak; przedarły się przez gałęzie drzew alejowych smugi światła słonecznego i każde ziarnko piasku u stóp naszych przemieniły w ziarnko złota.

Ona zaś po tem złocie stawiając stopy duże w obuwiu zniszczonem i grubem niezgrabne na swoje brylanty i jasne świece znać patrzyła, bo na twarzy jej szeroki uśmiech tak rozprostował skórę ogorzałą i zgrubiałą, że stała się prawie zupełnie gładką.

Zapytałam jeszcze, czy prawdą jest to, co niepewnie i mętnie o synu jej słyszałam?...

Tak, tak, było to prawdą. Zameżną niegdyś była, z mężem żyła krótko, owdowiała i syn jedyny jej pozostał. Jak hodowała go, na służbach w domach obcych przebywając, ile serdecznych, niewypowiedzianych trosk i trudów dla niego poniosła... opowiadać nie będzie, bo to rozumie się samo przez się. Matką była. Do cudzych dzieci zawsze ją coś ciągnęło, a cóż dopiero... Wyrósł jakoś zdrów, tęgi, ładny, dobry i na swój chleb już był poszedł, kiedy raptem zawieruszyło się na świecie.

X — O co i dlaczego się zawieruszyło, pani to wie lepiej ode mnie. Ale i ja wiedziałam. Boże mój drogi! Prostą kobietą jestem, ale ojciec i matka, choć ludzie także prości, tego i owego mię nauczyli, to i owo do miłowania pokazali. A potem już i sama niektórych rzeczy napatrzyłam się i domyśliłam. Ojczyzna! Boże mój kochany! I jeszcze sprawiedliwość, ta święta sprawiedliwość, wedle której człowiek człowieka przegryzać, tak jak ten robak drzewo przegryza — nie powinien. Więc kiedy Wladek powiedział mnie: »Mamo, ja za ojczyznę i sprawiedliwość!...« Wspomniałam na Izaaka, który

dzieciatko swoje na ofiarę Bogu przynosił i Władkowi odpowiedziałam: »a jakże! a jakżeby inaczej mogło być?« Pobłogosławiłam go... i już nigdy więcej nie zobaczyłam... Tak, tak, to prawda jest, co pani słyszała, że on tam...

Nie dokończyła, umilkła, spojrzałam na nią. O, jakże w tej chwili twarz jej zmęczona była, zmęczona, pomarszczona, bolesna, jak przygarbiły się jej plecy, jak ciężko od złotego piasku odrywały się i spadały na niego jej stopy. Strasznie spracowana była i w chwili, gdy stara rana z nową siłą zapiekła ją w serce, spracowanie to od stóp do głowy oblokło piętnem przebytych mąk. Ale nie było to piętno ponure, ani gniewne. Z oczu jej dwie łzy po zmarszczkach policzków ściekały, lecz dusza nie przestała wlatywać w błękitny. Tak cicho, że ledwie dosłyszec ją mogłam, szeptała:

— Bóg dał, Bóg mi go dla swojej świętej sprawy wziął! Niech będzie pochwalone Imię Jego i niech przyjdzie na świat królestwo Jego...

Możeby dłużej jeszcze błogosławiła i dziękowała, lecz łzy nie dawały. Wypłynęło ich z pod zaczerwienionej powieki jeszcze kilka i dla otarcia ich podniosła ku twarzy rękę bardzo grubą, szorstką, ciemną...

A ja tymczasem z głową pochyloną myślałam sobie: cóż ja, cóż ja? Z malarstwem swoim w porównaniu z tą kobietą, która ma za sobą takie brylanty, takie jasne świece i takie... mogiły...

Z głową pochyloną wzięłam w swoją białą rękę... rękę jej bardzo ciemną, grubą, szorstką, wzięłam

i pocałowałam... Ja, sławna malarka rękę tej prawie kucharki...

\* | ...Co pan powiedział? Powtórzyć proszę! O niechże to zapiszę! Powiedział pan: nie wstyďte się, mali, niskich prac swoich! Duszami wlatujcie wysoko, a i one tak wzrosną, że i najwyższemi zwane pochylą głowy — przed niemi pochylą!

---

## BYŁO ICH TRZY.

W piękny dzień letni, siedziały w pięknej ogrodowej altanie. Było ich trzy: brunetka, szatynka i blondynka; wszystkie były piękne. Z poruszeń ich, ubrań i układu włosów, bił niewymowny czar wykwitności i wdzięku. Wieków cywilizacji trzeba było na to, aby wytworzyć się mogły tak wydelikatnione i od czarnej twardej ziemi całkiem zda się oderwane istoty. Jedna z nich była mężatka: zdradzał to koronkowy obłoczek, owiewający jej jasny warkocz, dwie inne, prawie rówieśnice tamtej, niedawno przeszły dwudziestą wiosnę życia i znajdowały się właśnie w porze najpiękniejszego rozkwitu wszystkich sił ciała i ducha. Pod rozłożystymi klonami, na drewnianej ławie, tworzyły one grupę zachwycającą. Najwybredniejszy światowiec nie wahałby się uchylić czoła przed doskonałością układu ich i smaku. Mahomet możeby je żywcem wziął do rajy swego. Mąż stanu, po pierwszem na nie spojrzeniu, uznałby żywotność i siłę społeczeństwa, które wydaje z siebie tak przez uroki swe wpływowe i wysoce ucywilizowane kobiety. W pobliżu altany, na zielonym trawniku, igrała jeszcze

jedna prześliczna istota, raczej istotka, kilkoletnia córeczka tej, która nad alabastrowem swem czołem miała lecieć tyny obłoczek koronki. Odrazu poznać było można, że ten pączek wykwił na łodydze tej lilji. Wiele, wiele pokoleń w krwawym mozole pracować musiało na to, aby w ostatecznym i najpiękniejszym wyniku swej pracy wydać takie dziecię, lekkie, blade, prawie przezroczyste, ubrane w jedną spódniczkę gładką, a drugą marszczoną, ze skośnymi bokami, z szelkami z etaminy, z szarfą zebraną w puf, a na złotych swych włosach mające *bolero* z kwadratową główką, naszyte pampilami i u wierzchu zdobne w pompony. Młoda matka tego cudnego motylka, z przyjaciółkami panięskich lat swoich, do których przybyła w odwiedzin, prowadziła poufną i ożywioną rozmowę. Z łagodności ruchów, wyrazu błękitnych oczu i muzykalnych modulacyj głosu, poznać w niej było można kobietę słodką, uczuciową i z wysokiem estetycznem wykształceniem. Miękkimi ruchami śnieżnych rąk objaśniając każde swe słowo, mówiła:

— Fartuch zebrany na bokach, według tylnego upięcia skośnie odwinięty, u góry zakończony dwoma liśćmi przypiętymi kokardą, która zachodzi na stanik, otwarty na plastron, objęty kołnierzem na boku spiętym i rozchodzący się na zębie, ku bokowi skierowanym...

— Nie, nie... nie! — przerwała jej brunetka o wielkich, myślących oczach i pąsowych, wydatnych ustach; nie, Karolino, ta suknia nie będzie ładna. Nie wierzę temu, choć ty mi to mówisz. Jesteś zapewne kompetentniejsza ode mnie, ale ja nigdy i wobec nikogo zdania



swego zaprzec się nie mogę. Fartuchów, plastronów i zębów nienawidzę. Moja suknia będzie taka:— dwie welny, jedna *vin de lie*, druga fantazyjna. Dł: perja z przodu krótka, tył suty, riusza z welny, stanik a kamizelce bufowanej, z aplikacją, baskina spiczasta, wyłogi podwójne: gładkie i szalowe, na rękawach patki, przód naszyty rozetami z dżetu, u dołu drewniane kulki...

Poważna, trochę smutna, mówiła to z zamysleniem i stanowczością, a z blasku jej oczu i zarysu pąsowych warg tryskały najpiękniejsze przymioty ludzkiego ducha: energja i szczerść. Ale Karolina, stanowczo choć łagodnie, zaprzeczała jej ruchami rąk i głowy, a szatynka, mała i bardzo żywa, z szafirowem jak bławatki okiem, umieszczonem pod brwią sobolową, aż drżała i do lotu zrywać się zdawała.

— Ale gdzież tam! gdzież tam! — wołała głosem tak dźwięcznym i zarazem delikatnym, jak wiosenny śpiew skowronka; — ja z Rózią nigdy nie zgadzam się w gustach. Przekonywałam, prosiłam, abyśmy sobie jednostajne suknie zrobiły. Nic nie pomogło... Uparła się przy krótkiej draperji, patkach i rozetach...

Spojrzeniem pełnem powagi karcąc młodszą siostrę, Róża odparła:

— Moja droga, wiesz dobrze o tem, że ja dla nikogo i dla niczego w świecie niezależności zdania mego wyrzec się nie mogę. Minęła już pora, w której byliśmy niewolnicami...

— A jakże swoją zrobić kazałaś? — z ciekawością żywą szatynkę zagadnęła łagodna blondynka.

— Ja... ja, Karuniu, robię sobie polonezę... z pelerynką fantazyjną, rękawy zebrane, mankiet gładki, pasek ukośny, zapięta na brandebury, do tego spódnica w kontrafałdy, rozcięta na aksamitnym pasie, boki w klinach, zamiast pufa, wachlarz z etaminy... zupełnie polski ubiór... poloneza i brandebury... powinnyśmy wszystkie mieć choć po jednej polonezie... Ja mam imię pierwszej królowej polskiej: Wanda i będę nosiła polski ubiór a Różia nie chce; przepada za francuskimi draperjami i patkami, czy to pięknie?

Tej cechami charakteru dominującymi były widocznie zapal i patryjotyzm. Ale Róża nieskończenie poważniej zapatrywała się na sprawy.

— Powinnyśmy i od obcych przyjmować rzeczy dobre i piękne — odparła. — Pod tym względem jestem zupełną kosmopolitką...

Karolina chciała też protestować.

— Ale wachlarz z etaminy... — zaczęła.

Nie mogła mówić dalej, bo śliczne dziecię, które dotąd po trawniku igrało, do altany wbiegło i z perlistą kaskadą śmiechu upadło jej na piersi.

— Fi, Marie, któż to śmieje się tak głośno i rzuca się na mamę z takimi obcesowymi ruchami, — łagodnie lecz stanowczo upomniała ją matka. — Rozbawiłaś się bardzo i zapomniałaś o tem, jak panience postępować wypada!...

Sześciolatnia panienska przestała śmiać się, w wyprostowanej postawie przed matką stanęła i w drobnych paluszkach, ze zmieszaniem i trochę ukrytego gniewu,

mięła liść akacji. Dwa okrzyki, pełne zachwycenia, zabrzmiały jednocześnie.

— Jak ty ją rozumnie prowadzisz!

— Jak ty ją ślicznie ubierasz, Karolciu!

Szatynka szczebiotała jeszcze:

— Jaką ona ma delikatną skórę, jakie śliczne oczy! Szkoda tylko, że owal twarzy nie zupełnie jest regularny, ale może się to jeszcze uformuje.

A brunetka z powagą dodała:

— Dla piękności układ ma niezmierną wagę. Niech już lepiej ma owal twarzy mniej regularny a od dzieciństwa do dobrego układu przywyka...

Śliczne istotnie oczy dziewczynki, od niedawnej zabawy, jak błękitne gwiazdy gorejące, bystro i pojętnie przelatowały z twarzy na twarz mówiących. Zarazem, wyprostowała się ona jeszcze trochę i, wypuściwszy z palców listek akacji, łokcie do boków przycisnęła i rączki u piersi złożyła. Szeptem takim, jak rozwiewny szmer zefiru, zapytała:

— Mamo, czy można zdjąć kapelusik?

— O! — uprzedzając odpowiedź matki, zawołała szatynka, — nie pozwalaj jej zdejmować kapelusza, tak jej w nim do twarzy!

— Bolero! — z zamyśleniem wyrzekła brunetka, rzecz sama równie piękna jak i nowa. Znać, że z Hiszpanji pochodzi. Marzę zawsze o Hiszpanji... o tym kraju miłości i poezji...

— Te pampile są śliczne, ale pompony powinny być jeszcze wyższe, końcami palców dotykając kapelusza dziewczynki, szczebiotała blondynka.

— Sama sobie wybrała to bolero, gdyśmy z nią ostatni raz były w mieście — wytłumaczyła młoda matka i, delikatnie obracając w kółko małą córkę, z uśmiechem duszy pogodnej i zadowolonej, dalej mówiła: — Przy-  
patrzcie się tylko: staniczek ten obejmuje w kroju ośm części... plecy i boki poniżej stanu, zakończone plisowaną falbanką, przód nadmarszczony, ramiensy nakrapiane stalowymi perłami, skośna klamra, niciansa gipiura, ramiona otwarte na zębach, szarfa w puf... Zdaje się nic... dziecinny staniczek, jedno nic, a ile tu szczegółów, jakie przystosowanie, jaka kombinacja i zarazem jaka prostota... prawda?

— Otóż to, — potwierdziła Róża, — wytworność złączona z prostotą, to ideał, który mi się zawsze prawie niedoścignionym wydaje. A jednak czasem, jak naprzykład w tym dziecinnym staniku, ludzie zdają się go dosięgać...

— Patrz, patrz, Karolciu — zabrzmiał wesoło skowronkowy głos szatynki, jaka twoja Marynia cieniutka w pasie... palcami jednej ręki prawie ją objąć można...

Istotnie, niewiele brakowało do tego, aby drobna rączka dziewicza mogła spoić paluszki swe, otaczając kibić dziewczynki, która w tej chwili z całej siły wciągała w siebie oddech, aby obejmującej ją ręce wydać się jeszcze cieńszą i zarazem usilnie opuszczała dolną szczękę, aby przedłużyć owal swej twarzy.

Tak, wśród trzech uroczych kobiet, oglądających jej ubiór i wdzięki, stała prosta jak świeczka, z łokciami do boków przyciśniętymi, z wsysanemi wewnątrz policz-

kami i nieco podniesionem czołem, nad którem dzwoniły pampile bolera. Matka zwolna przyciągnęła ją ku sobie i delikatnie, ale czule ją ucałowawszy, zlekka ku wyjściu z altany popchnęła. Odeszła i powoli, prosto przechadzała się po drodze, wysadzonej kwitnącemi różami dopóty, dopóki widok motyla, z krzaku róży ulatującego, znowu żywiej nie oderwał od ziemi nóżek jej ubranych w pantofelki tego samego koloru, jakiego były jej ramiona otwarte na zębach.

Matka jej, w tej samej chwili, odpowiadała na zapytanie przyjaciółek.

— Muzyki i śpiewu nie zaniedbuję, o, nie! Szczególniej śpiewu. Władysław przepada za moim śpiewem. Wiecie, jaki on meloman. Wielki też wpływ głos mój na niego wywiera. Nie mówiłam wam jeszcze o tem, że gdyby nie ten wpływ, nie byłabym tego lata zagranicą.

— Doprawdy? czy być może? śpiew twój i podróż zagranicę... jakież związku?

— No, to już powiem wam... tylko pod sekretem... Tak było: Władysław przez ostatnie lata zawzięcie gospodarował, nie widywaliśmy nikogo. Tak pragnęłam pojechać gdziekolwiek, rozrwać się, zabawić... tak pragnęłam, że poprostu chorą czułam się z nudy i tęsknoty. Zaczęłam prosić Władzia, aby mię gdzie powiózł... nie na długo, na parę miesięcy do Włoch, czy do wód jakich... A on odrazu: nie można i nie można. Mówił, że gospodarstwa opuszczać nie może, że długi spłacać trzeba, że czasy ciężkie, że obowiązek nasz teraz... Mniejsza o to zresztą, co i jak, ale za nic nie chciał. Całował mię w ręce, przepraszał, tłumaczył, ale

nie zgadzał się. Myślę sobie: trzeba już chyba stosowną chwilę wybrać. Raz, widzę, smutny czegoś... pytam się czego? Mówi, że jemu także tęskno trochę za światem, za umysłową rozrywką, za muzyką, do której kiedyś był przyzwyczajony. Wysłuchałam tego wszystkiego, ucałowałam go, trochę nawet zapłakałam; do fortepianu poszłam i śpiewać zaczęłam. Wybrałam właśnie te arje, które on najlepiej lubi... Było to szarą godziną, sama czułam, że śpiewam dobrze, głos mój rozlegał się po cichym i ciemniejącym salonie. Władzio, z początku siedział w kątku, a potem na palcach przeszedł salon i usiadł przy mnie. Kiedy po krótkiej przerwie zaśpiewałam znowu, uczułam, że obejmuje mnie i że jest bardzo wzruszony. Przestałam śpiewać... zaczął całować mnie tak, jak gdybyśmy się tylko co pobrali, a potem... potem, zapytałam go cichutko: czy pojedziemy zagranicę? Odpowiedział mi: wszystko, wszystko zrobię, czego chcesz! Ja dobrze wiedziałam, że i on chciał tego samego, a tylko różne względy go powstrzymywały, ale w tym dniu i przy moim śpiewie rozmarzył się trochę i zdecydować się musiał. W trzy dni potem pojechaliśmy...

W łagodnych jej oczach przemknął błysk triumfu. Róża z zadumą wyrzekła:

— O, wielki być może wpływ kobiety!

A Wanda ze wzniesionymi oczami i różowym paluszkiem, do drobnych ust przyłożonym, dokończyła:

— Ale tylko — kobiety-aniola!

---

## ŚPIEWNA.

W lesie pełnym platanów, buków, cyprysów ciemnych i nad strugami wóg błękitnymi malin czerwonych, o czarodziejskiej woni, w lesie, obrastającym świętą górę Idu, Zefir królewicz pokochał pasterkę Śpiewną. Jemu bogowie dali piękność królewską i serce tak głębokie, jak morze, kryjące na dnie korale i perły; jej muza dźwięków włożyła do kolebki upominek czarującego głosu.

Nad błękitnym strumieniem, z dłoni zamysłonej Śpiewna puszczała mknące białe kielichy powoi, śpiewając tak rozgłośnie, tak dźwięcznie i słodko, że z zarosli różanych wychylały łanie zasłuchane głowy, jelenie, powstrzymując bieg swój ku wodzie, stawały wśród cyprysów i patrzyły w niebo, ptaki z czerwonymi malinami w dziobach leciały ku niej, jak ku przybyłej z krajiny cudnej mistrzyni śpiewnych chórów.

Aż dnia pewnego, oprócz łań i jeleni, Zefir śpiewanie to usłyszał, cicho po mchach stąpając, ostrożnie Śpiewną zaszedł i dłonie na oczach a usta na ustach jej położył. Kiedy całować przestał, patrzyli na siebie tak długo, aż jak w zwierciadła wzięli w źrenice obrazy

swe nawzajem, potem, zjedli pospołu nieco wornych malin, napili się wody z kielcha powoju i, na szczyt Idy wstąpiwszy razem, oczyma po morzu bezbrzeżnem powiedli. On opowiedział jej, jakie na dnie morza kryją się perły tęczowe i korale krwawe, ona mu o koralach i perlach morskich, o gwiazdach niebieskich, o tęsknotach ziemskich i rozkoszach rajskich. długą i cudną pieśń wyśpiewała... Tak im upłynął pierwszy dzień miłości i odtąd szczęście ich było jak perła, jak korał, jak gwiazda, jak raj i tylko nie miało w sobie tego czerwonego djamentu ziemi, którym jest tęsknota. Za kimże, za czem tęsknióby mogli, skoro nie rozłączali się z sobą nigdy?

Lecz żyła wówczas, w tym samym lesie nimfa niezmiernie dumna i można, rozległe wpływy wywierająca na niebie i ziemi. Ulubienicą Artemidy była, na wzór olimpijskiej tej pani sprawiała często lowy rozgłośnie. Na imię jej było Sylla. Dziewica z rysami cudnymi, wzrostem potężnym i kształtami łączącemi w sobie siłę z harmonją, w purpurowym płaszczu dosiadała zazwyczaj jeleni złotorogich, a za nią w ślad biegły sfory chartów chyżych o paszczach zawziętych i sierści, w której zmiennie jak w morzu przelewały się barwy seledynu i błękitu. Gdy tak na jeleniu złotorogim, z kruczym włosem po zwojach purpury rozwianym, przez las za umykającą gazelą pędziła, za nią i przed nią zdawały się pędzić szczerkające bałwany morza.

Otóż ta nimfa olimpijska, wspaniała, potężna i piękna ujrzała raz Zefira, gdy uniesiony zapalem łówów, po mchach i paprociach biegł, goniąc tę samą co



ona gazelę. Nikt ze śmiertelnych, nikt nawet z bogów — ani sam Apollo, — nie wydał się jej tak pięknym, jak ten młodzieniec, którego królewską urodę szczęśliwa miłość przyoblekała w blaski nadziemskie. Nie chciał snać zabić pięknego zwierzęcia, bo strzały Sylli uprzedziwszy, na gibką szyję gazeli zarzucił pętlę arkanu i łagodnie powiodł ją ku Śpiewnej, która nad strumieniem powrotu jego z łowów czekała.

W jaki sposób Śpiewna przyjęła dar kochanka, jak wspólnie i czule pieścili gazelę, co on jej opowiadał, o czym ona śpiewała, jakim śmiechem wesołości napelnili ustroń leśną i jak ich okryła cisza niezmacona szczęściem, wszystko to z za cyprysów ujrzała, usłyszała Sylla i w głębie lasu odbiegłszy, złotą różgą smagnęła swą błękitną psiarnię, ku złotym rogom jelenia przypadłszy, zapłakała deszczem kipiących i wrzących łez...

Nigdy dotąd nie kochała nikogo. Posiadała wszystko, a zapłonęła zazdrością ku córce biednego pasterza. Była potężna, a uczuła się słabą. Miała moc i prawo wstąpienia w koło bogów, a pragnęła być samotną, aby z załamaniem dłońmi i głową schyloną, powolnymi krokami móc chodzić lepszymi drogami i dumać, i tęsknić, i marzyć...

Odtąd Zefir, ścigany przez zakochaną w nim nimfę, nie zaznał spokoju. Zjawiała się przed nim w miejscach różnych, znajdowała go w zaciśkach najgłębszych, wabiła, nęciła wdziękami, mocami wszystkimi, w jakie zaopatrzyli ją hojni bogowie.

Raz, przybyła ku niemu w postaci dziewczynki niewinnej, uległej, skromnej, wonna, rozkwitła jak wiosna,

z rumieńcem tak świeżym jak jutrznia, szeptem tak rze-  
wnym jak trwoźna i korna modlitwa, błagała go o wza-  
jemne kochanie.

Innym razem, nakształt rozszalałej w tańcu obrzę-  
dowym kapłanki Cybelli, z włosom rozwianym i wargą  
w ogniu wina zapaloną, roztaczała przed nim taki ocean  
uniesień i pieszczot, w jakim sam Zeus nie kąpał się nigdy.

To jeszcze, u muzy dźwięków liry pożyczwszy,  
próbowała mu śpiewać bohaterskie i z kolei tęskne lub  
żałosne pieśni, z gniewem przecież i rozpaczą czując,  
że ani brzmieniem głosu, ani tem wzdęciem i podniesie-  
niem serca, które pieśń czynią pełną i wysoką, Śpiewnej  
prześcignąć, ani doścignąć nie może.

Zefir zaś, od łagodnej i skromnej, czy od płonącej  
w szale Djonizuszowym, czy od grającej na pożyczonej  
lirze, niechętnie odwracał oczy, a z ust, na których osia-  
dały wzgardliwe uśmiechy, dobywały się mu przysięgi  
uroczyste lub gniewne, że pośród ziemianek i niebianek  
jedną tylko Śpiewną kochać będzie niezłomnie i wiecznie.  
Przysięgę taką wyrzekłszy, śpiesznie opuszczał nimfę  
i biegł ku pasterce, aby w zwierciadle źrenic jej znajdo-  
wać duszę własną, a na różowych ustach i na pieśni jej  
skrzydłach wzlatywać w Zeusowe niebo.

Złoncząc potędze swej, tak wielkiej, a przecież  
tak marnej, że jednej godziny szczęśliwej zdobyć jej nie  
mogła, Sylla od przyrody uroku pożyczać zaczęła. Prze-  
mieniła się raz w ptaka tak błękitnego, jak w dniu po-  
godnym bywa niebo Grecji i lecąc przed młodym my-  
śliwcem, wołała, — wabiła:

— Pójdź! pójdź za mną w wonne zacisza leśne,

na atlasowe pościele narcyzów, do groty wysłanej różami. Lub, jeśli wolisz... pójdź, pójdź za mną w ściany pałacu, zbudowane z djamentów i pereł, ku wodotryskom, bijącym winem i miodem, w progi komnat biesiadnych, usłanych wezgłowiami z purpury przepojonej wonnością bursztynu i mirry...

Tu, z krzykiem bólu ptak pokusy i ułudy opadł na gałąź cyprysu, bo strzała Zefira zraniła mu złote skrzydło. A u stóp tegoż cyprysu, Zefir ukląkł przed Śpiewną i wątlami jej ramiony szyję swą opasał.

Minęły dnie, aż Sylla, we własnej już postaci przed oblubieńcem pasterki na złotorogim jeleniu stanawszy, tak przemówiła:

— Zuchwalcze, który opór bezrozumny stawiasz pragnieniom i prośbom boginii, wiedz, że w tej chwili losy twe rozstrzygnąć się muszą. Wczoraj zwiedziłam Cyterę, kędy łowami zabawia się Artemida i u tej pani mojej, która mi jest przyjazna, wyjednalam dla ciebie dar nieśmiertelności, jeśli, żądaniu mojemu posłuszny, opuścisz swoją pasterkę. Pójdź za mną, o najpiękniejszy! z dłoni mej wypij czarę ambrozji, dającej wieczne trwanie i u boku mojego, bogom równy, na wieki młody i piękny, żyj i panuj nieśmiertelnie!

Teraz, pewna była, że Zefir do stóp jej przypadnie i z dłoni wypije tę niezmienną szczęśliwość i chwałę, którą mu w darze przyniosła. Z ziemskiego królewicza przedzierzgnąć się w bóstwo niebieskie, na Olimp wstąpić, zimnej śmierci, szpetnej starości, gorzkim niieszczęściom umknąć na zawsze, któraż z glist ziemskich zdumiewającej tej niespodziance oprzećby się zdołała?

Jednak Zefir chmurnem wejrzeniem odparł przedwcześnie zwycięskie wejrzenie Sylli, przecząco wstrząsnął głową i odrzekł:

— Ze Śpiewną moją żyję i z nią chcę umierać, a nieśmiertelność bez niej byłaby dla mnie tylko nieśmiertelną męką.

Nimfa, niezmiennym gniewem uniesiona, zawołała:

— Czy wiesz o tem, że unicestwić cię zarówno jak unieśmiertelnić jest w mojej mocy?

A potem z pod purpurowego płaszcza wyciągając w górę ramię, które zazdrość Afrodyty samej obudzićby mogło, mówiła:

— Czy widzisz orła, który tam w górze opuszcza zmęczone skrzydła nad niebosiężnym platanem? Tyle czasu do namysłu ci daję, ile go upłynie pokąd ptak ten nie osiadzie na swej zielonej kolebie. Oto już lotem powolnym błękitny eter przerzyna... Zniża się... splywa... skrzydła zwija... zwinął je... spoczął... Zefirze! Litość miej nade mną i sobą! Nie daj zbudzić się Harpjom, które uczuwam w mem łonie! Ten kwiat głogowy, który trzymasz w dłoni, ten biały, ten skromny, ten biedny kwiat mi podaj na znak zgody... Na znak, żem zwyciężyła, daj mi ten kwiat... O, rychlej! o, pośpiesz! O, ratuj mnie i siebie! Nieśmiertelność ci daję! Nieśmiertelność za jeden, za biały, za skromny kwiat głogu!

Zdrojem łez, wołając tak, płakała niebianka, a łkania i krzyki te słysząc błękitna psiarnia jej wyciem przeraźliwem las napelniała, czekał żałośnie jeleni złotorogi i platan, buki, cyprysy, kołysząc we wsze strony

głowy zdumione zaszumiały: dziwy! dziwy! Nieśmiertelność za biały, za skromny, za biedny kwiat głogu!

We wrzawę tę wmięszal się wkrótce głos młodzieńczy, spokojny, królewski. Z dumą królewską i spokojem niezłomnego serca Zefir odpowiedział:

— Ten biały, ten skromny, ten biedny kwiat głogu, gdym chodził na łowy ze złotych włosów swych wyjęła Śpiewna, piosnkę o nim zaśpiewała, ustami płatków jego dotknęła i mnie go dała, prosząc: pamiętaj! Nie oddam go za nieśmiertelność, bo spoczęły na nim pieśń, pocałunek i prośba Śpiewnej!

Wtedy Sylla, goręcej od purpury swej płonąca, ramiona wzniosła ku niebu.

— Artemido! na pomoc! — zawołała. I z piersi wzdętej wyrzucała błaganie.

— Artemido! Spraw, aby ten wzór stałości niezłomnej przemienił się w żywioł najniestałszy, najzmiennejszy, najlotniejszy, nigdzie pod gwiazdami stałego siedliska niemający! przemień go w to, co pasie chmury pod stropem niebieskim i gna fale za falami po morskich przestworzach, co liśmi drzew wstrząsa, korony kwiatów kołysze, rosę z traw trąca, wonie roznosi i niewidzialne wśród wiekistej wędrówki, westchnieniami i łkaniami napelnia przestworza! przemień go w tchnienie, w westchnienie, w powiew, w szmer, w wiecznie uciekające, nieśmiertelnie trwające — nic!

Zaledwie to wyrzekła, Zefir zniknął, a natomiast w cichych dotąd cyprysach wiatr zaszeleścił, zaszemrał, westchnął i w las uleciał, kołysząc wachlarzami paproci,

z róż dzikich strącając płatki, na szczycie niebosięźnego platanu rozwiewając pióra skrzydeł śpiącego orla.

Za sprawą nimfy potężnej bogowie przemienili królewicza Zefira w lekki i ciepły wiatr, który na zawsze miał nosić imię jego; ona zaś sama, ta zakochana, zawistna i mściwa, męką triumfu swego uniesiona, z głośniami łkaniami, do szkarłatnego płomienia podobna, na jeleniu złotorogim ku dzikim głębiom puszczy pędziła, a za nią, jak szczekające bałwany morza, gnały błękitne jej sfory.

Śpiewna... O, gdzież jest pędzel, któryby odmalował jak w sercu rozdartem płonie i krwawi się rubin tęsknoty? Długo, długo po leśnych zaciszach, polanach i łąkach, nad wód strugami błękitnymi, w gestwinach cyprysów, platanów i buków, Śpiewna szukała Zefira. Tak go szukała, że czerwone blizny okryły jej stopy, lice zbieleło jak kielich powoju, źrenice od łez przygasły, jak przygasają gwiazdy, gdy w noc jesienną wzbijają się ku nim mętne i mokre opary ziemskie. Do widma chwiejnego, do żywego obrazu żalu i bólu podobna, po wszystkich drogach i ścieżkach błędząca, ze szczytu Idy zstąpiła nad brzeg morza i tam, niezmiernym przestworzom wód i nieba skarżąc się zapłakanemi oczyma, śpiewać zaczęła. W smutku bezdennym śpiewała o szczęściu bezgranicznem a minionem, więc nie dziw wcale, że zwałtałe jej siły wzrosły i głos wzbil się tak wysoko, rozległ się tak szeroko, zawarł w sobie takie głębie rozkoszy i męki, że fale morza powściągnęły się w biegu i spienionemi grzywami owinięte stanęły nieruchome, szerokoskrzydłe mewy w powietrzu zawisły, a wysoko na niebie Apollo złoty

wóz swój zatrzymał i białym obłokiem osłonięty — słuchał. Wszystko, co dokoła oddychało, rosło, płynęło, przestało oddychać, rosnąć, płynąć, aby słuchać jej śpiewu, a przecież najchętniej słuchał go krążący dokoła wiatr i ona również najtęskniej, najgłębiej, najsrebrniej śpiewała, ilekroć na licu swem pobladłem i stopach poranionych uczuła jego westchnienie.

Aż stała się rzecz dziwna, nie dziwna jednak, skoro ją sprawił dobry i w pieśni rozkochany Apollo! Śpiewna śpiewając, poczęła maleć, rozwiewać się, niknąć, aż rozwiła się, zniknęła... Rozwiła się w dźwięki, w mirjady dźwięków, które pochwycił wiatr i na niewidzialnych skrzydłach swych unióśł w dalekie światy...

Tak Zefir, przez złą boginię w najlotniejszy z żywiołów zmieniony, odnalazł w przestworzu Śpiewną, którą Apollo rozwił w muzykę.

Odtąd, ilekroć na ziemi, bądź z fletni czy lutni, bądź z piersi człowieczej wypłynie ton muzyczny, porywa go lekki wiatr, niesie po świecie, tuli, pieści, aż łkającą w nim tęsknotę w oddali samotnej pocałunkami uciszy.

Gdy ton muzyczny, przez wiatr porwany, milknie w oddali, to królewicz Zefir całuje pasterkę Śpiewną i miłość — siłą zaklętych w niej czarów — zwycięża przemoc.

---

## PYTANIE.

Jest otchłań, o której istnieniu wiedzą wszyscy i której złorzeczą wszyscy, a w której głębie rzadko kto wpatrywać się chce i umie.

Tak zrządziła natura, że od tej największej, najpowszechniejszej, najczarniejszej rzeczy na ziemi, lada co odwrócić może wzrok i myśl człowieka. Po stokroć, po tysiackroć w życiu każdy ogarniętym się czuje jej ciemnością i dotkniętym ostrzami mieczów, których ona jest pełną. Po stokroć, po tysiackroć woła ona do każdego, aby spojrział w jej niezgłębione łono, odetchnął trującym jej tchnieniem, przeraził się mnóstwem ohydnych widm, które ją od szczytu do dna wypełniają; i każdy patrzy, oddycha, że zgrozą dłonie ku powstającym na czasce włosom podnosi.

Ale oto, drobny liść ze słodkim szmerem zakolysał się na drzewie, polny kwiat skromną koroną z pomiędzy traw wychylił, promień słońca wypłynął z za chmury, fletnia pod skrajem błękitów zagrała, dalekie echo dźwięk drogiego imienia przyniosło i już człowiek, z obliczem od otchłani odwróconem, z nadzieją zmartwychwstałą,



z wezbranemi pragnieniami, na falę życia znowu wypływa i tęczową grą jej kropel, okruchami roztrącających się w niej promieni, bylejakim złudzeniem wzroku, słuchu, serca, wiary. bawi się jak dziecię. O tej otchłani czarnej, niezmiernej, ohydnych widmami napelnionej, którą przed chwilą opuścił i do której jeszcze niezawodnie wróci, wrócić musi — zapomina. Rzecz przedziwna! Chwila, drobnostka, szczegół, złudzenie, po stokroć i po tysiąckroć w życiu odrywają go od tego, co jest wiekuiste, ogromne, powszechne i co wydaje się być jedyną na ziemi, zaprzeczeniu ulec nie mogącą prawdą.

Tą otchłanią, tą rzeczą ze wszystkich rzeczy zmysłom i umysłowi ludzkiemu dostępnych, najpowszechniejszą, najogromniejszą i najczarniejszą, tą może jedyną dotąd niewątpliwą prawdą — jest cierpienie.

Tu i ówdzie, bardzo rzadko, znajdują się ludzie, których ta otchłań w szczególny sposób ku sobie przyciąga i których myśli, uwagę, uczucia ta prawda na swój prawie wyłączny użytek zabiera. Takich, byle kwiat, promień lub echo nie złudzi i od przedmiotu, który niejako panem ich duszy stał się, nie odciągnie. A dzieje się tak wcale nie dlatego, ażeby sami najsrożej i najczęściej pojonymi byli trucizną i ranionymi przez miecze cierpienia, ale że w swej piersi noszą harfę jakąś, która im wiennie, natarczywie, z całą niezmierną różnorodnością i subtelnością modulacji powtarza wszystkie z tej otchłani dobywające się tony, — że oprócz tego, pomiędzy nimi a nią istnieje nic tajemnicza, niewiedzieć z czego zrobiona, niewiedzieć przez kogo wyprzedziona i zadzierzgnięta, która ich ku niej pociąga i daleko więcej

na nią niż na cokolwiek innego patrzeć im pozwala. Ci ludzie dokładnie i namacalnie znają częstokroć rzeczy, o których nie śniło się nigdy badaczom innych punktów świata. Są to eksperci, którzy w procesie ludzkości przeciw jej przeznaczeniu do najdrobniejszych szczegółów wyliczyć mogą krzywdy i straty, przez stronę pozwaną pozywającej zadane. Ona, ta ludzkość, przeznaczenie swoje przed kratki niewidzialnego i niepojętego dla niej sądu pozywająca, zdolną byłaby przemawiać tylko pojedynczemi słowami, najprostsze pojęcia wyrażającemi. Powiedziałyby na przykład: pole bitwy, albo choroba, albo niewola, albo głód, zgon, rozpacz. Oni zaś ukazać mogą szogóły, składające każdą z tych całości i przedstawić niezliczone mnogości w tych jednościach zawarte. Łatwo wymówić: tysiąc rannych! ale łatwo też o tej prostej jedności w dwie minuty po wymówieniu jej nazwy zapomnieć. Co innego wcale, gdy biegli na szerokiem płótnie odmalują, jak wszystkie te rany otwierają krwawe swe wargi, z powietrza piją rozkładający napój, a po sieci tkanek nerwów, aż do ostatnio zrodzonej lub zaledwie z drugiej rodzącej się komórki ciała rozsyłają węże, strzały, płomienne języki bólu. Nic prostszego, jak głośno przeczytać: »Rzym podbił Gallję i strasznie ją gnębi«. A potem, z żalem, który wnet widok róży odegna, albo dźwięk fletni zagłuszy, rzec: Gallom tym smutno być musi na świecie! Lecz znawcy owi, wnet w tej jedności mnóstwo dla niestale patrzącego oka ginących mnogości zobaczą. Oni wśród Gallów policzą i wskażą wnętrzości, zamiast pożywną strawą, wściekłością lub próżnią karmione, mózgi wywarem rozpaczliwych marzeń, lub

wyziewami stojących wód pojone, namiona, które, zrywając się do czynu, nic prócz obręczy krwawych od powroza ku niebu nie wznoszą, męstwa skruszone, siły połamane, wymowy spętane, szyje zduszone, duchy, które przesuwają się przez życie jak nikłe samych siebie podobizny i do grobów kładą się samym sobie nie doróśli i swoich własnych, tych, które natura dla nich przeznaczyła róż czy laurów, czy też skromnych fiołków nie zaznawszy, nigdy i nigdy już zaznać nie mając. To samo ze zwątpieniem, z rozpaczą. Wszyscy wiedzą, że są na ziemi umysły, nazawsze smutne po utraconej wierze w ideały, niegdys dla nich nieskazitelne i niewzruszone, a potem, w dziedzinę snów dziecięcych, błogich lecz próżnych, upadły; wszyscy wiedzą, że są serca, po stracie swych własnych, wobec wszechświata drobnych, lecz dla nich najdroższych klejnotów, na zawsze zubożałe i ze wszelkiej nadziei opróżnione, wszyscy o tem wiedzą, lecz przedstawiają to sobie w postaci bryłowatej niejako całości, w zarysie linii ciemnej wprawdzie, lecz pojedynczej. Tamci tylko, owi biegli, w stanie są rozłożyć te bryły na najdrobniejsze atomy i te pojedyncze linje na nieskończone mnóstwo linijek, które, gdyby ich nie było, pozostałyby dla wszystkich niewiadomemi i niewidzialnemi. Co więcej, gdyby przed kratkami owego niewiadomego sądu, stawali oni w imieniu nie tylko już ludzkości, ale powszechnego życia, zdołaliby niezawodnie opowiedzieć ile zmęczenia i żądry spoczynku słyszą w każdym z dźwięków tego klekotu, który wydają kopyta konia, biegnące po miejskim bruku, jakie męki przenosi robak, gdy opada go i morduje rój mrówek; co znaczącyby mo-

gły, na język ludzki przetłumaczone, świegoty i piski ptaka zamkniętego w klatce i po jej prętach boleśnie czołgającego się ku górze; jakie udręczenia przenikają tkanki rośliny, gdy korzeń jej tkwi w ziemi spieczonej przez suszę, a korona blednie i usycha w skwarze. I tak dalej, dalej, głębiej, ze swoją harfą i ze swoim drobnowidzem, jak nurkowie po perły, spuszcza się oni w otchłań, po najdrobniejsze ziarnika z ogromnej kurzawy oienpienia.

Teraz: pytanie.

Czy ci ludzie powinni opowiadać światu wszystko co widzą i o czem wiedzą? Rzecz prosta, stosuje się to pytanie do tych z pomiędzy nich, którzy przemawiają głośno, których myśli i uczucia posiadają ostrza, budzące myśl i uczucie innych.

Przedewszystkiem zastrzec należy, że w ogromnej większości wypadków, manjakami oni nie są i tego, co jest na ziemi szczęściem, dobrem, pięknem, nie przeocząją. Tylko większą od innych posiadają skłonność i zdolność do odczuwania i przenikania dziedziny przeciwnej szczęściu, dobru i pięknu, a także więcej od innych rażeni są nierównomiernością dwu tych dziedzin i tem, co wobec ograniczoności ludzkich pojęć jest niesprawiedliwością, a co prędzej lub później, ale stale, przez cierpienie, zło i brzydotę kaleczy albo i kruszy dobro, piękno i szczęście. Nie należy więc zapatrywać się na nich jak na jednookich, ale raczej jak na owych lekarzy specjalistów, którzy, znając dobrze cały organizm człowieka, jedną część jego wystudjowali najpilniej i do wyjaśnienia jej właściwości zdolności szczególnej nabyli.

Otóż czy powinni oni opowiadać światu wszystko co w otchłani cierpień widzą i słyszą?

Wiele w obecnych czasach jest mowy o pesymizmie, nie będącym niczem innym, jak tem właśnie wpatrywaniem się w otchłani cierpień, w nierównomierność dwu dziedzin ludzkiego życia: jasnej i ciemnej. Wielu powiada, że ukazywanie tej otchłani i tej nierównomierności ludziom, którzy sami nie ujrzeliby nigdy całej wielkości ich i grozy, osłabia najpotężniejszą sprężynę ludzkiego życia: nadzieję, gasi drobny, lecz siły ludzkie podsycający ognek wesołości, piółun sypie na podniebienia, a w dusze leje zmrok zwątpienia. I to jest prawda. W dodatku jednostronnie na sprawę tę patrząc, pocóż, zdaje się, nadwężać lub przeinaczać dobroczynne prawo natury, które pozwala, aby ludzie jak dzieci, dla których dziś tylko istnieje, o wczorajszej chłości nazajutrz pamięć tracili, a wciąż odeń ku błękitnym strumykom odbiegali?

Z drugiej przeciwiejsz strony, człowiek, zdaje się, powinien być tak dumny, aby go obchodzenie się z nim, jak z dzieckiem lub półgłówkiem, obrażało. A nie ukazywać mu prawdy dlatego, że go ona zabolii, albo mu zaszkodzi, jest to dowodzić, że się go ma za dziecko albo półgłówka. Jaktó! Więc ci, którzy pogodnie spoglądają na świat, uważają człowieka za istotę tak słabą i lichą, że ją dokładne rozpoznanie właściwości własnej istoty i własnego życia z nóg zwalić, posiadanie prawdy zgubić, a jedynie fałsz, albo przynajmniej półfałsz przy życiu utrzymać może! Tak mniemając, jakimże sposobem mogą oni pogodnie zapatrywać się na świat? Z takim

mniemaniem są oni stokroć większymi pesymistami od tych, którzy z tajemnic otchłani zasłonę zdzierają śmiało, bo myślą, że człowiek jest dość silny, aby bez omdlenia dźwignąć brzemień bóleści i dość dobry, a przemyślny, aby zmniejszenie ciemnej dzielnicy świata przedsięwziąć. A może do samej głębi otchłani wzrok zapuściwszy wszystkie niezliczone mnogości składające to, co im się brylowałą jednością wydawało rozpoznawszy, ludzie, jak robotnicy na jeden łan spędzeni, spólnie i gorliwie kosić chwasty, tępić miecze, odganiać widma, osuszać bagniska rozpoczną? A może właśnie to, co osłabionem być miało: nadzieja w tysiąckroć, przed obliczem wielkiego dzieła, spotęgowane zostanie? Może też, — jak struny mistrzowskiemi palcami targane, — serca ich rozspiewają się najwyższą, najpiękniejszą, najprzenikliwszą pieśnią współczucia i pieśń tak jak żołnierzy do zwycięstwa, — lepiej nad wszystkie inne rozumy ich i dłonie wzbije ku wszechmocy?

Tak marzą ci, którzy dokładnie widzą niezmierne smutki świata i o nich opowiadają. Czy nie są w błędzie? Czy im, jeżeli nie milczenie, to przynajmniej półmilczenie, jeżeli nie kłamstwo, to półprawda nakazanemi być nie powinny? Może, jak niegdyś przed wielomównymi prawnikami rzymskimi, należy przed nimi postawić zegar z załeceniem, aby nie wazyli się mówić dłużej, jak przez czas jednego jego obrotu, bo gdy na wodnej klepsydrze strumień cieć zacznie po raz drugi, powiedzą oni pewno coś takiego, co dla sprawy szkodliwe będzie? jeżeli ich marzenie nie jest jednym z tych snów o niebie, które od po-

czątku świata zmordowane ziemskim życiem głowy posiwiały.

Ale z drugiej strony, może trzeba, aby jeszcze głębiej, jeszcze dokładniej poznawali oni najpowszechniejszą i najogromniejszą otchłań świata, aby do mówienia o niej zaprawiali wszystkie swe myśli, uczucia i siły, aby jak najszczerzej, jak najrozleglejszym głosem opowiadali ludziom to, co wydaje się jedyną dotąd, zaprzeczeniu ulec nie mogącą — prawdą?

Pytanie.

Może jest pożądanem, aby ludzie w błocie grzęzli, własnymi dłońmi kopali sobie groby i kuli kajdany, wzajem krzywdzili się i mordowali, lecz wszystko to czynili w dobrym humorze? Może, aby ten dobry humor, a zarazem nadzieję i energję nienaruszoną w nich utrzymać, malarze same kwiaty malować, a lirnicy same walce skoczne i erotyczne piosenki wygrywać powinni?

Pytanie.

---

## TRZY CHWILE.

### I.

Widziałam go raz pierwszy, gdy był małym cherubinkiem z głową osypaną kędziorami złotymi, z różową buzią, całą w łzach. Czepiał się obu rączynami żałobnej sukni matczynej, szedł za pogrzebem ojca. Ludzi w orszaku pogrzebowym było wielu i dobre uczucia ludzkie towarzyszyły kobiecie, dotkniętej nieszczęściem wielkiem.

— Biedna! — Bez majątku pozostała! — Ani majątku, ani szczęścia! — Ani miłości, ani oparcia! — I tak już na zawsze!

Wtem kobieta w czarnych welonach, łkając, pochyliła się nad cherubinkiem złotowłosym, w ramiona go wzięła, do piersi przycisnęła, oczy pełne modlitwy, łez, bólu, ku niebu podniosła.

W pobliżu usta różne szeptały:

— Szczęśliwa! Dziecko ma śliczne! Dobrze być musi, tak tkliwie do piersi matczynej się tuli! — Anioł!



II.

Widziałam go poraz drugi, gdy mundurek szkolny od niedawna nosić zaczął i krokiem śpiesznym ze szkoły do domu powracał! Mróz był tęgi, więc zarumienił mu nos i policzki, tak że do kwiatu piwonji był podobny, lecz wesoło wpośród czerwieni tej świeciły błękitne oczy, tak rozglądające się wokoło, jakby do świata mówiły: o, mój miły, piękny świecie, jakże cię kocham!

Wtem otworzyła się szyba w oknie jednego z domów i wyrzwała z niej na ulicę twarz kobieca blada, chuda, lecz światłem radości, słodyczą czułości oblana.

— Mama!

— Chodź! chodź! chodź!

Szczebiot matki ptaszęcej, przywołującej do gniazda małego ptaka.

Poleciał. Śmiały się mu oczy błękitne i policzki od namarznięcia czerwone, nogi swawolnie wysoko podrzucał i swawolnie tornister książkami wypchany podskakiwać zdawał się na jego plecach. A z otwartej szyby małego okna rozległ się znowu po cichej ulicy szczebiot ust słodkich:

— Chodź! chodź! chodź!

Nie wytrzymał. Natychmiast pochwalić się musiał. Przystanął pod oknem i, wysoko nad głową wstrząsając mały zeszyt, wołał:

— Mamciu! czwórki! Same, Mamciu, samiuteńkie czwórki, czwóreczki, czwóruchny!...

Miły, mały zuch!

III.

Widzę go dziś poraz trzeci. Od kogoś, skądciś doleciała mi już była o nim wieść-nietoperz, wieść-puhacz. Podobno, z powodu ubóstwa ze szkoły wyprawiony, podobno matka już nie żyje...

Widzisz? Czy widzisz, jak to idzie chodnikiem ulicy krokiem przewalającym się, niedbałym, z czapką zszarzaną, na tył głowy zsuniętą, z dymiącym się ogarkiem cygara przy ustach. Z rynsztoku podjął go pewnie i sam tak wygląda, jakby wykąpany był w rynsztoku. Wyciekł jak szparag cienki a długi i gdzież się podziela rumiana jak piwonja buzia cherubinka? i oczy wesole małego zucha? Teraz, te oczy, z pośród kościstej, wydłużonej twarzy rozglądają się wokół jakby do świata mówiły: o, poczekaj, kochanku, dam ja ci — za swoje, oj, dam! Ze czternaście lat ma pewnie albo nieco tylko więcej, lecz wygląda, jakby już długo żył i w oddechu bagniska wiądl...

Widzisz? czy widzisz jaka otoczyła go gromadka istot bardzo do niego podobnych. Takież jak on szparagi blade, trawy uwiedle, ptaki zgłodniałe, — psy bezdomne, oczyma wyjące.

O czemś pomiędzy sobą szepcą, nad czemś naradzają się. Czy widzisz, jak rozzarzyły się ich źrenice, rozedrgały nozdrza, w pięście zacisnęły się ręce — brudne...

Czy wszyscy oni byli niegdyś, albo być mogli, cherubinkami i małymi zuchami?

Widzisz? Cherubinek i mały zuch dawny ręką dał znak jakiś i pobiegł naprzód pierwszy. Oni za nim pędzą. Nagle stanęli, ponieważ on stanął. Z wysoko podniesioną głową pośród ulicy stanął i wzrok utkwił w dużym oknie, za którego jasnymi szybami złotem połyskuje kandelabr kosztowny. Co za wzrok! O, musi on mieć z tem oknem porachunki jakieś, za coś mu chce odpłacić!

Pochylił się ku ziemi i kamień podniósł... Widzisz? czy widzisz? rękę z kamieniem wysoko nad głowę w tył zarzuca... Słyszysz? Szkło zadźwięczało... Okno z kandelabrem, złotem za szybami połyskującym, kamieniem ciśniętym stłukł... Jak wiatr pomknął dalej... na zakręcie jakimś zniknął... Łotr!

## SŁOWO.

Czem jest i jakie czynności spełnia to, co w mowie ludzkiej nosi nazwę — Słowo.

Rzecz z pozoru lekka, napowietrzna jak wiew wiatru, jak mrugnięcie powieki przelotna, przecież będąca jedną z sił kardynalnych, rządzących światem.

Może być wprawdzie i bywa często Słowo drobiazgiem, robaczkiem, pyłkiem w tumanie kurzawy marnej, może też być i bywa kroplą jadu, syknięciem gadziny, głównią podpalacza.

Ale do takiego słowa dzisiaj nam nic.

Czem dla świata ludzkiego jest słowo wtedy, gdy tkwią w niem pierwiastki Mądrości i Piękna? Czem jest dla pochodów ludzi naprzód i wzlotu ich ku górze słowo mądre i piękne?

Takie tylko godzi się koronować królewskim tytułem — Słowa.

Owóz Słowo — to muszla, która zamyka w sobie najdroższe perły człowieka: jego myśl i jego uczucie. Im większe są rozmiary pereł, im świetniejsze są ich blaski, tem potężniejsze kształty przybiera, tem czarowniej-

szą tęczę owija się muszla. Przez ściany muszli wyczuwamy perłę w kształcie i blasku Słowa przybywa ku nam myśl i uczucie.

Słowo — to pobudka muzyczna, towarzysząca wojennemu pochodowi ludzi naprzód. Życie ludzkie jest wojną, złożoną z szeregu walk. Ktokolwiek żyje — walczy. Walczy z mocami nieprzyjacielskimi, których dookoła człowieka i w nim samym — pełno. Orężem w walkach tych — czyn, zewnętrzny czy wewnętrzny, zwycięstwo nad zewnętrznymi wrogami, czy nad sobą odniesione. Ale jak dźwięki pobudki muzycznej brzmią przed krokami żołnierzy, tak Słowo, samo z uczucia i myśli poczęte — wyprzedza czyny. Jak muzykanci przed woj-skim ze wzniesionemi w górę pałeczkami, tak mistrze słowa postępują przed ludzkością, w rękę podnosząc muszle czarodziejskie, w których zamknięte perły uczuć i myśli szmerzą, śpiewają, wołają: Naprzód! Tędy! Mężnie! Mądrze! I za tą pobudką drogami wichrów kroczą pokolenia, przez nią do bojów zagrzewane, na uderzeniach serc i na siłach rozumu wzmagane.

Słowo — to posel ze stref wysokich, który strefom niskim przynosi wiadomości o tem, że są kędyś rzeczy górne, rzeczy piękne i wielkie, rzeczy nieśmiertelne.

Słowo — to latarnik, który w mrokach ziemskich zapala gwiazdy niebieskie, a na szarzyźnie trosk i zachodów codziennych rozwiesza lampy świątecznych iluminacyj.

I bywa jeszcze Słowo przyjacielem silnym ludzi nad siły niekiedy zmęczonych, towarzyszem samotnych, miłośnikiem, który z pocieszeniem wchodzi do cel ponu-

rych, gdzie przebywają przez nic i przez nikogo nie pocieszani więźniowie smutku.

Więc skoro wszystkim tem jest słowo, chwytajmy je, gdy przylatuje do nas jak ptak wieści dobrej, gdy płynie ku nam jak źródło siły żywej, gdy rozlega się nad nami jak głos górnego natchnienia.

Chwytajmy słowo mądre i piękne i bierzmy je w serca na ogień, w piersi na balsam, w dłonie na moc.

Bierzmy je na szare momenty wątpienia, na czarne dnie smutku, na krwawe godziny tęsknoty, na siłę w omdleniach, na słoneczne ogrody w mrozach życia, na kwiaty wspomnień w jego pustyniach.

I niech uwielbieni będą ci, którzy z dni istnień, z krwi piersi swoich rzeźbią tęczowe muszle Słowa, niech błogosławieni staną się, którzy hasła i blaski słowa po świecie roznoszą, niech podziękowani zostaną, którzy przed słowem rozwierają na oścież ściany serc i progi domów swoich!

---

## MOWA.

Mowa narodu jest świadectwem, które wydaje o sobie jego dusza. Z mowy narodu rozpoznać możemy dzieciństwo albo dojrzałość, bogactwo albo ubóstwo narodowej myśli, wiedzy i siły duchowej. Nic tak dobrze nie odkrywa i nie znamionuje charakteru, temperamentu i umysłowości narodu, jak jego mowa. Razem ze wzrastaniem i rozwojem potrzeb i pojęć, z wysubtelnianiem się uczuć i smaku, z rozmażaniem się narzędzi, któremi naród posługuje się w swem życiu fizycznym i duchowym, mowa narodowa wzrasta, rozwija się, nabiera bogactwa słów i gibkości ich układu, staje się zdolną do stopniowania i wycieniowywania wyrazów uczuć i myśli, do obrazowania niezliczonych stanów duszy ludzkiej, do uplastycznienia niezliczonych obrazów i stanów natury. W mowie tej i odpowiednio do przebywanego przez nią stadjum rozwija się piśmiennictwo narodu i tu jest pole wzajemnego na siebie oddziaływania mowy narodowej, która lepszego lub gorszego materiału dostarcza pisarzom i pisarzy, którzy, jako ludzie wśród narodu szczytowemu, ku szczytom piękności i siły podnoszą jego mowę.

Nic dziwnego, że naród każdy kocha swoją mowę; jest ona wyrazem jego duszy i świadectwem wiekowych jej prac i dążeń. Nic dziwnego, że naród każdy kocha piśmiennictwo swoje, bo jak zwierciadło odbija ono w sobie jego duszę, dopomagając zarazem jej i temu jej wyrazowi, którym jest mowa, do wdzierania się na szczyt—na szczyty siły i piękna.

Stosownie do stadjów cywilizacyjnych przez narody przebywanych, stosownie też do zdolności rozumowych i uczuciowych przez narody posiadanych, mowy narodowe bywają różne: mniej albo więcej bogate w słowa, mniej albo więcej wysubtelnione, wycieniowane, wgląd idące i wszczególnie rozpostarte. I piśmiennictwa także bywają różne, dłuższą lub krótszą przeszłość za sobą mające, obficiej lub mniej obficie napełnione wielkimi myślami, słabszym lub silniejszym lotem wzbijające się ku ideałom.

Mowa polska jest obecnie władczynią zasobu słów ogromnego, ma w układzie słów swych głębokość woskową, w brzmieniu ich dźwięczność stali i śpiewność harfianych strun i niema nic takiego na obszarach myśli ludzkiej i nic takiego w głębinach ludzkich serc, czego by ona wyrazić, wysubtelnić, uplastyczyć, wydzwonić, wyśpiewać nie mogła.

Piśmiennictwo polskie ma za sobą od pełnego rozkwitu swego lat czterysta, od pierwszych brzasków swych siedem stuleci i można je porównać do rzeki falami złotych myśli płynącej, albo do ptaka, który na stu skrzydłach wzbija się ku górze, albo jeszcze do pług, który lemieszem ostrym, błyszczącym i niestrudzonym orze grunt pod duchowe życie narodu. Stało to piśmiennictwo



u kolebki narodu, z nim razem mową niewyraźną, dziecięcą zaledwie bełkocząc, brzmiało dumnie i górnie, przemawiało mądrze w dniach jego potęgi i chwały, wołało o ratunek, szukało ratunków, gdy nad otchłanią stanął, a gdy pogrążył się w otchłani śpiewało mu pieśni męstwa, miłości, nadziei i teraz, gdy jeszcze przebywa w otchłani, samem życiem swem świadczy o jego życiu i w samej hańbie jego będąc mu chwałą, dla słabości i bólów jest siłą i ukojeniem.

Mowa ta i to piśmiennictwo przeszły przez Piastów, Jagiellonów, Wazów, przez Grünwald, Hołd pruski, Chocim i triumf Połocki, przez Statut Wiślicki i dzień 3-go Maja, przez Kościuszkowską przysięgę na Rynku krakowskim, Napoleońskie legjony, dni Listopadowej i dni Styczniowej burzy, — przeszły one przez Reja, Kochanowskiego, Górnickiego, Skargę, Potockiego, Morsztyna, Krasickiego, Fredrę, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kraszewskiego, Kremera i niezliczonych towarzyszy ich w myśli, sztuce i pracy, — przeszły one, ta mowa i to piśmiennictwo, przez wszystkie chwały, przez wszystkie upadki, przez wszystkie huragany, ciosy, nadzieje zwodne, cierpienia bezbrzeżne narodu i jak niegdyś nad kolebką stoją dziś nad grobowym kamieniem narodu, mówiąc o nim jak Chrystus o złożonej w trumnie dzieweczce: »nie umarła, tylko śpi!«.

---

## LITERATURA.

Panu Kazimierzowi Zdziechowskiemu te kilka słów o przedmiocie wspólnie nam drogim — przesyłam.

Skąd przybywa? Jak powstaje? Co czyni i na co potrzebna?

Ściele się po świecie ludzkim szara równina codziennych potrzeb i robót, obarczają go ciężkie głązy ograniczoności, samolubstwa i lenistwa, rozlewają po nim strumienie niszczących lawin wulkaniczne wzgórza żądź, szarów, namiętności.

I jest w głębinach tego świata, pod szaremi, kamienistemi, spalonemi warstwami utajone królestwo świetliste, przezyste, pełne zdrojów leczących, drzew śpiewających, balsamów gojących, ziarn rodzajnych, polotów wysokich i lekkich, przeczuć na ziemi tu czegoś, co jest za nią i — nad nią.

To królestwo ducha ludzkiego, tajemnicze i nieśmiertelne, w którym przebywają piękne, dobre i dobroczynne wieszczki.

Nie wiedzieć skąd powstały i nie wiedzieć z jakich pierwiastków i dla jakich ostatecznych celów dźwignęło się ich królestwo, ale czyste i wyniosłe, ze skrzydłami u ramię, pracując w niem one nieustannie, przędąc, tkając, na czarodziejskie rószczki swe zwijając promienie ideałów. Potem wychodzą na świat ludzki, cudowne przedziwa i tkaniny po nim rozciągają i to sprawiają, że nie jest on samem tylko piekłem lub samym śmietnikiem, lecz, choć powoli i z trudem, staje się polem uprawnem, ogrodem kwitnącym, czemś, po czem błędzą wprowadzie ciemności, lecz nad czem świeci nadzieja.

Stamtąd przybywa ona. Niepodobna powiedzieć, jakim sposobem, z jakich pierwiastków i dla jakich ostatecznych celów powstaje, ale stamtąd, z tajemniczego królestwa ducha przybywa i jest piękną, dobrą, dobroczynną wieszczką.

•  
•  
•

Nie przybywa nagle, nigdy nie zjawia się odrazu dorosła i dorodna. Rodzinną glebą jej jest duch ludzki i jak wszystko na ziemi ma ona porę spoczywania w rodzinnej swej glebie pod postacią ziarna, a potem kiełkowania, wzrastania i kwitnienia.

Najciekawszy, bo na zawsze napewno w przyczynach swych nieodgadniony, jest moment, w którym pierwszy jej kiełek powłokę ziarna przedzierni i na świat się ukazuje.

Ci, którzy aż do dna i do ostatniej nici materjalizować ludzkość usiłując, w oddziaływaniu na nią czynników tylko materjalnych szukają klucza, rozwiązującego

zagadkę jej dziejów, będą mieli trudność nieprzewyciężoną w wytłumaczeniu tego momentu przez wahanie się cen i zarobków, stosunków pracy do kapitału, rolnictwa do przemysłu i t. p. Jest w tym momencie coś więcej nad to wszystko, coś natury wcale innej, coś wcale niedostępnego dla ołówka, który liczy pieniądz i dla szali, które ważą chleb i mięso.

Oto czasy odległe, przeszłość przedwiekowa. Naród znajduje się w chwili życia swego zawiązkowej, do liścia w pąku, czy do dziecka o niewyraźnych rysach podobny. Nic w nim jeszcze niema wykończonego, dorosłego; lecz wszystko: budowa miast i wsi, uprawianie roli, sposoby zamieniania płodów pracy, praca sama, myśl, wiedza zaledwie są rozpoczęte, naszkicowane, ułamkowe, uciążliwe i błędzące. Składa się z ludzi, z których każdy jest zaledwie szkicem przyszłego człowieka.

W zarannej tej porze wyszedł na niwę rolnik i pługiem pierwotnie zbudowanym rznąć począł w grube zmarszczki ciemne oblicze niwy. Twarz jego nisko ku obliczu temu pochylona, barwą do niego podobna, kropkami znoju świecąca. Jednak, podniósł raz głowę i długo już nie pochylał jej nad ziemią. Ręce od pługa mu odpadły, stopy wryły się w zagon, oczy tkwią w krzaku, który u brzegu niwy pod zielonym gajem stoi cały w złocie słońca i w białości kwiecica. To rozkwitły krzak kaliny, żaden dla rolnika dziw, bo widział go on już nieraz. Ale widział — nie widząc. Teraz widzi i patrzy. Zarazem słucha, gdyż niedaleko od kaliny, w gaju, śpiewa słowik, również żaden dla rolnika dziw, bo słyszał śpiew ten nieraz. Ale słyszał — nie słysząc. Teraz słyszy i słucha.

Zupełnie niewiadomo dlaczego dziś właśnie, ale nie wczoraj lub przed rokiem, lub jutro i w rok później, zobaczył i usłyszał, począł patrzeć i — słuchać. Zupełnie niewiadomo, dlaczego w nim samym, w głucho-milozącem dotąd jego wnętrzu, odzywać się zaczynają nuty jakieś, zrazu niewyraźne, niby rozkoszne, niby smutne. I sam uczuwa się szczęśliwym i smutnym, zupełnie nie wiedząc, skąd powstają w nim rozkosz i smutek. Do myśli przychodzą mu słowa dziwne i jeszcze dziwniejsze zbiegi słów, prowadzą za sobą inne, jeszcze inne, które go, nie wiedzieć dlaczego, zachwycają i które usiłuje, nie wiedzieć poco, w pamięci zachować, jak skarb niespodzianie znaleziony. Chwyta za pług, lemiesz zatapia w ziemię, orze znowu, lecz nuty i słowa raz powstałe nie przestają mu rozbrzmiewać i rozmnażać się w głowie, w piersi, w słuchu i, gdy dzień minął, w wieczornej porze odpoczywania natury i ludzi, od progu chaty jego płynie na wieś całą pieśń o kalinie i słowiku, nigdy dotąd niesłyszana, teraz słuchana chciwie i na szerokiej przestrzeni przez różne głosy wkrótce powtarzana.

Tego samego roku, albo może w rok czy w kilka lat później, w pobliżu wsi innej, w sąsiednim zamku pańskim stała się rzecz niesłychana, niewidziana, rzadka, straszna: pani zabiła pana. Wszyscy usłyszeli o tem, przeżegnali się z przestraczem, wstrząsnęli głowami z podziwieniem, do swoich robót, trosk, zabaw odeszli — i zapomnieli.

Jeden tylko we wsi człowiek do niczego swego długo nie powracał i, chociażby dni upływały — nie zapominał. Jakby go coś olśniło, jakby coś w niego uderzyło, nagle

i mocno. To błyskawica namiętności ludzkiej przeleciała mu przed wzrokiem i tragizm zbrodni młotem o mózg uderzył. Czerwone smugi i ponure cienie przed oczyma jego po zamku pańskim błądzić poczynają. Widzi wśród nich pana-rycerza, powracającego z wojennej wyprawy, panią z nożem w ręku, rumaków, na których z ogniem gniewu i zemsty na twarzach przyjeżdżają »bratowie« pana, grób zamordowanego, z którego wyrastają czerwone kielichy lilij. Czy tak było w rzeczywistości, albo inaczej, nie wie, ale wie, że tak widzi, a widzi z taką mocą, że innym pokazywać musi. Pokazuje słowami to, co widzi i, jak widzi, opowiada. Wiele uszu opowiadania jego słucha i wiele ust powtarzać je zaczyna.

Gdzieindziej, wyrobnik ubogi spotyka się w drodze z hufcem rycerskim, który od złota i stali błyszczący, kopytami rumaków po ziemi grzmi, sztandarami rozwianymi w powietrzu szumi, twarzami jasnymi od radości, groźnymi od siły, jak słońcami świeci. Coś z tej siły i coś z tej dziarckości, z tej dumy i z tego triumfu przenika do piersi, szarą sukmaną okrytej, i zaczyna ona cieszyć się nie swoją radością, pysznić się nie swojemi zwycięstwami, drzeć, wzbierać, śmiać się, szaleć, aż wybucha nutą męstwa i triumfu, słowami uwielbienia, chwalby i — powstaje, rozlega się po świecie pieśń rycerska, wojenna, szumna, dumna i wesola, z echemi jęków ludzkich i dzwonów pogrzebowych na dnie.

To samo i tak samo dzieje się wszędzie: w świątyniach, w głuchych lasach, na szczytach gór, na szumiących wysokimi trawami rozłogach stepów, w rozdolach wąwozów, które zielone wrota nad brzegami rzek błękit-

nych otwierają, u ognia trzaskającego w izbach zacisznych, gdy na dworze wichry zimowe z zawiejami śniegowymi wyjące tańce zawodzą, u kolebek dzieci, nad mogiłami wczesnie pomarłych kochanków, na widok przelatujących orłów i sokołów, przy żalospnych okrzykach ja-skółki, wijącej się w szponach jastrzębia, przy odgłosie wielkich zbrodni, wielkich bólów i wielkich poświęceń, przed obrazem sierocej niedoli, matczynej miłości, niewieściego wdzięku.

Aż z biegiem czasu, rojem powstają w kraju, rozlatują się po kraju: hymn, epos, baśń, powieść, pieśń religijna, wojenna, miłosna, na różnych strunach serca ludzkiego wygrywana pieśń liryczna.

Zadnymi znakami, na żadnej tkaninie jeszcze nie utrwalane, przez usta ludzkie tylko powtarzane, odmieniane, wzbogacane, w pamięciach ludzkich one tkwią i jak potok ze szczytu górskiego, po skłonach czasu, z pokoleń na pokolenia spływają, wzbierając i śpiewając.

Dlaczego stało się to przez tych ludzi, nie przez innych, w tej godzinie życia tych ludzi, nie w innej? Tajemnica. Nie odstąpią jej istoty ceny rynkowe, ani warunki żywnościowe, ani stosunki pomiędzy pracą i płacą, pomiędzy różnymi sposobami zdobywania przez pracę kawałków chleba i mięsa. Jednostajne ich kawałki mieli wszyscy rolnicy, którzy owego ranka z pługami wyszli na pole, jednostajnie twarze ich świeciły od znoju i jednostajna przestrzeń dzieliła ich oczy i uszy od kwitnącej pod gajem kaliny i śpiewającego w gaju słowika. Jeden tylko zaśpiewał o kalinie i słowiku.

Coś było w duchu ludzkim, co spało i obudziło się,

obudziwszy się, westchnęło ku nieznanemu, wiecznemu, nieskończonemu i, przemooną tęsknotą zdjęte, rozmodliło się, rozkochało się, rozszlochało i rozśpiewało.

Ziarno, tkwiące w glebie tajemniczej, wyszło ze stanu spoczynku i — zakiełkowało. Urodziła się literatura.

Urodziła się na nizinach społecznych. Wszędzie i zawsze tak się rodzi. W pierwotnych formach teatralnych, któremi zabobonny gmin grecki cześć swą dla pijanego Djonizjusza objawiał, tkwił w zawiązku potężny tragizm Eschylosa i subtelna, jak sól atycka, ironja Arystofana. Grubjańscy mieszczkowie, którzy o wiele wieków później, w jarmarcznych przebraniach, tłumom u wrót kościelnych zgromadzonym przedstawiali Herodów, diabłów, złych starostów, przekupnych sędziów, gadatliwe kumoty i kościiste śmierci, praszczurami byli, właściwie pierwszymi rodzicielami Szekspirów, Moljerów, Fredrów. Utrzymują niektórzy, że przed olbrzymim Homerem istniał rój maluczkich homeroidów, którzy zgromadzili wszystko, czego było potrzeba dla zbudowania gmachów nieśmiertelnych, noszących imiona: Iljada i Odysea. Chancer, Dante, Lopez, Ronsard, Rey z nizin społecznych podjęli tam już odkrytą rudę mowy, myśli i uczucia, z której dobywać mieli ich złoto.

Każdy naród, dziś posiadający literaturę wielką, pierwsze początki jej zawdzięcza swojemu ludowi.

Mieszkańcy wysokich punktów społecznych zatrudnieni byli budowaniem państwa, wojskową jego obroną i potęgą, naśladowaniem tego, co stworzyła była przeszłość umarła. Lud nie znał przeszłości umarłej, żył



oko w oko z przyrodą, dźwigał z brzemion ludzkich dołę najciernistszą. Gruntem zaś, z którego najobficiej i najkonieczniej wytryskuje pieśń, są: przyroda i cierpienie.

Oto — jak ona powstała.

A teraz, co czyni?

Na wysokich punktach społecznych, znajdują się z biegiem czasu oczy bystrzejsze, słuchy czujniejsze, serca czulsze i głowy większe, pojemniejsze nad inne, które wpatrywać się zaczynają w żywe oblicze przyrody, w żywe głębie współczesnych dusz i losów, piją z nich żywe uczucia i opiewać je zaczynają mową żywą. Wtedy kielek, na mizinach społecznych wyrosły, przeniesiony zostaje na rolę, już przez różne dobre wieszczki ludzkości uprawioną i szybko przechodzi w stany wzrastania, rozgałęziania się, rozkwitania i kwitnienia.

W stanach tych będąc, co literatura czyni? Rzeźbi, maluje, śpiewa.

Że śpiewa, każdy to słyszeć i z łatwością pojąć może, bo śpiew to kombinacja, koordynacja i modulacja dźwięków, a słowo to dźwięk.

Lecz jakim sposobem można bez farb, pendzla, dłuta malować i rzeźbić, rzecz to nieco zawikłana i głęboko w tych procesach, którymi duch ludzki działa, osadzona. Na tę czynność dobrej wieszczki, potajemną i złożoną, rzut oka zbytecznym może nie będzie.

Otóż, w robocie poetyckiej, czy do poetyckiej przybliżonej, pierwszym początkiem jest — wizja. Poeta,

wzrokiem wewnętrznym, który jest wyobraźnią i czemś więcej jeszcze: odgadywaniem, przenikaniem, harmonizowaniem i dopełnianiem rysów i kształtów, widzi przedmiot dla zmysłowego wzroku jego nieobecny. Wizja ta, jak iskra pożar, roznieca w nim wzmożenie i pragnienie odtwarzania jej za pomocą znaków, służących do przedstawiania rzeczywistości i idei. Znakami temi są słowa. Niekiedy jednocześnie z wizją i nagle, niekiedy później i stopniowo, przybywają słowa, przedstawiać ją mające.

Nie wszystkie wizje poetyckie są jednostajnie jasne i dokładne, nie każde wzruszenie, przez nie wywołane, posiada jednostajny stopień siły, nie każde słowo z jednostajną wyrazistością i trafnością przedstawia przedmiot wizji. Od stopnia jasności i dokładności wizji, od siły wywołanego przez nią wzruszenia, od wyrazistości i trafności słów, które ją przedstawiają, zależy większa lub mniejsza dokładność w plastyczności i kolorycie przedstawienia. Gdy zaś plastyczność i koloryt przedstawienia są doskonałe, działanie jego na wewnętrzny wzrok słuchacza lub czytelnika staje się zupełnie analogiczne z tem, jakie na wzrok zmysłowy wywierają dzieła sztuk plastycznych: malarstwa i rzeźby. I na psychikę również. Tak samo jak dzieła pendzla i dłuta, twory malowane i rzeźbione przez słowo wprawiają w ruch różne siły duszy ludzkiej, zmuszają do przemiawiania różne jej głosy i djapazon ich podnoszą, budzą ją z leniwego drzemania i wywlekają z codziennej szaryzny. Przeciągają one przez duszę człowieka i przez jego życie jedną ze zwiniętych na czarodziejskiej róższeczce wieszczki złotych nici ideału.

Są tacy, którzy do tej tylko jednej nici czynność sztuki pisarskiej ograniczają. Ma ona tylko śpiewać, malować i rzeźbić słowem. Plastyka, koloryt i melodia słowa, to cała jej dziedzina. O nic więcej dbać i za niczem więcej uganiać się nie powinna, jeżeli na tronie piękności miejsca swego postradać nie ma. Nazywa się to sztuką dla sztuki i jest rozkazem przez pewną szkołę estetyczną literaturze wydawanym.

Ale ona z tajemniczego królestwa swego wychodzi na świat z berłem w ręku i niesfornych, bełkotliwych, przemijających rozkazów nie słucha. Ma swoją naturę, swoje prawa, swoje drogi, których żadne sprzeciwianie się przeinaczyć nie może. Idzie dalej i czyni jeszcze coś innego.

Wstępuje do dusz ludzkich, zatapia wzrok w ich nurty i zmroki, rozpoznaje kryjące się w nich sprężyny, ogląda działanie tych sprężyn i w kombinacjach niezliczonych, zawikłanych, często potężnych i straszliwych wyprowadza je na jaw, stawia przed oczyma świata. Jest wtedy zwierciadłem nieskończenie głębokiem i odbijającym w sobie nieskończone mnóstwo odmian duszy ludzkiej, stanów, które ona przebywa, i kolei, któremi rozwijają się jej wzloty i upadki, szczęścia i nieszczęścia, triumfy i klęski. Jest zwierciadłem, w którym odbijają się jej plamy, rany, walki, znoje, glorie i jest zbiornikiem ech niezliczonych, wiernie powtarzających jej głosy, od najcichszych westchnień rozkoszy, czy tęsknoty, do najśmiertelniejszych krzyków bólu i rozpacz.

Tym sposobem świat ludzki poznaje wewnątrz własne; poznając, drży przed jego grozą, klęka przed jego

pięknością, płacze nad jego ranami i nad ciemnymi jego otchłaniami zapada w bezdenne zadumy. Dobra i mądra wieszczka daje mu poznanie tego, co w nim jest najgłębsze, najdrogocenniejsze i najbardziej tajemnicze; daje mu ona poznanie — własnej duszy.

Idzie dalej i to samo, co czyniła z tajemnicami duszy człowieka, czyni z biegami, powikłaniami jego losów. Odkrywa te potoki nieskończenie odmienne, po których żeglują łodzie ich niezłizzone, odsłania rozlane po nich dwa przestwory nierównej wielkości: błękitne jezioro szczęścia i czarny ocean cierpienia.

Z jednego i z drugiego wydobywa jedno z najostrzejszych swych narzędzi, którem jest kontrast, i dopóty zmusza świat do patrzenia na krew i na róże, na purpurę i na lachmany, na czary nalane winem z Falernu czy miodem z Hymetu i na oczy napelnione łzami, na żałoby i gody, na rozkosze i na męki, aż w nim serce krzyknie od współczucia i sumienie obudzi się z szeroko otwartymi oczyma, aby długo lub nigdy już więcej do snu spokojnego ich nie zawrzeć.

A ona, w dalszym ciągu czyni zadania swoje. Myśli. To jest jej przez pewną szkołę estetyków wzbraniane najsurowiej. Ma ona malować, rzeźbić, śpiewać. Tylko. Oprócz tego, wolno jej jeszcze szaleć zmysłami rozuzdaniami i konwulsje, spazmy, kaprysy zmysłów, o ile podobna wyszukane i nadzwyczajne, w wizjach od stóp do głów odsłoniętych i nagich, przedstawiać. I wolno jej jeszcze wydawać nadludzkie wycia przy zadrażnieniu choćby małego, byleby własnego palca i, — jak to niedawno pewien z tej szkoły poeta uczynił, — księżycowi

w kark dawać za to, że Filida przyjście swe pod umó-  
wiony jawor opóźniła. Ale z przymieszki do pierwiastków  
innych pierwiastku myśli powstają: »sztuka — filozofja,  
sztuka — moralność, sztuka — patriotyzm«, straszdyła,  
przeciw którym hucem, zbrojnym we wzgardliwe słowa  
i nazwy, występują ci, którzy nie myślą i chlubią się tem,  
że nie myślą.

O takich, jeden z wielkich krytyków francuskich  
(Dumie czy Brunetièrre) niedawno powiedział: »Rozu-  
miem, że mogą istnieć na świecie ludzie, którzy trzech  
myśli w głowach swych nie posiadają, ale jakim sposo-  
bem przychodzą oni do chlubienia się tem, że ich nie  
posiadają, tego żadnym sposobem zrozumieć nie mogę«.

Ona — zakazu nie słucha. W naturze, prawach  
i drogach jej tkwi konieczność myślenia. Myśli.

Tylko proces myślenia jest w niej różny od ogól-  
nego, zwyczajnego. Myśli ona nie słowami, jak wszyscy,  
ale obrazami, wizjami, których spodem przepływa pło-  
mię wzruszenia. Myśl i uczucie pracują w niej współ-  
rzędnie, a nawet uczucie jest w robocie pierwsze, bo za-  
pala myśl i bez niego pozostaje ona bezpłodną.

Myśl jej wysyła na otaczający widnokrąg spostrze-  
ganie, aby zbierało po nim zjawiska wszelkiej natury  
i, całą siłą rozpierając jego granice, rozpraszało przy-  
staniające go mgły. Jeżeli wysłaniec myśli, spostrze-  
ganie, bystry i lotny nie jest, widnokrąg pozostaje cia-  
snym, wizje są nieliczne i omglone, wzruszenia przez nie  
rozniecane słabe.

Niekiedy myśl jej wzbija się nad ziemię i z wyso-  
kości, spostrzegając niezmiernie drobne rozmiary jej

i wszystkiego, co na niej, przejmując się nawskróś tęsknotą ku nieskończonej wielkości, leci w poszukiwaniu jej, ku niej i za nią we wszechświat, w zaświat, w przestworza, granic nie mające, do pierwszych przyczyn i ostatecznych końców wszystkiego, do Boga. Wtedy modli się, skarży, błaga, słaba i śmiertelna upada na twarz przed tem, co przepotężne i nieśmiertelne — poezja religijna.

Niekiedy myśl jej nad morzem życia ludzkiego stoi na wysokim cyplu zadumana i patrzy, jak fale morza przepływają, przemijają, uderzają się o ścianę skalną, u stóp jej konają i młkną, jak łona fal tych krótkotrwałych mętne są, zakrwawione, burzami wstrząsane, pianą napróżno szumną, znikomą oblane. Uderza w nią ten widok uczuciem przemijalności, uczuciem skazitności wszystkiego co ludzkie. Ogarnia ją smutek niezgłębiony i żądza rzeczy wiecznych, czystych, takich, których nie mącą kurzawy ani lzy, które nie rozbijają się o skałę śmierci, nie kończą się — w pustce. Wtedy poezja filozoficzna, jak rozżęskniona Psyche znikniętego Erosa, po wszystkich drogach i rozłogach świata szuka poczyną złotego klucza, który zagadki bytu rozwiązuje, przyczyny i cele jego odstania. Czy znajduje lub kiedykolwiek znajdzie? Pytanie. Lecz w poszukiwaniu natrafia na mnóstwo światel, pociech i piękności.

Niekiedy, wizje i wzruszenia, siła odgadywania i siła uczucia, tak myśl jej zaostrażają, że przebija zasłonę czasu i ukazuje za nią to, co jest, choć jeszcze się nie stało, co jest w stanie stawiania się, które ona jedna wyczuwa i spostrzega. Wówczas poezja wieszczą wywroża dalekie przyszłości; natchnione przez nią usta,

w porze najwyższego szczęścia przepowiadają nieszczęście, po upływie zaledwie wieków spełnić się mające, natchnione przez nią głowy napelniają się wizjami Pankracych, Leonardów, Henryków, obozów i okopów, walk i rozmów, które świat ma zobaczyć i usłyszeć po upływie zaledwie długich dziesiątków lat.

Czas płynie, ona po jego przestrzeniach zbiera zjawiska, utrwała je swoim pendzlem i rylcem, staje się zbiornikiem wiekowych uczuć i myśli narodu, wszystkich wytworów jego duchowego życia. Staje się miarą jego wznostu, świadectwem jego wartości, rozległym wizerunkiem szeregu pokoleń i spoidłem pomiędzy pokoleniami,—arką Przymierza między dawnymi i nowymi czasy.

Czas płynie; przez jej wieszczów przepowiedziane spada na naród nieszczęście nad nieszczęściami: niewola — niewola twarda, nielitościwa, z mieczem zagłady w ręku. Wówczas wszystko znieruchamia się, milknie, przypada do ziemi, pierś przywiera do ziemi i pieszczotami jej upojone szaleje, lub oparami jej przeniknięte usypia, rozkłada się, umiera.

Ona nie traci ruchu, ani głosu, ani dumy i odwagi, nie spuszcza oczu z widnokregu i po ciemnościach go okrywających szuka tych światel, które mają moc panowania nad ciemnościami, moc, dającą życie i trwanie w ciemnościach. Ona nie wierzy w wiekiistość ciemności i do pogrążonego w niej narodu woła: idź i czyn, a wyjdiesz na światłość! Ona nie może przestać czuć, myśleć, mówić, więc pośród głów, serc i ust zamartwiałych, czy uspiionych myśli, kocha, mówi, wstrząsając, budząc, nie dając spać, nie dając w letarg zapaść i umrzeć. W nie-

woli i pomimo niewoli, w okowach, we łzach, prowadzi nieustannie swe rzeźbiarskie, malarskie, śpiewackie, myślicielskie roboty, przed zmęczone oczy, przed rozbolełe serca, przed mdlejące dusze narodu stawiając wizje rzeczy pięknych, rzeczy dobrych, silnych, czystych, wiekui-  
stych, z których biją żywiące i wskrzeszające źródła... Przychodzą ludzie obojętni, wzgardliwi i dumni, patrzą na zwyciężonego, który w okowach, jak martwy na dnie ciemności, rozciągnięty leży i mówią: już umarł, już go niema! Ona naprzeciw tym ludziom powstaje i odpowiada: *Cogito, ergo...* Nie! *Cogito et amo, ergo sum!* Myślę i kocham, więc jestem! Wśród śmierci pozornej, ona życiem swem świadczy o niezgasłym i do zgaszenia niepodobnym — życiu narodu.

Wtedy jest sztuką patrijotyczną. I niech nikt nie waży się na tę jej postać rzucać kamieniem potępienia, bo wtedy drugim imieniem jej jest Miłość, trzecim Odwaga, a czwartym wielkie Cierpienie, bo wtedy służy ona temu co jest na ziemi najwspanialszem: Sprawiedliwości i Wolności, a strzeże tego, co na ziemi najpiękniejsze i najdroższe: życie.

Ale jeszcze jedna istnieje na świecie jej robota: cicha, skromna, napozór drobna, jednak uroku i słodyczy pełna.

Pisarz pewien, z imieniem bardzo głośnem, otrzymał raz list następujący:

»Panie! Dwie nas było na świecie: ja i Matka moja i byliśmy wśród ludzkiego tłumu, jak dwie krople samotne, które, wzajem ku sobie przytulone,



po obcem morzu płyną. Kochaliśmy się tak, jak tylko matka najlepsza i córka ogromnie wdzięczna kochać się z sobą mogą. Przed rokiem tę moją nad życie kochaną skrzydłami z płomieni i sztyletów objął smok strasznej choroby.

» Jej bólów i mojej męki, gdy na bóle jej patrzyłam, opisywać nie próbuję. Przychodzę do Pana po to tylko, aby powiedzieć, że były wśród nich chwile wytchnienia, zapomnienia, ulgi i że te chwile książkom Pana zawdzięczamy. W ścianach pokoju szczelnie zamkniętego, w chmurne dni jesienne i w głucho, ponure noce, siadywałam u wezgiłowia chorej Matki mojej i czytywałam jej Pana powieści. Bywały one dla niej balsamem usypiającym bóle, usuwały z przed jej oczu widmo bliskiej śmierci i gasiły w sercu ogień niepokoju o istotę kochaną, która po jej zniknięciu bez nikogo kochającego zostać miała. Zajmowały ją one, wzruszały i raz jeszcze na chwilę wprowadzały w życie, z którego, że niebawem wyjść musi, wiedziała. Nie przestawała cierpieć, ale pomimo cierpienia uśmiechała się czasem, albo ocierała z oka łzę, która była łzą współczucia i zachwycenia. Dziś, ona już nie żyje. Gorzkiemi łzami po niej rozplakana, przychodzę podziękować Panu za jej ostatnie uśmiechy i dobre łzy...«

Drugi list, przez tegoż pisarza ze sławą rozgłosną otrzymany, brzmiał, jak następuje:

» Nie jestem jeszcze stary, ale wóz życia ciężko przetoczył się po mojej piersi i napelnił ją goryczą

zwątpienia o sercach ludzkich, o możliwości szczęścia, o wartości własnej i wszystkiego, co na ziemi. Często zapadam w smutek bezdenne i są to dla mnie chwile złe i do złego wiodące.

»W jednej z chwil takich przeczytałem książkę pana i, gdy od ostatniej karty jej oderwałem oczy, ze zdziwieniem uczułem się mniej, niż byłem przed kilku godzinami, smutnym i złym. Spostrzegłem jakieś światła, przerywające ciemność i jakieś nici, które, pomimo wszystko, wiążą mię z ludźmi. Jakaś dawno nie słyszana pobudka do myślenia, do kochania, do życia zagrała mi w głowie i sercu. Wstałem, w stronę, kędy pan mieszka, z podziękowaniem skinąłem głową i — krokiem rażnym poszedłem do roboty«.

.....  
Oto, co ona czyni i na co jest potrzebna.

## KILKA SŁÓW O SŁOWACKIM.

Poezja jest wzlotem myśli nad poziom codzienny, płomieniem serca, wizją wyobraźni, krzykiem duszy do zaświata o dobro, piękno, szczęście, doskonalsze nad te, jakimi ten świat obdarzyć jest w stanie.

Wszystko to istnieje we wszystkich duszach ludzkich, lecz w stanie ułamkowości, rozproszenia, niejasnych i przelotnych przeżyć raczej niż uczuć. Błądzą różne lzy, uśmiechy, błyski, róże, miecze po mnóstwie głów i serc i nie rozumieją ich, nie utrwalają żadnym zewnętrznym znakiem głowy i serca.

Aż przybywa na świat człowiek, który te poruszenia duszy, po milionach piersi ułamkowo i nietrwale rozproszone, w jedną pierś swoją, nad inne szerszą, w jedną duszę swoją, nad inne głębszą, zgromadza i — zaklina w pieśń, której ludzie słuchają z zachwytem, bo w niej i w niej dopiero, jak w magicznym zwierciadle, rozpoznają wnętrze własne.

Człowiek, który błędzące po duszach ludzkich iskry, rojenia, wzloty zgromadza w jedno płomień, w jedną wizję, w jeden ku wysokościami i ku głębinom rzut

i utrwała je wyrazistym, płomiennem, melodyjnym słowem, nazywa się — poetą.

Poeta jest zwierciadłem, które w skupieniu, powiększeniu i oświeceniu odbija w sobie wnętrza milionów ludzi i jest soczewką, która skupia w sobie i w snop blasków wiąże promieniowania milionów ludzkich mózgów i serc.

To tłumaczy ten stosunek miłosny, który zazwyczaj pomiędzy ludzkością a poetami jej zachodzi. Poeci kochają ludzkość, ponieważ od niej biorą wszystko, czem na najwyższych szczytach jestestwa swego są; — ludzkość kocha poetów swoich, ponieważ na ich rękę wstępuje w krainy upragnione i przez ich usta rozmawia — z nieskończonością.

Odkąd ludzkość istnieć poczęła, istniała w niej poezja, istnieli też poeci, lecz w pierwszych momentach życia plemion ludzkich zaczątkowości dusz odpowiadać musiała zaczątkowość form, w których poruszenia ich przez poetów wyrażane bywały.

Formami pierwotnemi, formami, w których poezja po raz pierwszy próg świata przestąpiła, były: baśń, piosnka, podanie, legenda.

Nie należy wyobrażać sobie, że te pierwsze twory poetyckie ludzkości zjawiały się zawsze pod postacią wierszy rymowanych; nie należy wogóle wyobrażać sobie, że utworem poetyckim jest ten tylko, który posiada rym i że temu tylko przynależny jest tytuł poety, kto tworzy wiersze mające rymy. Bywa często poetyczność wysoka w formie prozy i prozaiczność pospolita w formie rymowanego wiersza.

W formie prozy lub wiersza, częściej nawet w pierwszej niż w drugiej, pierwotne twory poetyckie oblatywały plemiona żyć rozpoczynające, jak ptaki na wiosnę oblatują wierzchy lasu, w którym gniazda swe uwić i ród swój rozmnożyć mają. Podawały je usta ustom, pamięcie pamięciom, pokolenia pokoleniom i stąd jedna z ich nazw: podanie. Aż przybywał poeta, od poprzedzających genjalniejszy i tysiączne, rozproszone, niepełne baśnie, podania, piosnki zbierał, rozszerzał, przyozdabiał, wykończył i tworzył z nich jeden logicznie skonstruowany i w samym sobie zakończony poemat.

Takim sposobem na poranne niebo ludzkości wzeszły te poematy potężne, które ona o południu swego życia czcić i powtarzać nie przestaje; takimi były przednarodzinowe dzieje Iliady greckiej, Sag skandynawskich, Nibelungów niemieckich, Kalewali fińskiej i tych nankomic liczących cyklów powieści czarnodziejskich i rycerskich, któremi żyły wieki średnie.

Potem, razem ze wzrostem wszystkich rzeczy ludzkich, poezja wzrastać zaczęła w wysokość, w obszar i nakształt gałęzistego drzewa rozrastać się na mnóstwo form i rodzajów, — formy zaś jej pierwotne spłynęły na dno społeczeństw i pomiędzy najniższemi ich warstwami, jak dziłkie kwiaty po mrocznej dolinie rozsypane, otrzymały nazwę poezji ludowej.

Kwiaty to były dzikie, ale samą swoją dzikością i prostotą piękne — i było w nich wiele szczerości, prawdy, przez kunsztowność i wymyślność nie nadwężonej.

Więc gdy kunsztowność i wymyślność sprawiły, że drzewo poezji zbyt sztucznie wylamywane, od gorących

powiewów natury chronione, u wierzchołka próchnieć poczęło, przyszedli poeci, którzy do pnia jego, do korzenia, do pierwszych jego początków zstąpili, aby z samej ziemi tryskających, świeżych mocnych soków zaczerpnąć i niemi drzewo poezji odrodzić.

Poeci, którzy po świeże pomysły i motywy, po silne akcenty i niezuciłe barwy do poezji ludowej zstąpili, noszą w historii poezji nazwę romantyków. Nietylko w Polsce, ale we wszystkich krajach oświeconych, punktem czasu, na którym istnieli, jest, jak wiadomo, pierwsza połowa 19-go stulecia.

Zstępowali na dno społeczne i zrywali tam drobne pąki, które w ich ręku rozwijały się w przepyszne kwiaty. Z rąk ludu brali małe ziarna złota i wysnuwali z nich przędzę na królewskie purpury i złotogłowa. Taką jest prawda, że dusza ludzka to architekt, który materiałom budowlanym nadaje miarę własną i gdy jest małą, liche lepianki buduje z drogocennego marmuru, a gdy jest wielką, z kruchej gliny wznosi wspaniałe pałace.

Tak jak wielu współczesników jego w krajach innych i w Polsce, Juliusz Słowacki zstępował na dolinę poezji ludowej i z jej kwiatów zdejmował barwy świeże, z jej głosów czerpał motywy bogate i akcenty silne.

Był w podaniach ludowych ksiączę, który pokochał dwie naraz siostry; była dziewczyna dumna i chciwa, która przez dumę i chciwość w sercu siostry morderczy nóż zatopiła; był pustelnik, który w lepiance leśnej strzegł przed okiem ludzkim korony królewskiej; była córka, która, zasiadłszy na książeńcem tronie, matkę-chłopkę, w noc piorunową, z pałacu swego wygnała; — i z tych

motywów wyprowadzony, powstał pod piórem wielkiego poety wielki dramat: Balladyna.

W podaniach i baśniach ludowych istniały zbrojne, zażarte walki plemion, z których jedno ziemię i życie innym wydzierały; — istnieli pieśniarze, którzy dźwiękami harf swych w piersiach ludzkich lwy budzili i wiedli je w boje na śmierć lub zwycięstwo; — istnieli ślepcy z purpur królewskich odarci i po krwawych drogach prowadzeni białemi rękoma córek anielskich; istniały lilje wodne, których łodygi posiadały mięsz żywiący dla ludzi głodem mrących; istniały węże, w których wnętrzościach muzyka głód w milczeniu zachwycone zaklinała; — i z tych motywów, pod piórem jednego z największych poetów świata, powstał jeden z najpotężniejszych w świecie dramatów: Lilla Weneda.

Wpółbajeczna to historja walki dwóch plemion, w której przed napastniczymi Lechitami Wenedzi bronią się zażarcie, lecz nadaremnie, gdyż od początku świata liczba i siła mieczów odnosiła zwycięstwa nad siłą i wielkością dusz.

Na czele walczących Wenedów stoi 12-stu harfiarzy, z których pierwszym harfę najgłośniejszą w rękę dzierżącym jest sam król narodu, niezłomny starzec i natchniony pieśniarz-Derwid.

Przez Lechitów na polu bitwy pojmany, Derwid staje się ich niewolnikiem i razem z nim niewolnicą staje się jego harfa. To nic jeszcze, że król jest pojmanym; klęska Wenedów w tem tkwi, że uwięzioną jest jego harfa. Bez niej, bez jej pieśni, naród już długą walką wyczerpany, niewolnikiem lub trupem padnie u stóp zwycięscy.

Tak zaraz u początku dramatu bohaterką jego staje się — harfa. W niej zaklęty jest duch bohaterstwa, który gdy ducha narodu nie przeniknie, naród zgaśnie — jak zdmuchnięta świeca.

Ale obok tej bohaterki symbolicznej, są dwie inne, żywe, nawskróś purpurową krwią ludzką nalane. Wielki niewolnik ma dwie córki. Róża Weneda i Lilla Weneda, dwa najróżniejsze typy i dwa najwspanialsze duchy niewieście, o jakich kiedykolwiek zamarzyła poezja świata.

Róża — to płomień wulkanu, luna pożaru, genjusz niewieści, który myślą i ukochaniem tak szerokie zatacza koła, że niemi tajne otchłanie przyszłości przenika; — to prorokini i wieszczka narodu, jego tylko czci i wolności oddana kapłanka.

Dla niej, okrom losów jej narodu — nie istnieje nikt i nic. Gdy ojciec jej wraca z niewoli bez harfy, — mającej Wenedom dać zwycięstwo, ona wżgardliwie, niemal nienawistnie: »cóż ojciec?«; ona siostrę strwożoną o los swój łaje:

»Cicho! Czy Bóg ciebie jedną  
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?  
Tam krew nasza i krew wroga  
Zrobiła strumień i łożo

I Gopło zaczerwieniła:

Będiesz ty jak płaczka wyła  
Nad sobą gdy rycerze konają?«

Ona nie zna pogody, pieszczoty, ciszy, słodkich sielanek u brzegu srebrzystych ruczaj; ona nie wie o szczęściu własnem, swoim, tak jak zwykli nie wiedzieć o nim



wszyscy ci, co dusze swe rzucają pod koła wozów, toczących losy spraw i rzezy wielkich.

Ona, Róża Weneda, jest całopalną ofiarą, która z piersią pełną hasel, jęków, krzyków, mąk, spala się na ołtarzu — miłości ojczyzny.

Lilla Weneda, to strumień przeczysty, na jasnym od słońca błoniu wśród kwiatów szemrzący, i gołębica, do rodzinnego gniazda przywiązana sznurami tak białymi jak perły, tak czystymi jak miłość córki dla ojca, dla braci siostry, kochanki-dziewicy dla brata-kochanka.

Lilla od pola bitew, od krwi przelewanej trwożliwy wzrok odwraca, hasel nienawiści i zemsty nie słyszy i może nawet ich nie rozumie. Światem jej dom rodzinny, którego jest białym anielstwem i zarazem różowym weselom. »Ty smutna, — do siostry mówi, — byłaś mnie wesolej matką«. A gdy harfiarze wołaniem: niestety! niestety! klęskę przez Wenedów poniesioną obwieszczają, gdy Róża do tych, którzyby krom tej jednej inną jeszcze jaką żalność w sercach mieli, woła: »nie czas żałować róż, kiedy lasy płoną!«, z piersi Lilli wyrywa się okrzyk jednej tylko tkliwości i trwogi:

»O bracia moi! O, mój drogi ojcie! Gdzie ty?«

Ale ten strumień przezroczy ma łóżysko głębokie, ta gołębica ma serce w ukochaniach swych tak mocne, że w ich obronie przerabia się na serce lwicy. Na wieść o nieszczęściu ojca i braci, lwicą na ich ratunek biegnie do obozu wrogów.

Męczeństwo Derwida rozpoczyna się w pierwszym już akcie dramatu. Królowej Lechitów, okrutnej i dumnej

Gwinonie, na rozkaz jej zagrania na zaczarowanej harfie, król-harfiarz odpowiada:

»Nigdy, o nigdy, piekielna,  
Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,  
Nigdy ta ręka od łańcuchów sina  
Strun się nie dotknie. Nigdy moje oczy  
Łez nie wyleją, póki te lzy moje  
Mogą posłużyć wam na wywołanie  
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu.  
O nie! Nigdy wy z króla niewolnika  
Nie uczynicie słuźalca harfiarza!«

Oczy, które nie chciały łzami swemi wrogów radować, Gwinona królewskiemu jeńcowi swemu wydrzeć rozkazuje. Lilla, w obozie Lechitów, znajdując oślepionego już ojca, woła:

»Tobie wydarto oczy! Czy zupełnie?  
Poczekaj, krew ci obetrę włosami  
I nigdy włosów moich nie obmyję,  
Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone  
I w tej koszuli okropnej uklękne  
Skarżyć się Bogu...«

A Gwinonę błaga:

»— ...o! na Boga,  
Dajże mi teraz Pani tego starca!  
Wszakże ty widzisz, że on nie ma oczu  
Tylko te biedne moje dwie źrenice.  
Które lez pełne. O! dajże mi teraz  
Mego ślepego ojca!«

Tu pomiędzy okrutną królową a bohaterską córką rozpoczyna się turniej, w którym nagrodą zwycięstwa

ma być życie Derwida. Jeżeli Lilla potrafi trzy razy wydrzeć go śmierci przez Gwinonę obmyśloną, do niej należeć on będzie i ona go wolnym wywiedzie z obozu Lechitów.

Dokonywa tego ta biała, gołębia dziewczyna czarodziejstwem wymowy, pieśni i siostr swoich, tak jak ona, niepokalanie białych lilij wodnych.

Słowami pełnymi mądrości przebiegłej i płomienych zakłęb skłania brata, aby zuchwałem ciśnięciem topora przeciął pasmo włosów siwych, które ciało Derwida, od udręczenia mdlejące, do drzewa gałęzi przytwierdza.

Dzikiej grozy pełną jest ta scena, którą zamyka przerażona pieśń chóru harfianzy:

»Gdzie sprawiedliwość Boska? gdzie pioruny?  
Syn na własnego ojca topór rzuca...

...O, biada wam! o! biada niewolnicy!  
Mięsza się wasza krew z waszemi łzami,  
Serca dajecie pod dziób orlicy  
Ona wyściela gniazdo waszemi włosami...  
O, niewolnicy!«

Więc Gwinona mówi:

»Spojrzałam wczoraj w jedną wieżę,  
Która przy zamku stoi zrujnowana; —  
Spojrzałam: z godzin okropne powoje —  
Blyszczące, pełne ślin, pną się na ściany:  
A w głębokości gniazda węzów leżą,  
Blyskają oczy, wiją się ogony,  
I ciągle słyhać świst, sykanie, gwary,  
W tę sykającą ciemność, w to węzowe  
Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić  
Twojego ojca.

»O! więc mi skonać!« woła Lilla, lecz wnet chwyta harfę ojcowską i z nią wybiega, mówiąc: »ta harfa go zbawi!«

Zbawiła. Wódz-dworak Lechitów opowiada królowej, co około wieży węzowej przedstawiło się zdumionym oczom jego:

Ja tam widziałem  
Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły.  
Przy wieży biała księżycem dziewica  
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej  
Wkrąg stoją węże, tak wyprostowane,  
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną:  
Ona te węże czarodziejską pieśnią  
Zaczarowane trzyma i spokojne,

GWINONA.

Więc wieża, gdzie ten stary człowiek?...

SYGON.

Pusta.

Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary,  
Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,  
Są słuchaczami córki.

GWINONA.

O! głupie węże! o! przeklęte gady! —  
Córce odebrać harfę i wypędzić.  
Derwida zamknąć w podziemne ciemnice;  
Czego nie zrobił wąż, dokażę głodem.  
Czy go nakarmi córka — zobaczycie.

Nakarmiła. Opowiada o tem akt czwarty dramatu, najwspanialszy, najdoskonalej sam w sobie zamknięty, dziwnych piękności najpełniejszy; akt ten zgromadza

w sobie i ukazuje wszystkie główne postacie utworu: Lecha, Derwida, Ślaza, Gwinonę, Różę, Lillę i — tę harfę królewską, która jak duch żywy krąży po dramacie i o którą w akcji tym bój dla Lilli śmiertelny stacza się w sercu jej ojca. Jest tu jeszcze mała, jak robak śliska, jak wąż »ślin pełna« postać Ślaza, wpółgłupca, wpółłotra, który jednak, jak to często z lichemi istotami bywa, przyczynia się do sprowadzenia na wielkie postacie utworu katastrofy finalnej. Tak czasem pod stopy olbrzyma, lub pod koła wozu toczącego w przyszłość sprawę wielką, przypęta lichy, lecz od śliny jadowitej oślizgły robak i — olbrzym pada, wóz stacza się w przepaść. Są jeszcze w tym akcie namiętne, rozpaczne wołania i wróżby Róży Wenedy, która z wyrwanych swych włosów czyni bicz, aby nim do mężnego boju gnać rodaków, mających w piersiach poprzemieniane drżące liście olchowe lub kłęby robacze.

Co zawiera w sobie akt V-ty i jak brzmi ostateczny finał tej strasznej, tej krwawej, tej cudnej historii — nie opowiem. Ci, którym ona znana jest i w pamięci przytomna, niechaj ją w duszach swoich dośpiewają, a ci, którzy dotąd nie zapoznali się z nią, lub którym z pamięci uleciała, niech przybiegną do źródła i wypiją wprost z niego zaczerpniętą czarę wzruszeń, któremi ono płynie. Będą mieli szczęśliwą godzinę przebywania twarzą w twarz z jednym z największych genjuszów poezji polskiej i powszechnej.

Tylko jeszcze kilka niedługich uwag. Tragicznych par, złożonych z królów-ślepców, którym koronę i oczy wydarto, i z córek-bohaterek, którym nieszczęście ojcow-

skie serca przemienia w ranę bólu, w płomień poświęcenia, poezja powszechna świata zawiera trzy. Starożytna Grecja miała o tem tragedję Sofoklesa z bohaterką Antygona; angielski Szekspir stworzył na tym motywie dramat króla Leara; Polsce przyniósł Słowacki w darze Lillę Wenedę. Edyp i Antygona, Lear i Kordelja, Derwid i Lilla, trzy krzyki tragiczne i dzieła genialne, odpowiadające sobie poprzez niezmiernie odległości przestrzeni i czasu. Snać ten motyw poetycki powtarzał się w pierwocinach poezji wielu krajów i ludów i snać był bardzo w wątki bogaty, skoro trzy narody, wszechwzględnie od siebie dalekie, wysnuły z niego trzy arcydzieła. Lecz to wiedzieć mamy, że polska Lilla ani o jedną linję niższą nie jest od greckiej Antygony, a angielską Kordelję wzrostem swym przewyższa.

W postaci Lilli tkwi nie tylko wielka piękność tragiczmu, ale także piękna wielkość prawdy psychicznej, z głębi istoty ludzkiej na jaw dobytej.

Bo zważmy: Lilla Weneda jest dziewczicą skromną, domową, niemal naiwną, jest niemal dzieckiem. Skądże więc mogło powstać w niej tyle krasomówczej wymowy, chytrej mądrości, przemyślnych wybiegów? Oto, ma ona serce wielkie, które stworzyło w niej rozum. I to jest właśnie tą prawdą psychiczną, zbyt mało w świecie znaną, że od serca do rozumu nie zawsze tylko płomienie uczuć biją, lecz płyną czasem i potoki myśli. Serce wielkie zdolnem jest uczynić z człowieka nie tylko lwa odwagi, ale także orła wysokiego lotu, i nikt nie odróżni, nie zgadnie, ile każde poruszenie ludzi naprzód lub wzwyż zawiera w sobie trudu myśli, a ile rzutu serca, jaką mocą uczucie

wspiera w niem rozum. Ta łączność serca z rozumem, silnych uczuć z silnemi myślami jest prawdą psychiczną wielkiej wagi, którą genjusz poety dostrzegł i pogłębił nią postać głównej bohaterki dramatu tak, jak okrutną królowę Lechitów, Gwinonę, pogłębia miłość macierzyńska i gniazdo jaskółcze, litościwie u okna komnaty przed zgubą strzeżone.

Nakoniec pytanie ostatnie:

Co znaczą harfciarze? Jaką myśl zawarł poeta w ludziach tych, którzy śród walki zbrojnej, zamiast ostrzem żelaza, błyskają złotem strun. Dlaczego harfciarze idą z pieśnią swą przed wojskiem i dlaczego w królewskiej harfie zakłęty jest triumf narodu? Kim są harfciarze?

»Dębowie wieńce na czołach,  
A w ręku harfy złociste,  
W piersiach serca bursztynowe,  
Jak słońca złote i czyste,  
A w ustach pieśni grobowe,  
Co budzą narodów lwy,  
To są harfciarze...«

Otóż to. Budzą narodów lwy, — nie dają sercom narodów przemieniać się w drżące liście olchowe i w gniazda robacze — oto ich przeznaczenie, ich na ziemi racja bytu, ich na ziemi dział. Dlatego, gdy naród o życie bój toczy, oni przed narodem idą — wodzowie duchów.

I gdy:

»Z ust się wydiera krzyk o zemstę Boga,  
Czekamy wszyscy drżąc na piorun z chmur,  
A kiedy milczy niebo — śpiewa chór —  
A kiedy śpiewa chór, — drży serce wroga!«

To jest prawda. Pieśń ma wielką nad narodami moc i dopóki »śpiewa chór« niechaj nikt nie rozpacza, bo lwią odwagą, orlą mądrością, mrówczem wytrwaniem nabrzmić może jestestwo narodu i — zwyciężyć.

Lecz, aby pieśni chóru odwagą, mądrością, wytrwaniem krew narodu zaprawiły, trzeba, aby harfciarze w piersiach własnych mieli »serca bursztynowe jak słońca złote i czyste« i trzeba, aby naród na pieśni ich miłosny słuch nastawiał, duszę swoją przed nimi na oścież roz-wierał.

Jeżeli serca harfciarzy są »jak słońca złote i czy-ste«, a do tych serc słonecznych ściśle przypada skrwa-wione serce narodu, finalnem słowem pieśni i dziejowego dramatu może być — zwycięstwo!

---



MARJA KONOPNICKA:  
»PROMETEUSZ I SYZYF«.

Jak czarodziejski kobierzec w bajce, dramat ten przenosi nas z nizin i aktualności ziemskich w najwyższe strefy ludzkiej myśli, jej zagadnień i symbolów.

*Motto* książki brzmi: »Abyssus abyssum vocat!«  
»Otchłań rozmawia z otchłanią«. I *motto* prawdę mówi, nie przesadza. Prawdziwe to są otchłanie i tak głębokie, że prawie bezdenne, nad które przyprowadza nas wielka poetka.

Jedna wgłębieniem nieścignionem wzbija się ku wysokościom niebieskim, dno drugiej wżarte w niezgłębione wnętrzości ziemi, a usta obu, rozwory bezgraniczne, zwrócone są wzajem ku sobie.

Pierwsza otchłań jest pełna światła, drugą po brzegi zalewa ciemność. Patrzą na siebie oko w oko, długo, nie znając się i nie widząc. Trudno światłu przejrzeć ponurą duszę ciemności; trudno ciemności wznieść wzrok ponury ku olśniewającemu światłu. Jednak przychodzi moment spotkania się i zaznajomienia, a z momentu tego, jak z dwu chmur piorun, wystrzeliwa dramat.

W otchłani górnej płonie ognisko ducha i od niego

rozlewa się po niej światło. Ono też zapala na niebie słońca myśli, księżycy górnych marzeń, gwiazdy idei wielkich, uczuć wzniosłych, celów wysokich. Władcą ogniska tego jest Duch najpotężniejszy, król-Duch, Zeus, który zazdrośnie ogniska strzeże, ani jedną smugą i ani jedną iskrą jego z nikim podzielić się nie chcąc. Dostać je można nieinaczej, jak kosztem walki tytanicznej, trudu niezmiernego i męki niewysłowionej. Jednak bez iskier, z ogniska ducha pochodzących, źle jest ziemi, najgorzej, najciężej, najciemniej, wżartej w najgłębsze jej wnętrze otchłani.

W tej ciemnej otchłani dolnej przebywa życie takie, jakim jest, gdy nie przenika go żaden promień z ogniska ducha, życie potężnego i ślepego cielska materji, które nie widzi słońc, ani księżyców, ani gwiazd, nie wie nawet o tem, że istnieją, ani o tem, dlaczego samo istnieje i toczy głazy. Bo nie przebywa w rajku kwiecistym. Staczają się na nie ciężkie głazy i aby przez nie zmiażdżonem nie zostać, chwytają je, to cielesne życie materji, chwytają je całą siłą olbrzymowych ramion i po zboczach skał twardych ku szczytom odtaczają. One znowu po twardych zboczach w dół się staczają, a ono znowu chwytają je i, od siebie odpychając, ku górze toczy. Co odepchnie i zatoczy głaz-głód, głaz-nagość, głaz-ból, głaz-zmęczenie, on znowu ku niemu się toczy i znowu ono go odpycha i odtacza. Tak czyni nieustannie, bez wytchnienia, aż mu czoło staje w pocie, aż mu grzbiet staje w pocie, aż mu okruchy skał i głazów do lez oczy zasypują. A poco ta wiekuista praca i męka? Nie zapytuje, nie myśli o tem. Wogóle, nie myśli o niczem. Głazy spadają,

więc je toczy; toczy je, — bo toczy. To jest życie. Jego życie. O tem wie i ponad to o niczem nie wie i wiedzieć nie pragnie, ani o tem, że cośkolwiek wogóle wiedzieć można i że wiedzenie jakiegokolwiek na cokolwiek jest potrzebne. Ponury jest ten mieszkaniac ciemnej jaskini. Tytan z siły ramion, ślepiec z oczu zamkniętych na wszystkie niebieskie światła. Całej ziemi bez tych światel źle, ale jemu najgorzej, bo o samem nawet istnieniu ich nie wie. A jakież jest imię jego? Byli tacy, którzy nazywali go Kalibanem, w powszechnej mowie ludzkiej nazywa się ludem; poetka dała mu imię: Syzyf. Syzyf w dramacie tym — to lud.

Mijają wieki, aż nad ciemną otchłanią zjawia się istota dziwnie piękna, wzlotna myślą, odwagą, ofiarą — i pomiędzy dwiema otchłaniami znajomość zawiązuje. Tu początek dramatu.

Nad ciemną otchłanią staje Prometeusz, tak jak i Syzyf, Tytan, ale inny. Siła jego jest inna. Nie w ramionach mu tkwi, ale w myśli, w ruchu i pędzie myśli, którą ma od bogów. Na ziemi zrodzon, ognia, którego Zeus strzeże, jest dobrze świadom. Wie, że zbawienie ziemi od zalegających ją mroków w ogniu tym zakłęte. Wykraść go niebu i w darze ziemi przynieść trzeba. Przedsięwzięcie pełne grozy, lecz Prometeusz dokonac go zamierza. Utrudnia mu je, oprócz zawrotnych wysokości, na jakie wstąpić musi, grzmotliwy huk, zięjący z ciemnej otchłani. To materja tak huczy i życie jej ślepe, ciężkie, toczące głazy bez pożytku, bez celu, bez końca. To Syzyf odgłosami swej niekończącej się nigdy męki i pracy tak świat napelnia. Prometeusz pierwszy na

ziemi spostrzega ciemną otchłań i z ponurym jej mieszkańcem rozmowę nawiązuje. Pierwszy raz światło spotyka się z ciemnością i przemawiają do siebie dwie otchłanie.

*Prometeusz.* Potężnym głosem udarował cię Zeus Rodziciel. Wśród grzmotu skał cię słyszę...

*Szyf.* Mnie zrodziła ziemia.

*Prometeusz.* Ziemia, zapewne! I mnie także. Ale była mi matką tylko z ciała. Myśl moja z bogów idzie.

*Szyf.* Ale co ty tam robisz w górze? Nie pojmuję wogóle, co tam można robić w górze.

*Prometeusz.* Wieczne przekleństwo rozbratu między przepaścią a szczytem! I ja żyję, bracie.

*Szyf.* Więc i ty głazy toczysz?

*Prometeusz.* Moje życie to nieśmiertelny ruch i pęd myśli. Z bogów to mam... Ród mój jest nieszczęsny... On toczy myśli swoje, a myśli staczają się na dno. On toczy wolę swoją, a wola stacza się na dno. On toczy ducha swego, a duch stacza się na dno...

*Szyf.* Biedny!

*Echo.* Biedny!

*Echo dalsze.* Biedny!

I tyle tylko, że nieszczęsny ród Tytanów widzi słońce, księżyc, gwiazdy, i przy ich świetle szuka prawdy, która nigdy nie była znaleziona. Znaleźć ją pragnie, znaleźć jej nie może i pragnienie, ukojenia nie znające, jest mózgowi jego sroższem, niż pot morzolu grzbietowi Syzyfowemu. Ale Syzyf o tem nie wie; on wogóle o niczem górnem nie wie, a kiedy dowiaduje się, to nie wierzy. Więc kochanek słońca, gwiazd i księżycy opo-

wiada mu o nich cudne i dziwne dziwy, a potem w drogę swoją, w walkę swoją, w mękę swoją odchodzi.

Jest tu jeszcze Prometeusz w tej pierwszej części poematu odzian w tunikę krótką i w czapkę frygijską. Jeszcze to jest zbuntowany, u wrót dzieła zamierzonego stojący duch rewolucjonisty. Więc krótka tunika niewolnika i czerwona czapka przewrotowca jeszcze mu przystoją. Plastycznością młodzieńczą rysują się w tej odzieży kształty jego, choć ma już w głosie brzmienie smutków przebytych, a na czole pieczęć niedalekiej męki.

Ale w części drugiej widzimy go już jako uskrzydłonego i w nimby świetliste upowitego genjusza. Już wykradł niebu ogień boski, już ziemię nim oświetlił i leci nad ziemię w triumfie objawiciela dróg, odnowiciela życia, dawcy siły i szczęścia. Ostatek rozlanego po ziemi ognia u piersi niesie i ten go piecze, pali, do żywej kości przegryza się przez skórę. To nic; on go z dłoni nie wypuści.

»Czuję swąd skóry własnej i skwierczenie ciała, ale nie puszczę... Ręki z ogniem z zana-  
drza nie puszczę... Błogosławię cię, męko moja.  
Trzykroć i trzykroć trzy błogosławię cię, bo  
ogień niosę. W cień, i zimno, i skrzepłość śmierci  
ogień niosę! Ludy i wieki widzę... ogniem  
znaczone idą... Jaśniej, coraz jaśniej... Ustę-  
pują mgły i błędne tumany. Jak zastona oblu-  
bienicy spada z ziemi opar siny... Harfa świa-  
tła brzmi okręgiem globu...«

Tak radować się zwykli Tytani myśli i czynu, gdy przed rozbiciem się kryształu marzeń o bronz rzeczywistości, mniemają, że niosą światu poprawy, ozdoby, ratunki. Tak radował się i triumfował Tytan Prometeusz.

Ale, ach! Nie wszystko jeszcze na ziemi oświetlone, oczyszczone, ogrzane, zbawione! Jeszcze ta jaskinia z nieszczęsnym Syzyfem o tytanicznej sile ramion, z mokrym od potu grzbietem i z mózgiem — ślepy!

Tę jaskinię, czy tę otchłań Prometeusz zna, stał nad jej krawędzią, patrzył w kłęby jej ciemności, słyszał straszliwe jej głosy.

Zlatuje nad nią, ze swą iskrą boską w ręku, nad krawędź jej zlatuje i słucha... Niema już teraz grzmotu toczonych głazów. Jęki po ciemnych głębiach wyją. Syzyf wyje z utęsknienia za słońcem, księżycem i gwiazdami, o których istnieniu i cudnem świetle dowiedział się był od Prometeusza. Dopóki nie wiedział, dopóty głazy cierpliwie toczył. Gdy dowiedział się, już mu się stało nie do toczenia głazów. Ujrzeć zapragnął to, na co patrzyli Tytani. Niechże ujrzy! Niech ma światłość na szczęście swoje, na wzrost swój, na wiekiiste od potów krwawych, od złości głuchych, od bólów niemocnych odkupienie!

»W przepaść męki i ciemności, siedmiorga głodów i siedmiorga potów, rzucę iskrę moją.

»Rzucę ją gdzie jest skrzywdzony... iżby ku żywotowi dojrzewał, jako żdźbło rodzajne.

»Na twardą pierś ją rzucę i na ramiona żyłaste i rozświecę nią mózg krzepki, jak ugór, który jeszcze nigdy nie rodził...

»Rozdzieram płaszcz mój i oddaję ci iskrę boską.

»Pójdź, a weź!«

W ciemnej otchłani czyni się jasność nagła i cicha. Słychać ogromny krzyk Syzyfa. — A!

Więc ciemnością karmiony, w ciemności upowity, ponury niewolnik materji, nieprzenikniętej światłem ducha, światło to otrzymał. Padła mu na pierś twardą, na mózg ugorujący, na ramiona żylaste iskra światła boskiego, przyniesiona z nieba na ziemię kosztem tysiąca walk, tysiąca trudów, tysiąca mąk Tytana Prometeusza.

Co z nią uczyni? Jakim się stanie w jej cichem, błękitnem świetle?

Oto u wstępu do ostatniej części poematu siedzi na odłamie skały Syzyf o ramionach potężnych, w sobie zbity i brylowaty, że aż mu ciało rzuca na ziemię cień krótki i czarny, a w pobliżu, w krwawej pozodze goreje miasto ludne, miasto kwitnące, miasto pełne ludzkich serc, prac i myśli. Goreje w krwawej pozodze dzieło synów Prometeuszowych, ręką Syzyfową podpalone.

Na okół głosy krzyczą, łkają, łają, szaleją.

— Podpalacz! podpalacz! Chwytać podpalacza! Tu szedł! Tędy uciekał! Sto uncyj złota za głowę podpalacza! Chwytaj! Łapaj!

A on, ten Syzyf-kamieniarz, z postacią mocną i grubą, siedzi sobie na odłamie skały spokojny, rozweselony i drwi.

— Tęgom ich podkurzył! W ogień wsadź rękę głupcze, będzie ci zdrowsza, niżbyś po moją głowę sięgał!

Nie lęka się niczego, sile swej ufa, tytanicznej sile wziętej z ciała. Zresztą, jakkolwiek iskrę światła otrzymał, tylu rzeczy jest nieświadom!

Nadchodzi Prometeusz, w Anhelicznej już postaci, po dokonaniu dzieła duch wolny już od materji, czysty, anielski. Widzi miasto płonące, słyszy krzyki rozpaczycy i wściekłości. Więc...

Znów okrzyk nieszczęścia i winy! Czy nigdy nie przebrzmi on nad światem?

Spostrzega Syzyfa, poznaje go po głosie.

— On! Poznaje go! On... siła! Wyzwolona siła przepaści! On wielki, surowy, mocny. Świat z niego nowy dysze... Ale wielki, surowy, mocny przemawia i — z ust jego wychodzą same tylko szyderskie, okrutne słowa: syk gadziny, która mści się...

Prometeusz zdumiewa się i woła:

— Iskra! Gdzie iskra, którą ci powierzył?

A Syzyf-Kaliban wyciąga palec ku gorejącemu miastu i odpowiada:

— Tam... tam iskra twoja!

Oto co nieraz ze światłem boskiem czynią ręce ludzkie! Ale czytelnikowi przychodzi do głowy myśl, że Prometeuszowa iskra boska czemś bardzo ziemskim albo i piekielnem zmaconą być musiała, skoro w jej świetle słońca i gwiazdy ukazały się Syzyfowi takimi samymi głazami jak te, które on toczył w swej ciemnej otchłani, a Zeus takim samym pacholkiem, jakim on był wtedy, gdy je toczył. Nie wiarę wziął od światła, które otrzymał, lecz zwątpienie. Zwątpieniem dotknięty morzem łez płakał, ale one plam złości z niego nie obmyły. Złość ogar-



nęła go na widok »wielkiej nędzy świata« i smutek go ogarnął tak samo wielki, jak ta nędza.

»Bo i ból jest głazem, który przez pierś się toczy i opada... I czas jest głazem, toczy się i spada, a proch, który z niego leci, nazywa się życiem. Szary, gryzący proch... A jeżeli życie jest tylko prochem tego głazu, który miliony toczą, i jeżeli miliony giną, myśląc, że głaz ten przecież gdzieś doleci i miecą go w górę, a nie dolata i dolecieć nigdy nie ma, to całą tę budę... rozumiesz? Ot tak!...

Czyni nogą ruch kopnięcia.

O! czemś ziemskim, czemś może piekielnem zmaconą, zatrutą być musiała iskra boskiego światła, Syzyfowi darowana!

Obdarzon światłem, Syzyf światła nie poznał, ciemność w światłości ujrzał. Rodem z materji będąc, głazem materji przywalił iskry ducha. Wiarę w boskość Zeusa, w wielkość i piękność słońc, gwiazd i księżyców postradał, a postradawszy zwątpił o wartości świata, i światła, i życia, i o jakimkolwiek celu, dla którego one powstały, są i w wiekuistym dążeniu ku czemuś trwają.

A kiedy tak jest, to i dlaczegóżby nie podpalić miasta, choćby w pożodze tysiąckroć serc pęknać, gmachów runąć, myśli zagasnąć miało, skoro przy ogniach pożaru członki swe rozkosznie ogrzać i przy odgłosie jego szumu i trzaskania wesolo zabawić się można?

Byle rozkoszy zaznać, byle zabawić się wesolo...  
O! zmaconą, zatrutą czemś była iskra...

I oto jak dojrzał mieszkaniec ciemnej jaskini, co z twardej jego piersi urosło, czego żyłastymi ramiony dokonał, co strzeliło z odwiecznego ugoru jego mózgu!

Oto, jak kryształy marzeń Prometeuszowych rozbijają się o bronz rzeczywistości!

Całą potęgą piersi tytanicznej litujesz się, Prometeuszu, nad Syzyfem, sępowi na żarcie wnętrzości swe oddajesz, byle zdobyć dla niego iskrę boską, zdobywasz ją, rzucasz ją w otchłań Syzyfową i na jej ciche, błękitne światło wychodzi — Kaliban.

Oj, zły wiatr jakiś powiał na iskrę, gdy ją Prometeusz niósł po przestworzach...

Teraz, czuje Prometeusz ból taki, jakiego może nigdy nie czuł. Teraz dopiero sęp nad sępami dziób swój we wnętrzości jego zamurza, szarpie je i zakrwawia.

Laskę runiczną nad Syzyfem wznosi.

»Iżeś boskiego ognia w pierś nie wziął, aleś zeń ziemi pożogę uczynił... Iżeś za światłem w górę nie rósł, aleś rzeczy górne ściągnął do własnej nicości... na wiek... na dwa... oddaję cię bezruchowi i senności głazów«.

Przez przemienienie światłości w ciemność, ognia w błoto, świętości w zbrodnię, Syzyf sam dla siebie na długo, na długo, zamyka drogę do życia w świetle gwiazd i słońca, zamyka drogę do ruchu naprzód, ku zbawieniu. Pod wyciągniętą nad nim runiczną laską Prometeusza, Syzyf-Kaliban kamienieje w bezkształtny posąg. Dramat skończony.

W książce skończony, ale nie w życiu. Odegrywa

się wciąż na powierzchni ziemi, jesteśmy jego świadkami naocznymi i cześć poetce za to, że go przed nami myśla swoją i słowem prześwieciła.

Mała rozmiarami książka ta jest tworem wielkim. Są w niej przejmujące akcenty bólów Prometeuszowych i plastyczne malowania Syzyfowych losów, jasne widzenia tych tragedij i ironij, któremi nabrzmiewają Prometeuszowe trudy, dążenia, rojenia, zawody i tej przyszłości, która groźbę bezruchu zawiesza nad Syzyfem, rozpoczynającym nowe życie od zwątpienia o światłach górnych i rozpalania pożóg niszczących.

Są w tej książce nawskróś oryginalne i dreszcz budzące pomysły artystyczne, są daleko wzwyż i w głąb sięgające rzuty myśli, jest marmurowa piękność i stalowa dźwięczność słowa.

Ktokolwiek książkę tę do rąk weźmie, zawiedzionym nie zostanie; uniesie mu ona myśl w strefy bardzo wysokie i słuch napoi muzyką słowa bardzo piękną.

Przynosi książka ta zaszczyt piśmiennictwu polskiemu, raz jeszcze świadcząc, że wzbijać się ono umie na wszechludzkie i wiekuiste szczyty prawdy i piękna.

## MAŁE STWORZENIE.

Raz tylko w życiu to małe stworzenie widziałam, więc wiele do powiedzenia o niem nie mam, ale co wiem, to powiem.

X. Przed kilku laty, w piękny dzień letni, szłam mimo wsi chłopskiej za stodołami i chlewkami, poprzedzianymi zielenią ogrodów i sadów. Był to dzień bardzo roboczy, na polach i łąkach ludzie kosili, orali, pelli, we wsi więc panowała pustka i cisza, dzieci nawet nie było widać, ani słyszeć, bo niektóre z nich może za rodzicami pobiegły, a inne bawiły się gdzieś daleko, lub po murawach spały. W jednym przecież z sadów jedno dziecko zobaczyłam. Wiśniowe drzewa rosły tam nad gęstą murawą, słońce złotymi kólkami i esikami igrało w liściach i po trawie, zdaleka widać było stojące ściany konopi i zalaływał zapach kwitnącego piżma. Tuż prawie przy niskim płocie z ostrokołów, pomiędzy wiśniowymi drzewami stał źrebak może roczny, gniady, a z konopiastą grzywą, takimże ogonem i głową, nisko zwieszoną ku trawie, którą ze smakiem chrupał; zaś na źrebaku siedział pięcioletni co najwyżej chłopak, w siną, samo-

działową kapotkę ubrany, z nagiemi do kolan nogami i jasną, jak len, czuprynką. Siedział on na żrebaku wcale nie żartem, ale tak, jak dorośli mężczyźni siedzą; ciemne, maleńkie ręce na konopiastej jego grzywie złożył, napuszył się jakoś, pąsową buzię ze sztuczną dumą wydał i ani poruszał się, ani głosu z siebie nie wydawał, tylko ozerwone szkiełko, które mu pod szyją spinało szarą koszulę, w promyku słońca, jak rubin, migotało. Istny posążek z błękitnymi oczami, które nawet na widok kogoś nadchodzącego wcale ciekawości, ani jakiegokolwiek pod słońcem wzruszenia nie okazały, tylko tak, jak i pierwej, nieruchomo patrzyły przed siebie, a były duże, szeroko otwarte, o czemś bardzo zamyślane i głębokiego, głębokiego uszczęśliwienia pełne. Że był on w tej chwili niezmiernie szczęśliwy i dumny, każdyby to poznał. Jakim sposobem, po raz pierwszy może w życiu, na żrebaka zdołał wleźć? Bóg to wie, ale wlaźł, a przez to i najwznioślejszego z czynów, o których miał przybliżone choćby pojęcie, dokonał i największej ze wszystkich znanych mu rozkoszy zażywał. Nie zamieniłby się pewnie w tej chwili na los żadnego z mocarzy, choćby nawet cokolwiek był o nich wiedział i nie zstąpiłby ze swego zaszczytnego i błogiego stanowiska inaczej, jak chyba z przeraźliwym krzykiem i płaczem. Tak więc sobie żrebak trawę skubał, a pięcioletni chłopak, na grzbiecie jego siedząc, nasyczał się szczęściem swoim w głębokim skupieniu i zupełnej nieruchomości. To skupienie właśnie i ta nieruchomość, to jakby zrośnięcie się w jedną całość sinej kapotki i bosych nóżek z gniadym żrebakiem, to nakoniec dumne wydęcie pąsowej buzi wśród pyzaty, ru-

mianych policzków na tle zieleni, po której igrało słońce i głuchej ciszy pola z jednej, a wsi z drugiej strony czyniło go przedziwnie zabawnym i pociągającym.

Wtem pies jakiś, najpocziwszy zapewne kundel, duży, kudłaty, w białe i czarne plamy, spostrzegłszy za płotem obcych, niewiedzieć skąd wyskoczył, przez sad wiśniowy wielkimi susami i z ogromnem szczekaniem sadyć zaczął i sadył wprost na osoby, idące za płotem i na żrebaka, skubiącego trawę. Stała się wtedy rzecz bardzo prosta i prawie konieczna. Żrebak zląkł się, podskoczył, chłopca, jak piłkę, z grzbietu swego zrzucił i prawie w mgnieniu oka na drugim końcu sadu się znalazł. Musiał go jednak w przestraszu i pośpiechu kopytem potrącić, bo... obraz zmienił się zupełnie. Tak przed chwilą dumne i szczęśliwe dziecko leżało na trawie, równie wprawdzie nieruchome, jak i pierwej, ale nieruchomość ta wcale inną była od tamtej, a z pod lnianej jego czuprynki wypływał i na trawę powolutku ściekał wąziutki strumyk krwi. Nad leżącym zaś stał kundel w białe i czarne plamy, ogon spuścił i niespokojnie go obwąchiwał. Sprawcą wypadku będąc, tak przeraził się nim jednak, czy zmartwił, że o obcych ludziach i szczekaniu na nich zapomniał.

Obcy ludzie zaś daremnie do chaty, u końca sadu stojącej dopadli, o ratunek wołając. Chata była zamknięta i druga także, i trzecia... Tylko jakaś dziewczynka siedmioletnia może, która, na przyzbie przykucnąwszy, w ciepłe słońca dumiała, słysząc wołania, zerwała się, ciemne ręce na fartuszkę splotła i piwne

oczy ku ludziom, pytania jej zadającym, wznosząc, ciekawym głosem wyrecytowała:

— Mama pszenicę piele... het tam! Tatko kosi...  
het tam. Chwedorka tatce jedzenie poniosła...

— I nikogo tu, oprócz ciebie, niema?

— Je... Ilnaś je...

— A gdzie on? Gdzie?

— W zamkniętej chacie w kołysce śpi...

W godzinę potem...

Ale poco ja to opisuję? Kiedy Tadeusz, mały synek Klemensa, parobka, i żony jego, Chwedorky, utopił się w jamie z wodą, a ja to opisałam, powiedziano, że ta historia żadnego znaczenia i żadnej myśli nie posiada, bo przecież miał on matkę, która pilnować go była powinna, a ponieważ nie dopilnowała, więc stało się to albo przez prosty wypadek, albo przez niedbalstwo matki i nie było o czem mówić. Może to i prawda, bo te nasze chłopki są istotnie strasznymi hultajkami i wietrznicami. Latają niewiedzieć gdzie, robią niewiedzieć co i własnych nawet dzieci pilnować nie chcą. Wprawdzie, Chwedorka podówczas, kiedy jej Tadeusz do jamy z wodą wpadł, pod dozorem dworskiego oficjalisty warzywo peła, a peła je dlatego, że ze względu na tak brutalne i nieprzeparte potrzeby życia, jak jadło i przyodziewek, czynić to musiała; zaś naprzeciw warzywnego ogrodu, na cieniastym ganku, panienki minjardisy robiły i czasem, dla rozrywki, przed gankiem kwiaty zrywały. Nic wcale przeciw minjardisom, ani zrywaniu kwiatów nie mam, bo są to zajęcia i niewinne, i przyjemne; myślałam tylko, że może panienki historyjkę o Tadeuszu, który utopił się w ja-

mie z wodą, przeczytawszy, pożałują trochę takich, jak on, małych stworzeń i wraz z szydełkiem, bawełną i wszystkim, co do minjardis potrzebne, usiądą w jakim pokoju oficyny, albo na jakim kawałku murawy, gdzie otoczy je gromadka takich małych stworzeń, którym one dadzą trochę najprostszyc zabawek, a czasem z niemi pogwarzą, a czasem tam na elementarzu itd. itd.

Gdyby się zaś bardzo tem wszystkim zmęczyły, albo gdyby nadjechali goście (wypadek ważny i który uwzględniać należy z powodu dobrodziejstw cywilizacyjnych i innych, jakimi nas obdarza życie dzisiejsze towarzyskie) wyręczyłby je mogła jakaś starsza białogłowa do wyższych czy niższych sfer należąca, którą przynajmniej w jednym egzemplarzu, a najczęściej w wielu posiada każdy niemal dwór, czy dworek wiejski. Byłoby to coś w rodzaju ochronek, instytucyj zresztą wielce niekosztownych, bo ani meblowania apartamentów, ani sprowadzanych zdaleka mistrzów, ani kunsztownych pedagogicznych wymysłów nie potrzebujących. Możliaby w ten sposób nawet minjardisy, z drobnemi zaledwie przeszkodami robiąc, zapobiegać błędom, popełnianym względem tych małych stworzeń przez leniwe i wietrzne ich matki.

To miałam na myśli, opisując historyjkę Tadeusza, który utopił się w jamie z wodą, jego matkę, pielącą ogród warzywny i panienki, siedzące z robótkami na cieniście ganku. O tem samem pomyślałam na widok chłopca, który jak piłka ze żrebaka spadł i leżał na trawie z kropelkami krwi, ciekącemi z pod lnianej czupryny. Byłabym też i dalsze losy tego chwalebnego jeźdźca opisała,



ale na szczęście spostrzegłam w porę, że niema tu wcale o czym pisać. Prosty wypadek lub grzeszne niedbalstwo matki! Prawda. I zresztą, poco to wogóle wywlekać na świat takie malutkie i tak niziutko żyjące stworzenie? Poco o nich ludziom wykształconym, a daleko wyższe ideały ścigającym, przypominać i myśli ich — czy tylko myśli? — niemi zajmować? Nie myśleliśmy przecież o takich rzeczach i było nam dobrze; nie będziemy o nich myśleli, będzie nam równie dobrze.

---

## Z RĄK DO RĄK.

W przejrzystym zmroku nocy południowej, która gwiazdami na niebie, a białością posągów na ziemi jaśnieje, jak posągi kształtni, jak bogowie weseli, młodzieńcy i dziewice greccy stanęli wielkiem kołem i oddają się ulubionemu igrzysku.

Z pod tunik i chlamid wyciągnięte ich ramiona, spokojne, swobodne, czujne, czyhają na zapaloną pochodnię, która, z rąk do rąk rzucana, chwytana, rzucana znowu, wielkie koło oblatuje, nie upadając, nie gasnąc, jak ptak płomienny, z piersi wyrzucający iskry, a z dzioba wstęgę różanego dymu.

W połyskach lotnego płomienia, smugi różane mkną po białych tunikach i po młodzieńczych twarzach, to występujących z mroku, to niکنących w nim znowu, razem ze swemi uśmiechami radości i triumfu.

Triumf! Pochodnia gorejąca wiele już razy obleciała szerokie koło i nie upadła, nie dotknęła ziemi, nie zgasła, lecz owszem, coraz ognistsza, iskrzystsza, wzbija się, leci, świeci, różane dymy wonne po świetle rozwiewa.

Saphos! Saphos!

Oklaski wybuchają, w gaju mirtowym słychać wśród szmeru liści melodję radosną a słodką.

To bogowie w głębiach gaju świętego hymn chwalebny wznoszą dla tych z pomiędzy śmiertelnych, którzy przez krótką przynajmniej godzinę zdołali uczynić ogień gorejący, ogień świecący — nieśmiertelnym.

Nagle stało się ciemno!

Pochodnia upadła i zgasła.

W ciemności rozlega się krzyk żalu i gniewu.

— Czyja ręka nie zdołała lub nie chciała pochwycić w locie płomiennego ptaka i przekazać go ręce innej?

— Gdzie jest ten, co harmonję zmacił, łańcuch rozerwał, światło zagasił i trwaniu ognia koniec położył?

— Niech wyjdzie pod światło gwiazd z obliczem rumianem od wstydu i przed kołem bratniem wzrok powiekami przysłoni, a głowę nisko pochyli, jak winowajca!

Oblicze, od wstydu rumiane, skrajem chlamidy zasłaniając i nisko chyląc głowę, winowajca opuszcza koło bratnie i, wyrzutami ścigany, oddala się, szuka ścieżyn samotnych, zmroków najgęstszych i znika w ciemnościach.

Ku morzu poszedł, którego tafla połyskliwa świeci w oddali, lecz ku gajowi świętemu kroków nie zwrócił. Bo powszechne w Grecji panuje mniemanie, że stopy bogów są twarde i serca nieubłagane dla tych, którzy ogniowi, roznieconemu wśród chłodów i ciemności ziemi, zgasnąć pozwalają...

Taka była o szarych godzinach letnich ulubiona gra młodzieży greckiej; taka też odbywa się w szarych mrokach świata nieustannie, wszędzie, dokoła nas i w oddali, tylko, otoczeni przez nią, widzieć jej nie możemy i, udział w niej biorąc, nie myślimy o tem, co czynimy.

## PRZYPOMNIJ!

Gdybyśmy obok zmysłów, ograniczonych do świata materji, posiadali inne, świat ducha spostrzegać i przenikać zdolne, ujrzelibyśmy i usłyszeli w przestworzu mnóstwo płomyków, iskier, ech, które z ziemi, z nieba, z powietrza, z ludzkich źrenic, głosów, gestów ulatując, we wnętrza nasze wlatują. We wnętrza, co znaczy, w serce, w głowę, w nerwy nasze te płomyki, iskry, echa wlatują i — co tam czynią? Uczucia, myśli, energje rozmaite w nas krzeszą, krople miodu na piołunowym liściu składają, lekarstwa warzą, kołysanki matczyne bezsen-  
nym oczom nucą...

Z przechadzki, na którąśmy wyszli zniechęceni i leniwi, wracamy z iskrą ochoty i siły do życia. Czy wypadkiem nie jest to jedna z tych iskier, któremi słońce pogodnie usiewało dziś liście drzew i fale rzeki?

Jakaś pieśń bez słów rozległa się w szeptających komnatach naszego serca i choć nie opiewa żadnej radości takiej, jaką po imieniu nazwaćbyśmy mogli, czyni serce sposobniejszym do przyjęcia w siebie każdej radości. Czy wypadkiem nie jest to echo tej pieśni, którą wczo-

raj stary bór pod gwiazdami śpiewał, albo tej nawet, którą dawno już temu koniki polne w rośnych trawach grały, albo tej, która niegdyś zabrzmiała była w głosie kochanym i, odległa w przeszłości, — powróciła echem?

W bezdennej melancholji samotnego wieczoru, pod przymkniętymi powiekami przesuwiają się po tle ciemnem szeregi widm tak smutnych jak śmierć, krzywda, rozłączenie, zapomnienie, aż nagle, w przestworzu rozwidnionem błędzić poczynają kształty, rysy, tony, pełne świeżości i wdzięku, nadziei, i pocieszenia. Nie sąż to płomyki, iskry, echa, które w zmrok i pustkę samotności przyleciały od jasných pól, od zielonych łąk, od kąpiących się w blasku słonecznym ogrodów, od kwiatów zrywanych, od serc ludzkich dobrych, które, choć dalekie, znane są i bliskie?

Jeżeli dziś, otwierając oczy ze snu, uczułeś się więcej niż przedtem pocieszonym, mężnym, błogosławiącym życiu, choć twarde i ostre, — czy nie jest to płomyk, który niepostrzeżenie do piersi ci wleciał, gdy przed wczorajszem udaniem się do snu, dłoń czyjaś milczącym, ale serdecznym uściskiem rękę twą objęła?

Jeżeli, zamiast bezsilnie giąć się pod srogim powiewem losu, stoisz wyprostowany na straży tego, nad czem stróżować ci wypadło, — przypomnij! czy wsparciem niewidzialnem nie jest ci słowo jakieś, z ust czyichś wypadłe, na dno myśli albo serca niespostrzeżenie spadłe i żarzące się tam iskrą milczącej lecz wiecznotrwalej pamięci?

Przypomnij! Ile razy w sercu twem roztajało to, co w niem od chłodu życia było skrzeple, ukoilo się, co było

przez życie zranione, zamartwych powstało, co pod strzałami jego legło? Nie były to płomyki, iskry, echa, lecące od dni słonecznych, od nocy gwiazdzistych, od wód kryształem płynnym ciekących, od kwiatów, od dobrego spojrzenia oczu miłych, od miłego uśmiechu ust dobrych, od kilku czarnych liter na białym papierze przez rękę kochaną przysłanych?

Skrzydła, na których dusze ludzkie wzbijają się w dziedzinie myśli wysokich, uczuć silnych, marzeń okupujących winy rzeczywistości, — skrzydła, na których jedni z nas wyżej i trwalej, drudzy niżej i krócej kołyszają się pod błękitami, zdala od szarzyzn i zgnilizn nizin, — nie tylko z wielkich ognii, z donośnych tonów są utkane, lecz także z drobnych płomyków, iskier, ech, któremi często nieświadomie dla nas, jak jagoda winna, sokiem przez słońce stwarzanym, nabrzmiewa nam dusza.

I niema na ziemi takiego nędzarza, któryby od niej i od zamieszkujących ją istot, mnóstwa takich drobnych, często niespostrzeganych, niezapamiętywanych pomocy, pociech, wsparć nie otrzymywał.

Najtwardszej nawet doli zawsze jeszcze jakiś kamień litościwie uściela się pod głowę, do serca sierociego uśmiechnie się jeszcze z miłością jakaś choćby stokroć dzika, dla ust głodnych ptak złoży jajo w dziupli drzewa i pod krzakiem paproci dojrzeje cierpka choćby jagoda leśna.

A cóż mówić o szczęśliwych! Nie o szczęśliwych, bo tych na ziemi niema, lecz o takich, których życie, ze strony jednej chłuszcząc, z innej oszczędza, albo pieści? Tacy o każdej prawie minucie dnia chwytają w dłoń,

w mózg, w serce jakiś przelatujący płomyk, jakąś wytryskującą stąd i zowąd iskrę, jakieś echo błędzące po przestrzeni świata i własnej ich duszy, — nie wiedząc często, gdzie źródło ich pocieszenia, skrzepienia, gdzie początek naprzeciw chmur występującej tęczy nadziei, do chmur wkradającego się promienia radości.

I w tem tkwi miłosierdzie, zlitowanie życia, które często okrutnem i bezlitosnem nam się wydaje.

Ilekroć z ust przed ludźmi, jeżeliś gadatliwy, z serca przed sobą tylko, jeżeliś dumny, wylewasz na życie skargi i wyrzuty — przypomnij!

Związki niedostrzeżone, sekundy niezapamiętane, wzruszenia zaznane i jak wiatr przemknięte, drobiny złota w glinę życia wplątane, okruchy diamentów, płatki kwiatów, z wysnionej góry szczęścia zwiane na ciebie jego pyliny — przypomnij!

I odtwórz je nawzajem, odwdzięcz je życiu. Nie ziarna gorczyczne, które do duszy ci wpadły, na dusze innych rozpylaj, lecz serca uderzeniami, myśli wzlotem, głosu twego dźwiękiem, ust uśmiechami twórz dobroczynne płomyki, iskry, echa, rozsiewaj okruchy diamentów, płatki kwiatów, pyliny zdejmowane z niedościgłej śmiertelnym góry doskonałego szczęścia.

---

## O JANIE KOCHANOWSKIM.

Odczyt w Grodnie w 1908 r.

Gdybyśmy wzrokiem i pilnym i umiejętnym przebiegli cały obraz dziejów powszechnych, z trudnością mogliśmy wynaleźć naród, którego by losy równały się obecnym losom narodu naszego w tragiczności i grozie. Z jakich niebezpieczeństw i upokorzeń, z jakich trudności i cierpień skuty jest łańcuch ten, którym oplotło nas stulecie ostatnie, wymieniać nie trzeba: wszyscy posiadamy je po najbliższych przodkach we krwi, a w sercach i pamięci z osobistych doświadczeń i bólów. Jednak, na naszym niebie ciężkiem i ciemnem jaśniej dotąd nie gasnąca, nawet nie blednąca gwiazda myśli naszej, oprawiona w świetną tęczę naszego narodowego słowa. Słowo polskie, zmuszone do milczenia we wszystkich dziedzinach życia publicznego, jednak nie tylko nie milknie, lecz, zwalczając przeszkody, o ile tylko podobna rozluźniając pęta, wzbiera w moc, w bogactwo i pracowicie a zarazem donośnie przemawia głosem Wielkiego i w objawach swych rozmaitego piśmiennictwa. Gdy wszystko



milczy, ono wciąż mówi i śpiewa, gdy wszystko zdaje się oddychać zwiątaniem, ono wierzy i wiarę w lepszą przyszłość obudza, gdy wszystko zdaje się ciągnąć na manowce, ono wykreśla proste i górne szlaki ku ideałom. W żadnym też narodzie piśmiennictwo nie posiada takiego, jak w naszym, stanowiska naczelnego i takiej dla życia narodowego ważności. Gdzie indziej istnieje rozbicie pracy na działy liczne, tu, mnóstwo zadań najróżnorodniejszych spoczęło na tych, którzy sami jedni mogą do narodu przemawiać, których też dłonie, wyłączonej niż gdzie indziej, dzierżą wodze sumienia publicznego i tę pochodnię, która w umyśle i uczuciu publicznem strzeże trwałości światła i ognia świętych. Pomimo wszystko co nas z pośród świata żyjących wyłączyć usiłuje, mamy prawo mówić o sobie: jesteśmy, bo myślimy; jesteśmy, bo kochamy; jesteśmy, bo myśl i miłość nasza, jak czarodziejski kwiat, rozwija się wśród mrozu i szronu we wspaniałą koronę pięknego słowa. Koronę tę spostrzegają obcy, nawet nieprzyjacini, i wyciągają po nią dłonie, aby podzielić się z nami jej wonią i pięknością. Przyczyn faktu długoby dochodzić trzeba, lecz stał się fakt ten dziwny, że naród, którego usta zamknięto na sto pieczęci, mówi i śpiewa tak głośno i pięknie, że mowy i śpiewu jego z zachwytem słuchają ci sami, którzy mu te pieczęci na usta złożyli.

Posiada też ogół nasz jeśli nie zupełną, to częściową świadomość tego znaczenia wyjątkowo ważnego, niemal stanowczego, które dla terażniejszości i przyszłości narodowej stało się udziałem jego słowa, czci mistrzów swego słowa i wznosi pomniki tym z nich, któ-

rych postacię zniknęły już za bramami wiekiowości. W momencie wznoszenia pomników chwały wieszczom niedawno znikłym, w tym właśnie momencie, w którym piśmiennictwo jest dla narodu nietylko świadectwem życia, ale i chlubą, nietylko pociechą ale i siłą, nietylko chlebem ale i klejnotem, pragnę oczy wasze zwrócić na chwilę daleko wstecz, ku jednej z najwyższych i najczystszych postaci dziejów piśmiennictwa naszego, ku jednemu z duchów najpiękniejszych, jakimi kiedykolwiek nieba obdarzyły ziemię, ku temu, od którego wszyscy, którzy polskiem słowem władają, początek swój wzięli, dumnymi czując się, że taki właśnie był ich początek i że taki jest ich najpierwszy wzór.

Długą, bo kilkowiekową jest ta droga wsteczna, którą ku jej początkowemu słońcu przebywać musi myśl nasza. Nie rozglądając się wśród etapu ostatnich lat kilkudziesięciu, pokłonem głębokim witamy wznoszący się nad drogą obelisk Mickiewicza, z linjami prostemi, jasnymi, wierzchem dotykającemi nieba, po którym Słowacki rozwiesza djamentowe tęczę, a o które orzeł Krasieńskiego uderza skrzydłami białości labędziej, tak szerokiem ogarniają niezmierne przestworza cnót idealnych. Potem, zaledwie prześlizgując się wzrokiem po wielkiem mnóstwie kolumn niższych, których przecież sama prawie niezliczoność rzuca na drogę zawrotne bogactwo kształtu i tonu, wstępujemy w gęsty las epoki Stanisławowskiej, gdzie z dwu stron drogi naszej wznoszą się zadumane posągi Stasziców, Czackich, Kołłątajów, Krasickich, Woroniczów, Konarskich, Leszczyńskich, myśliciel, patrijotów, poetów, którzy z czołami blademi od złych przeczuć nie-

szczęścia, ramiona wyciągają nad krawędzią przepaści, a usta otwierają w pieśniach i mowach natchnionych i mądrych. Potem, gdy przebędziemy piaszczystą i oschłą pustynię epoki jezuickiej, znowu na drodze naszej rozlegnie się harmonijny śpiew Morsztyna, głośno zabrzmie bohaterska lutnia Potockiego, aż o wzrok nasz uderzy olśniewający blask lat Zygmuntońskich i zaroi się w nim, na tle z purpury i złota, od kaznodziei-proroków, prawodawców, dziejopisów, polityków, poetów. Tu, otoczeni piorunami, padającymi z ust Skargi, wśród melodyjnych tonów, ulatujących z miękkich słodkich luteń Szymonowicza i Zimorowiczów, z dźwięcznymi sonetami Szarzyńskiego, z pełną spizowych brzmień mową Górnickiego, w zachwyconym słuchu iść będziemy długo, zanim znajdziemy się... gdzie? Czy wśród przepychów i bogactw dworu królewskiego? Czy wobec oklaskiwanego przez tłumy wozu triumfatora z wieńcem chwały na głowie i palmą zwycięstwa w ręku? Czy pomiędzy wielkimi i wesółymi tego świata: w blasku potęgi, w gwarze zabawy, w potokach win, lejących się z kruży zbytków i szalów?

Nie. Lipa odwieczna roztoczyła nad nami cień świeży i rzeźwy, miód zapachniał, zabrzęczały pszczoły, w kwiecie lipowym szukające miodu, rozzieleniły się naokół »wieś spokojna, wieś wesółą«, u skraju pola zaświecił ognik »Sobótek«; pod lipą, na ławie kamiennej, z »lutnią, wodzem tańców i pieśni naszych« z »lutnią osłoda myśli utrapionych« w ramionach, znajdujemy Jana Kochanowskiego.

Zbyt często imię Jana Kochanowskiego powtarza się w książkach i mowie, zbyt powszechnie starsi uczą

młodszych takiego poznawania tej postaci, żeby zachodziła potrzeba zatrzymywania się nad szczegółami jej prywatnego życia. Dwu tylko z pomiędzy nich, najmniej znanych, pominąć niepodobna. Jan Kochanowski pochodził z rodu szlacheckiego, należącego jednak nie do tych, którzy wojowali mieczem, ale do tych, którzy, z dziką naturą walcząc, zdobywali dla narodu możność bytu i rozwoju na uprawianej i użyźnianej ziemi ojczyściej. Dziad jego, a po części jeszcze ojciec i stryjowie, wykarczowując ogromne lasy, wydzierając z pod nich płachty żyznej ziemi-karmicielki, często, jeśli nie ciągle, przestawać musieli z naturą potężną i świeżą, a biorąc w siebie coś z siły jej leśnych olbrzymów, coś ze świeżości jej wiatrów i jasności gwiazd, tę siłę, świeżość i jasność przełali do krwi swego potomka. Ci pionierzy, walczący ze srogą naturą, miewają często twarze zwrócone ku niebu, od którego przychodzą im klęski lub triumfy. Z tych spojrzeń ku górze przodków pochodził może choć w części górny kierunek wzroku potomka. Bywają zazwyczaj ludzie ci surowi w obyczajach i bacznie rozglądający się wśród zjawisk otaczających. Z surowości i spostrzegawczości pionierów-przodków powstać mogły choć w części czystość i głębokość potomka-poety. To jedno. A drugie: że, dzięki zdolnościom umysłowym, z którymi na świat przyszedł i pomyślnym okolicznościom, tak rodzinnym, jak majątkowym, dzięki jeszcze duchowi czasu, który w porze tej Polskę i całą Europę namiętnym prawię pędem pchał ku oświacie, Jan Kochanowski posiadał najwyższą na owe czasy oświatę i z trzech wszechnic: krakowskiej, padewskiej i paryskiej, wziął cały zasób

wiedzy, jaki znajdował się w posiadaniu ówczesnego świata. Tym sposobem połączył się umysłem z umysłowością całej ludzkości oświeconej i zdobył narzędzia, którymi tę myśl, ze stron wszystkich oświeconą, wyrzeźbiać miał w formy artystyczne.

Kto go w państwie polskiego słowa poprzedził? Czy tylko Mikołaj Rej? Nie. Przedewszystkiem przed Rejem i Kochanowskim pracował w tem państwie polski lud.

U samego początku stoi lud, który, orząc, siejąc, żnąc, nisko zgięty ku ziemi przez potrzeby codzienne i troski poziome, czasem przecież wzrokiem dokoła zataczał, spostrzegając, porównywając, wiążąc z sobą zjawiska, lub wznosił go ku górze, kochając, tęskniąc, modląc się, cierpiąc. Gdy książęta i biskupi, wojewodowie i kasztelani, prawoznawcy i kronikarze, dla rozpraw i badań swoich posługiwali się uczoną i wszystkim europejskim uczonym wspólną mową łacińską, lud na wyścigi ze skowronkami pod niebem wiosennem śpiewał pieśni, a w zimowe noce u ognisk domowych układał bajki, przypowieści, legendy. On pierwszy, ten lud, czyli ten chłop polski, naginać począł do wyrażania myśli niecodziennych, do wydawania tonów melodyjnych, tę mowę, z której potem Mickiewicz miał budować obelisk niebotyczny, Słowacki tkać tęczę diamentowe, a Krasiński wykuwać z marmuru nieskazitelnego skrzydła orle i łabędzie. Ale lud pośród swoich trosk, prac i zmroków, mógł tylko przysposabiać niejako materję kosmiczną, tu i ówdzie zaledwie sformowanemi już gwiazdkami fantazji usianą. Zadanie to spełnił pokornie i cicho, ani wiedząc, w jak wielkiem dziele stuleci i pokoleń uczestniczy. Ujęcie zaś

materji kosmicznej w formy stałego i świetlistego ciała przypadło w udziale komu innemu. Więc naprzód przyszedł Mikołaj Rej, który uczynił wiele, — niemniej sam w prawości swej i w zdrowym rozumie czuć i uznawać musiał, że nie uczynił wszystkiego, skoro na odgłos pierwszej pieśni młodziutkiego i nikomu jeszcze nieznanego poety z radością, która oześć dla niego budzi, zawołał:

»Temu ja przed sobą pierwszeństwo przyznawam  
I berto muzy Słowiańskiej oddawam«.

Tą pierwszą pieśnią, przyslaną do kraju przez młodego studenta wszechnicy paryskiej, była pieśń do Boga:

»Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary?  
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?  
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie:  
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie...

Wówczas to nad krajem naszym wybiła godzina uroczysta i radosna: powstał w nim pierwszy pisarz-artysta.

Był to artysta natchniony rzetelnie i zarazem wyborny znawca wszystkich ołtarzy i narzędzi w świątyni piękna.

Powszechnem prawie oraz błędem jest mniemanie, że utwory Kochanowskiego piękne są tylko względnie do czasu, w którym powstały, i że teraz czytanie ich sprawiać już nie może rozkoszy estetycznej. Błąd ten przypisać należy temu, że archaizmy, które w sposób naturalny i konieczny dość gęsto znajdują się w tych utworach i równie gęsto usiewające je reminiscencje świata

grecko-rzymskiego, czyniąc czytanie ich zrazu trudnem, zniechęcają i sprawiają, że w gruncie rzeczy wszyscy o utworach tych wiedzą, a nikt prawie, oprócz znawców-specjalistów, zbliśka się z nimi nie zapoznaje. Zbliżka poznane utwory Kochanowskiego budzą przedewszystkiem zdumienie swoją stroną językową. Jakże wielkim artystą musiał być ten, kto gminną, rubaszną, szorstką mowę ludu i Reja przerobić potrafił na taki oręż silny i wytworny! Jest to jakby nagle rozwinięcie się z pąka korony kwiatu, jakby nagle rozwarcie się Sezamy, pełnej perel. Mowa ta jest, — gdy kto już archaizmy i heleniizmy jej wyrozumie, — jedną z najpiękniejszych, jakie znajdowały się kiedykolwiek pod piórem ludzkim; posiada ona wszystkie przymioty, niezbędne w każdej mowie pięknej: jasność, giętkość, dźwięczność i dobitność. Wspaniałym i szerokim język ten umie być w psalmach, gdy o Bogu przemówi:

•Głos Pański deszcze leje, głos pański — grom srogi,  
I okrutne pobudza od powietrza trwogi.  
Pan na morzu podnosi straszne nawałności.  
Głos Pański wielkiej władzy i wielkiej możności...  
Głos Pański dęby łamie i cedry przewraca...  
A wielkimi górami tak snadnie obraca...  
Na głos Pański z obłoków ognie wyskakują,  
Pustynie drżą arabskie, łanie dzieci trują,  
Lasy padają...

Albo gdy do Boga przemawia:

Usłysz me prośby, Boże władzy wiecznej,  
A obróć ku mnie święte uszy swoje;

Z granicy świata prawie ostatecznej  
Do ciebie wzdycha smutne serce moje.

•

Postaw mię na niedostępnej skale,  
Gdziebych się już mógł nie bać żadnej trwogi.  
W Tobie nadzieja, Ty mię masz sam w całe  
Zachować, gdy mię trapi człowiek srogi.

•

Umie język ten być słodkim i piśszczotliwym, gdy  
nad śmiercią dzieciny ukochanej żalę zawodzi:

Ucieszna moja śpiewaczko, Sapho słowiańska,  
Na którą nietylko moja częśćka ziemiańska,  
Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała;  
Teś nadzieję już po sobie okazywała,  
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając  
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając,  
Jako ten drobny słowiczek w krzaku zielonym  
Całą noc prześpiewa gardłkiem swem ucieszonym.  
Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga  
Śmierć spłoszyła, moja ty wdzięczna szczebiotko droga...

Obrazowym jest język ten, gdy maluje naturę:

Patrzaj, jak śnieg po górach się bieli,  
Wiatry z północy wstają,  
Jeziora się ścinają,  
Zórawie, czując zimę, precz lecieli...

A dobitny jest w zwięzłości swej, jakby młotem  
kuty, gdy wypowiada zdania, które mają na zawsze już  
usiać klejnotami codzienną mowę narodu:

Zyskiem człowiek zwać musi, w czym nie popadł szkody.

•



Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim.

•  
Służmy pocziwej sławie,  
A jako kto może,  
Niech ku wspólnemu dobru dopomoże.

Kto tak mądry, że zgadnie  
Co nań jutro przypadnie?

•  
Wszystko dziwnie się plecie  
Na tym tu biednym świecie;  
A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić,  
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić...

Jak każdy wielki artysta, Kochanowski bogaty jest w metafory, które są dla pisarskiego stylu tem, czem dla nieba błyskawice. Do śmierci, która mu córkę wydarła, woła:

»O znikomych cieni  
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni...

Niestałość rzeczy ziemskich przyrównywa do żywiołowych sił natury:

...Morze nie stoi nigdy, zawždy płynie;  
Teraz kędzierze nastrzępi, w godzinie  
Dnem wzgóre stanie, a ogromne skały  
Wysokich będą obłoków sięgały...

W jednym z trenów znajduje się to prześliczne porównanie pogrzebanego dziecka do kłosa:

Kłosie mój jedyny!  
Jeszcze mi był nie dojrzał, a ja, twej godziny  
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję.

Nie mogę w tej chwili zastanawiać się długo nad doskonałością, do jakiej Kochanowski doszedł w sztuce kompozycji artystycznej, tego najtrudniejszego bodaj z pomiędzy wszystkich szczebla twórczości. Tylko więc nadmienię, że utwory takie, jak *Odprawa posłów greckich*, *Proporzec*, a szczególnie *Treny*, w ustawieniu szczegółów takim, aby żaden z nich nie zasłaniał i nie tłumił innych, i aby nie było pomiędzy nimi nic nie związanego ściśle i organicznie z całością, w ustopniowywaniu wyrazów uczuć takim, aby wrażenie słuchacza wciąż wzrastało w siłę, w tem wszystkiem słowem, co nosi ogólną nazwę kompozycji, Kochanowski osiągnął umiejętności tak zupełnej, że po kilku wiekach doświadczeń i postępów sztuki pisarskiej prześcignąć go w tem niepodobna. Za ledwie też tylko nadmienię, że bogactwo geniuszu jego przelewało się w formy najrozmaitsze. Rozpoczynając w Polsce poezję wogóle, rozpoczął także prawie wszystkie jej rodzaje. Z pod pióra jego wyszły: pierwsza pieśń polska — *Szachy*, pierwszy dramat polski — *Odprawa posłów greckich*, pierwszy epos — *Proporzec*, pierwsza sielanka — *Sobótki*. Pisał także satyry. Lecz najpotężniej i najdłużej władał mocarstwem liryki, tego działu poezji, który najbliżej spokrewniony jest z muzyką, w którym królują: uczucie i melodia. Jego treny i znaczna część jego pieśni należą do najpiękniejszych kwiatów liryki, jakie zakwitły kiedykolwiek na niwie poezji wszechświatowej.

Tyle o artyście. Śpieszno mi do myśliciela. Bo był to myśliciel. Był to jeden z najuczeńszych mężów swego wieku. Ścisła zażyłość łączyła go z całą dziedziną cy-

wilizacji grecko-rzymskiej; znał też, jak nikt, prawie cały obszar stosunków kraju rodzinnego. Rozległa wiedza nie odebrała mu wiary religijnej, lecz oczyściła ją z mętów przesądu i fanatyzmu, uczyniła z niej nutę kryształową, która dźwiękiem uwielbienia i ufności wzbijała się prosto do stóp samego Boga. Wierzył w najwyższą Wszecmoc, Dobroć i Mądrość jedyne »Pana smutku i nagrody« i w istnienie duchowego pierwiastku, oddzielonego od materji, nieśmiertelnego, który, gdy człowiek »ziemi zleci śmiertelne zewłoki, ogniu równ prędkiemu przeniknie obłoki«. Lecz wiara ta, o ile głęboką, o tyle była spokojną. Był w niej spokój mądrości i łagodność, towarzysząca zawsze prawdziwej sile. Wiek zaciekłych kontrawersyj i walk religijnych nie odbił się w pismach Kochanowskiego ani płomieniem gniewu, ani smakiem pieprzu. Wzamięn była ta wiara po brzegi napelniona filozofją bardzo piękną i wzniosłą, która widokiem rzeczy wiekuistych i nieśmiertelnych koła smutek, ciekący z tego, co zmienne, zawodne i znikome. Z wielu utworów, z wielu pojedynczych wierszy i wyrażeń Kochanowskiego przegląda smutek; czasem nawet może się zdawać, że on to właśnie stanowi samo dno dna tego wielkiego serca. I nie mogło być inaczej już przez to samo, że serce to było wielkie. Tej miary poeta i człowiek uosabia typ człowieczeństwa wyższy, któremu trudno zharmonizować się z niższością poziomu powszechnego. Taki typ zawiele spostrzeża i rozumie, aby podlegał złudzeniom, które są przyprawą, tępiącą gorzki smak prawdy. Zbyt mało sam jest rozumiany, aby to, co otrzymuje od ludzi, osiągnąć mogło jego pragnień, tak niezwykłych, jak niezwykłą jest

jego dusza. To jedno; a drugie — bystrość, z którą poeta spostrzega zjawiska życia, jako też siła wrażeń, któremi one ryją ślady na jego duszy. Im narzędzie silniejsze, tem bruzda głębsza. Bardzo głęboką bruzdę wyrył w duszy Kochanowskiego widok znikomości i niepewności rzeczy ziemskich:

»Wszyscy w niepewnej gospodzie mieszkamy;  
Wszyscyśmy pod tem prawem się zrodzili,  
Ze wszem przygodom jako cel być mamy.

•

Do myśli tej powraca nieraz, powtarzając ją niemal temi samemi słowy:

Człowiek, urodziwszy się, zasiadł w prawie takim,  
Ze ma być jako cel przygodom wszelakim.

•

Próżno morzem nie pływamy,  
Próżno w bitwach nie bywamy;  
Ugodzi nieszczęście wszędzie,  
Choć podobieństwa nie będzie.

O marzeniach i nadziejach ludzkich mówi:

»Sny lekkie, sny płoche nas bawią,  
Które się nam podobno nigdy nie wyjawiają...«

A do banalnych pocieszycieli woła:

»Próżno płakać rzeczecie;  
Cóż, przez Bóg żywy, nie jest próżne na świecie?  
Wszystko próżno; macamy, gdzie miękcej w rzeczy  
A ona wszędzie ciśnie«.

I całą mędrzę ludzkiego bytu na ziemi zamyka  
w trzech słowach lapidarnych, podobnych do trzech gła-  
zów, skutych ze sobą twardem żelazem:

»Błąd wiek człowieczy«.

Bywały nawet w wielkiej duszy tej takie wichry  
i burze, że aż chwiały się od nich i na chwilę przygasały  
lampy wiar wszelkich, że, jak gromy, wybuchały z nich  
bluźnierstwa. Do duszy zmarłego dziecięcia on, silnie  
jednak wierzący w nieśmiertelność duchowego pierwia-  
stku człowieka, woła:

»Gdziekolwiek jest, *jeśli* jest...

A gdzie indziej wydaje okrzyk rozpaczny:

»Fraszka cnota, powiedział Brutus porażony,  
Fraszka, kto się przypatrzy, fraszka z każdej strony...  
Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,  
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy«...

To też ciekawa jest rzecz, jak gęsto utwory tego  
księcia poetów zasiane są wyrazem: »smutek« i jemu  
pokrewnymi.

Raz mówi do Boga:

»W tobie ja samym, Panie, człowiek smutny, nadzieję kładę...«

Gdzie indziej znowu:

»Do Ciebie wzdycha smutne serce moje«.

A potem do samego siebie:

»Czemu się smęcisz, duszo moja? czemu omdlewasz?«

Albo jeszcze:

»Pełne mam serce niezmiernej żalości...«

W jednym z psalmów duszę swoją porównywa do tani zmondowanej, która na puszczy, prędkimi pszczwana, strumienia szuka...

Ten smutek i ból, te chwilowe burze lub omdlenia ducha węzłem sympatycznym wiążą poetę z resztą ludzkości, wiążą go poprzez przestrzenie wieków z nami, którzy cierpimy także. Człowiekiem był, więc cierpiał; pomimo, że żył w świetnej dobie dziejów swej ojczyzny, spostrzegał już te szpary i pęknięcia, które potem miały rozszerzać się i sprowadzić runięcie gmachu, — więc cierpiał. Pomimo, że mocą i pięknnością słowa panował nad sercami współczesnych, nie umieli oni nasycać jego wielkiego serca, więc cierpiał. Pomimo, że życie przynosiło mu w darze złoto i wino wysokich natchnień, doświadczał ciosów jego, dostrzegał zmienność jego kolei, znikomość jego zjawisk, więc cierpiał. I przez to właśnie, że cierpiał, łączył się z resztą ludzkości, stawał się jej bratem, bratem nas wszystkich, którzy cierpimy także. Lecz na czym zależała wyższość jego nad nami, jako myśliciela i człowieka? Lecz jeżeli cierpienie jest słabością, lub, przynajmniej dla ludzi pospolitych, może stać się źródłem słabości, w czym spoczywała jego, wyższa nad pospolitą, siła? Wyższość jego nad tymi, którzy cierpią w sposób pospolity, spoczywała nietylko w tem, że znajdował obfite źródła pociechy, ale nadewszystko w wysokości miejsc, na jakich je znajdował. Bo nie był on pesymistą okrywającym cały obszar świata i całą dłu-

gość torów ludzkich czarnością nieprzebitą. Należał do tych, którzy, cienie ziemskie biorąc głęboko do serca, umieją zanurzać czoła w światłach niebieskich. Ale pociechy nawet poetów, nawet myślicieli, bywają natury różnej, często poziomej, czasem nawet marnej i lichej. Te światła, które Kochanowski nalewał smutne serce swoje i których czarę podawał innym smutnym sercom, ściągane były ze szczytów najwyższych. Więc naprzód z wiary we wszechmoc Boga:

»Siła może Bóg wywrócić w godzinie«.

Z jasnego widzenia, że Wszechmoc ta w nieprzeniknionych dla umysłu ludzkiego planach swych przeciwstawia ciemnościom światło, złemu — dobro:

»Nadzieja dobra serca niech podpira.  
Zaż, że źle dziś, ma być źle i potem?  
Jeden jest Bóg, który chmury zbiera  
I co rozświeca niebo złotem«.

•

»Nie porzucaj nadzieje,  
Jakoć się kolwiek dzieje,  
Bo nie ostatnie już słońce zachodzi,  
A po złej chwili piękny dzień przychodzi...

Światła te czerpał z poczucia odrębności ducha ludzkiego od grubej materji cielesnej i z tej pewności, że duch ten razem z materją zagładzie ulec nie może:

»Ziemia w ziemię się wraca, a duch, z nieba dany,  
Miałby zginąć?

•

»Czyli nas już umarłe macie za stracone  
I którym już na wieki światło jest zgaszone?  
A my, owszem, żywiemy żywot tem ważniejszy,  
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy«.

Światło to czerpał z poczucia braterskiej wspólności ze wszystkimi ludźmi—braćmi:

»A co wszystkich jednako ciśnie, nie wiem, czemu Tobie ma być najciężej jednemu?«

I ze szlachetnej, stoickiej dumy człowieka, pragnącego wzbić się wyżej nad los własny:

»Ludzkie przygody po ludzku noś!«

Ostatnie słowa należą do tych wielkich prawd, które Kochanowski zamykał często w formie lapidarnej czy spiżowej. Odpowiednikami ich są te, gdzie indziej umieszczone:

»I szkodać zwać człowiekiem, kto bydlęco żyje«.

Lapidarność czy spiżowość tych słów stanowi ich piękność stylową, artystyczną. Lecz spróbujmy rozpowić je z formy, w którą je zakuł artysta, i przypatrzeć się prawdzie, którą w nie włożył myśliciel.

Co znaczy: ludzkie przygody po ludzku nosić?

Co znaczy: żyć — nie bydlęco?

Tu przybyliśmy do głównego węzła tej organizacji, bogatej i jasnej, do tego, co wśród gwiazd, przyświecających ciemnościom ziemskim, było dla Kochanowskiego gwiazdą nad gwiazdami.

Gwiazdą nad gwiazdami było dla niego dobro mo-



ralne. Nie nauka i wiedza, nie prawda umysłowa, nawet nie piękno artystyczne, ani też stokroć tem mniej bogactwo, użycie, potęga fizyczna, — tylko to dobro moralne, którego wszystkie objawy zamykają się w słowie: cnota. Był czcicielem cnoty. Jeżeli do oświeconego umysłu jego mógł znaleźć dostęp fanatyzm jakikolwiek, to chyba ten jeden. Był fanatycznym czcicielem cnoty. Możnaaby jeszcze rzec, że był jej tkliwym kochankiem, wysławia ją wszędzie i zawsze, na wysławienie jej słów dość wspaniałych dobrać nie może.

»Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi;  
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,  
Nie spali ogień, nie zabierze woda;  
Nad wszystkim innem panuje przygoda.

•

Cnotą jest tak bogata, nie może wziąć szkody,  
Ani się też ogląda na ludzkie nagrody;  
Sama ona nagrodą i placą jest sobie  
I krom nabytych przypraw (strojów) świetna w swej  
[ozdobie.

•

Jasna jest zorza, jasno słońce pała;  
Tak niech twa cnota będzie okazała«.

•

Za najprzepyszniejszy napis grobowy poczytuje  
słowa:

»Strzegłem póki żyw cnoty«.

A w jednym z fragmentów pisanych, prozą, o tej arcygwiazdzie swego ducha mówi w sposób następny:

»Dwie rzeczy człowieka szlachcą: obyczaje a ro-

zum. Obyczaje z cnót pochodzą, a rozum — z nauk. Obie dwie rzeczy w sobie mieć — rzecz nie przepłacona człowiekowi. Ale, jeśli przy jednej tylko masz zostać, raczej przy cnocie, niż przy nauce zostać, bo nauka bez cnoty, jako miecz u szalonego... Cnota, choć nawet sama, będzie chwalebna i pożyteczna«.

Tu zważmy, że sąd ten wypowiada i wybór taki czyni człowiek, który sam stał się posiadaczem całego niemal obszaru wiedzy społecznej, którego wykształcenie umysłowe budziło podziw u codzoiemców, jednało oklaski i laury na dworach magnackich i królewskich.

Ale uczynmy krok dalej. Cnota — wyraz zbiorowy. Jak światło słońca w kropli wody, tak ideał dobra łamie się w słowie »cnota« na mnóstwo barw rozmaitych. Jaką cnotę, którą z cnót poeta czci najwyżej i doradza najgorliwiej? Są stopniowania. Więc naprzód w pojęciu najogólniejszem żąda on wiernej pamięci człowieka o tem, że jest istotą, złożoną z natury dwoistej: cielesnej i duchowej. »Bo w człowieku, — mówi — są dwie mocarki dziwne, nietylko sobie różne, ale i przeciwne«. Z tych dwu mocarek jedna pociągać go będzie ku wszystkiemu, co jest przyjemnem, zyskownem, pochlebny, głaszczącym; druga — ku temu, co nieraz z cierpieniem i ofiarą wykształca i doskonali wolę, miłość, surowe trwanie przy obowiązku wznoszenia oczu ku słońcom ideałów, wtedy nawet gdy dokoła ciemno.

»Nie rozumiej — mówi, — żeby to darmo uczyniono,  
Iż wszelki zwierz inny pochyło stworzony,  
A człowiek twarz wyniosłą niesie przed wszystkimi,  
W ozdobne niebo patrząc oczyma jasnemi«.

Więc w górę serca i czoła! Odwagi w sercach, nie-  
skazitelności na czołach! Żadnego niewolnictwa, żadnej  
służalczości! Ofiarowując jeden z utworów swoich kró-  
lowi, dedykację Kochanowski zaczyna od słów:

»Panie mój« — i zaraz w nawiasie dodaje: »to  
największy tytuł u swobodnych...«

A w ciągu utworu tego daje królowi nauki surowe,  
kreślone ręką, która nie zna ani pochlebstwa, ani trwogi.

»Pańskiego zdrowia (bezpieczeństwa) ani mocne sklepy,  
Ani tak dobrze strzegą poboczne (żołnierskie) oszczepy,  
Jako miłość poddanych...«

I w kilku słowach skreśliwszy, jak panujący ma kar-  
cić występki, dodaje:

»A czego najpotrzebniej (co najpotrzebniejsze), to sam  
żyj przykładnie...«

Poczem wymawia te rzewne słowa: (pamiętaj kró-  
lu, że)

»U Boga niewinnych prośby ważne...«

I przypomina:

»Królowie (zaś) mają przed sobą pana, który wszyst-  
kiemu światu rozkazuje...«

Jakże daleka przestrzeń pomiędzy poetą polskim,  
który, rzekłszy do króla: »Panie!«, wnet ostrzega, że to  
już tytuł najwyższy, jaki usta człowieka swobodnego in-  
nemu człowiekowi dać mogą, — a tymi dworakami fran-  
cusкими, którzy w tym samym wieku i jeszcze w nastę-  
pnym z lokajskimi serwetami na ramionach stali przy  
ucztaach za krzesłami swoich mocarzy, albo z tym poetą

innego narodu, który u końca przeszłego stulecia, nie usposobiony do mówienia wierszem, wybuchnął improwizacją poetycką, gdy od monarchini swojej otrzymał policzek.

Lecz to poczucie duchowej godności człowieczej i rozumnej wolności obywatelskiej obudzało w Kochanowskim odwagę daleko jeszcze trudniejszą i rzadszą, niż ta, z którą przemawiał do króla; obudzała w nim ona odwagę mówienia narodowi o jego przywarach i błędach głośno i szczerze. Naród to był wówczas potężny, na szczycie szczęścia, w blasku chwały; już też zaczynał upajać się chwałą i szczęściem i, jak zawsze dzieje się z upojonymi, zataczać się na manowce.

Kochanowski należał do tych narodowych mistrzów, którzy, aby ratować ojczyznę, nie wahają się w szumne jej wody rzucić potępiania kamień, choćby miały one ich samych obryzgać za to falą obrazy i niepopularności. Obryzgiwały.

Poeta wiedział, że, na gościńcach surowej prawdy śpiewając, nie można mieć słuchaczy licznych i łaskawych, którzy tłoczą się najgęściej około kucharzy smacznych kąsków i malarzy ładnych obrazków. Czuł, że jest słuchanym za mało, i w momentach goryczy wołał:

»Sobie śpiewam a Muzom, bo kto(ż) jest na ziemi,  
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi,  
Kto nie woli tymczasem zysku mieć na pieczy,  
Łapiąc grosza zewsząd...

Wszakże wnet dumnie podnosi czoła.

»Jednak mam tę nadzieję, że przecież za laty  
Nie będą moje czule noce bez zapłaty.

A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,  
To po śmierci z lichwą odda czas późniejszy  
przeto...

...Za cześć poczytam

Sobie, że się dróg innych, niż pospółstwo chwytam...

I pomimo strzał, które przeszywały mu smutne serce, nie przestawał chwycić się dróg wyższych nad pospółstwo, dróg górnych. Czuł się skrzydlatym.

»Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry

I tak wysoko postawił, że z góry

Wszystek świat widzę, a sam, jako trzeba,

Tykam się nieba.

Czuł się tak skrzydlatym, że za nisko mu było zamieszkiwać komnaty królewskie, na które wzywali go usilnie dwaj wielcy królowie polscy: Zygmunt August i Stefan Batory. Nie chciał wrzawy światowej, ani dworskich przepychów, ani oklasków; gardził gonitwą za zyskiem i zaszczytami, zbyt kownością życia, które w utworach swoich wyrzucał narodowi; jednocząc czyny z zasadami, odrzucał ofiarowywane mu dostojęstwa i urzędy wysokie, ze sprawiedliwą dumą mówiąc »ja, co w kim ganię, tego sam się chronię«. Ukochał ciche, czyste, skromne życie ziemianina i na łonie »wsi spokojnej, wsi wesołej«, w cieniu starej lipy rozmyślając nad cnotą, nad tą kroplą wody, w której tysiącem barw załamuje się światło ideału; myślą i sercem ustanowił stopień jej najwyższy, gdy wyśpiewał te słowa:

»A jeśli komu droga otwarta do nieba,

To tym, którzy służą ojczyźnie...«

U tych słów, któreby należało złotemi głoskami ryć na frontonach świątyń i gmachów publicznych, kończę to rysowanie sylwetki pierwszego w czasie poety polskiego, to tylko dodając jeszcze, że będąc pierwszym w czasie i przez trzy z górą stulecia z nami rozdzielony, nie jest on poetą, jak mniema wielu, przestarzałym. Jeżeli są w duszach ludzkich klejnoty, których rdza czasu nie okrywa nigdy, to jednym z nich, pierwszej wielkości i najstarszego blasku, jest właśnie ten ideał dobra, który tkwi w poezji Kochanowskiego, jak brylant owinięty złotą przędzą. Sztukę przędzenia złotych nici poezji udoskonaliły wieki upłynione, uczyniły ją subtelniejszą, rozmaitszą, wyrzucającą z siebie połyski ognistsze, — lecz dziś jeszcze tak, jak i dawniej, tak, jak od samego początku pochodzą myśli ludzkiej, wielkiego poetę rozpoznać można po tem, czy w złotej przędzy słów jego tkwi ów brylant ideału. Nie wiercie w wielkość poetów, którzy dają wam łupinę choćby najświetniej połyskującą, najkunsztowniej wyrzeźbioną, lecz pozbawioną tego idealnego ziarna, — bo chociaż sprawi Wam ona chwilę zabawy czy rozkoszy, zostanie bezpłodną, nie zasieje Wam w sercach wysokich uczuć i natchnień. Nie wiercie także, aby te wysokie uczucia i natchnienia, aby miłość dobra powszechnego i praca, której ono jest celem, aby obowiązek, odwaga, cierpliwe i skromne pełnienie służby publicznej, a w potrzebie i poświęcenie dla niej samego siebie, były rzeczami staroświeckimi. Nie wiercie w staroświeckość cnoty. Ani dla poetów, ani dla innych pracowników w narodzie nie może ona nigdy stać się niepotrzebną. Jest ona wieczną; powstała w chwili, gdy ludzkość po raz

pierwszy, dobywając się z kształtu bydłowego, wchodziła w kształt osłowieczy i zniknąłaby mogła tylko wtedy, gdyby »zła mocarka«, zwyciężając dobrą, znowu zakuła ją w stan bydłowy. Nikt jeszcze nie wynalazł metody, według której ludzie źli, choćby najrozumniejsi, mogli skutecznie służyć sprawom dobrym, — i dziś, tak jak dawniej, jak zawsze, tacy tylko zdołają przywrócić panowanie sprawiedliwości, którzy umieją panować nad samymi sobą, — tacy tylko mają siłę trzymać wodze losów publicznych, którzy marne albo poziome rzuty własnej natury na wodzy trzymać potrafią, którzy potrafią dla przyniesienia ulgi cierpieniom zbiorowym wyrzekać się uciech własnych, dla podźwignięcia upokorzenia zbiorowego wyrzekać się pychy własnej, którzy umieją kochać i służyć wytrwale, gorąco, skromnie i wiernie. O takich to wyznawcach ideału dobra myślał Kochanowski, gdy wymawiał słowa, ryte dłutem artyzmu na spiziu cnoty:

»Jeśli komu droga otwarta do nieba,  
To tym — którzy służą ojczyźnie«.

Do dziś-dnia pozostało i na zawsze pozostanie prawdą, że najlepszym synem ojczyzny swojej może być tylko człowiek najlepszy.

Dlaczego tymi szerokimi rysami wyrysowałam dziś przed Wami sylwetkę Jana Kochanowskiego? Dlatego naprzód, że głęboko i z tkliwością dziwną kocham sama tego dalekiego przodka mego w wielkiem państwie polskiej myśli i polskiego słowa, więc miło mi było tą miłością swoją podzielić się z Wami. Następnie, dlatego, że gdy dziś jest moment wznoszenia pomników innym

wieszczom naszym, a ten duch wielki i wszystkim innym w czasie przodujący, jeszcze na ten objaw czci narodowej oczekuje, pragnęłam przynajmniej szerokiem pociągnięciem pióra obraz jego w pamięciach i sercach waszych pogłębić i utrwalić. Pragnęłam nakoniec pogłębić i utrwalić w was pamięć o tem, co dla Kochanowskiego było myślą nad myślami i gwiazdą nad gwiazdami, a co w czasach dzisiejszych ulega poniewierce częstej i lekkomyślnej, a mianowicie, że nie można być wielkim poetą bez ideału dobra pod czaszką i pod piórem, ani dobrym sługą ojczyzny bez cnoty w sercu, w myśli i w czynie.

---



## NA WSPANIAŁEJ WILHELMSSTRASSE.

Huczny, szumny, strojny, przebogaty, prześwietny Wiesbaden. Długa, szeroka, wspaniała ulica Wilhelmsstrasse. Nieścigniony dla wzroku szereg ławek wygodnych i zgrabnych, pod nieścignionym szeregiem platanów rozłożystych.

Na jednej z ławek usiedliśmy we dwoje i patrzyliśmy, słuchali, zdumiewali, zachwycali.

Mnie, pomimo zachwycenia i zdumienia coś w głębi piersi, tam gdzie serce uderza, coś kłuło, parzyło, bolało, udręczało. Coś nie swego. Swoje wszystko szło sobie torem zwykłym, niezłym, ale może tamto, również swoje, tylko przestronne, dalekie...

Czy towarzysz mój także, pomimo zdumienia i zachwycenia, w najgłębszych głębiach swych czuł to samo com ja uczuwała? Nie wiedziałam.

Mąż to był w sile wieku, lecz już mający dwie bruzdy głębokie wzdłuż policzków, jedną wpoprzek czoła i włosy, które poczynały z czarnych przemieniać się w białe. Ciemne oczy jego, z zamyśleniem przesuwał się po niezliczonych szczegółach otoczenia, niezwykle błyszczwały.

Bo i otoczenie było niezwykle. Wszystko co świat posiada najmędrzej wymyślonego, najbogatszego, najwięcej szumnego, szybkiego, błyszczącego. Wspaniała ulica, jak wzrokiem w jedną i drugą stronę zarzucić, okryta zaprzęgami pysznemi, samochodami błyskawicznie mknącemi, lekkimi jak ptaki bicyklami, ciężkimi jak wieloryby szeregami wozów, przez parę i elektryczność popychanych.

Tu pałace wysokie, a u stóp ich trawniki, podobne do jezior ze szmaragdów roztopionych; nad te jeziora słupami kryształowemi wzbijają się fontanny i na roztopy szmaragdowe sypią brylantowe grady. Tam, szeregi szyb niezliczonych, ogromnych, a za szybami cuda, z za gór i oceanów, ze wszystkich krańców ziemi sprowadzone. Metale, materje, jada, napoje, dzieła sztuki i wielkiej i małej, dzieła i arcydzieła przemysłu wielkiego, małego.

Przed szeregiem szyb i wznoszących się za szybami stosami cudów, rzeka niewyczerpana, procesja nieustająca postaci ludzkich, męskich i niewieścich, kolorowych, błyszczących, promiennych, wesołych, dumnych.

Wszystko to razem szumi, huczy, dzwoni, turkoce, jedzie, idzie, spieszy, gna, pędzi, śmieje się, woła, migoce metalami, materjami, ludzkimi oczami. Gwałt grzmotu i wichru. Kędyś w pobliżu woda szmerze. Z daleka tony muzyki dolatują. Przy świetle zachodzącego słońca, ulewa błyskawic w szklach, w metalach, w materjach, w oczach ludzkich.

Światło zachodzącego słońca przygasać zaczynało i mgłą lekkiego zmierzchu zachodziły głębie wspaniałej Wilhelmsstrasse, gdy towarzysz mój zdjął wzrok z obrazu

otaczającego, w ziemi go utkwili i, jak człowiek zamyślony zwykle mówi, głosem przyciszonym powoli mówić począł:

— Jakże wielkiem musi być stworzenie ziemskie, które panowaniu swemu wszystko stworzone poddać zdołało. Oto ze wszystkich krańców ziemi zlecieli się tu ci ludzie i nie było dla nich czasu, nie było dla nich przestrzeni, gdyż czas i przestrzeń porwały na swe skrzydła siły natury przez człowieka podbite i do wozów jego zaprzężone. Wielkiem być musi stworzenie, które jarzmo na siły natury włożyło, a czas i przestrzeń tak ścisnęło w dłoni, że podług woli jego kurczą się, maleją... Wielkim jest człowiek!

Umilkł, a ja ze wzrokiem tak jak wzrok jego w ziemię wbitym i głosem, tak jak jego głos przyciszonym, powtórzyłam:

— Wielkim jest!

— Ale z przestrzenią i z czasem sprawa jeszcze nie skończona, kto myśli, że te wozy bez koni, które oto przed nami przemykają, są ostatnim wyrazem szybkości ruchu, dla człowieka dostępczej, — myli się. Już lot ptaków naśladowanym i tajemnica jego odgadywaną być zaczyna, już aeronautyka dojrzewa, już wkrótce potężne stworzenie ziemskie wozy swe pod chmury i nad chmury wzbije, aby napowietrznymi szlakami mknęły aż kędy szczyty eterów rozrzedzonych, aż może kędy mleczne gościńce po przestworzach wszechświata prowadzą w nieskończoność. O! wielkim jest człowiek!

— O! wielkim jest! — powtórzyłam.

— A teraz, proszę, niech pani wzrok przesunie po tym szeregu szyb jaśniejących, okazami wszystkich bo-

gactw świata. One także, te bogactwa, zleciały się z za gór i oceanów, aby dla ludzi, którzy tu zlatują, stworzyć raj ziemski. Z wnętrzości ziemi je wygrzebał, na tysiącach krosien wytkał, tysiącem dłułt wyszlifował i wyrzeźbił, w tysiącach kotłów zmieszał i zwarzył, tysiącem smaków, barw i woni zaprawił przemysł człowieczy. Ogarnia przemysł ten, pieści, głaszcze, upaja całą istotę człowieka od kończyn włosów do podeszew stóp, od niewidzialnych pęcherzyków, okrywających podniebienie, do niewidzialnych również wrzodzików, któremi nabrzmiewają dusze płomieniem żądź oparzone. Tworzy on i rozsypuje po świecie takie jak ten oto zbiorniki rozkoszy i niema już płaczu po tym raju niebieskim, z którego miecz archaniola wygnał pierwszego człowieka, bo prawnuk Adamowy, potężny i mądry, sam raje ziemskie dla siebie stworzyć potrafił. Tak, tak! Wielkim, wielkim jest człowiek!

— Tak, tak! Wielkim jest! wielkim!

Jak cudnie fontanny brylantowe szemrzą na szmaragdowych trawnikach! Jak djamentowo błyszczą okna tych marmurowo białych pałaców! Jakiem wołaniem melodyjnym, namiętmem tony muzyki wdzierają we wnętrze tłumu! A tony muzyki, — niech pani przypomnieć to sobie raczy, człowiek już umie, tak samo jak czas i przestrzeń, w dłoń swą pochwytować i w dal daleką je rzucać, aby tam grały i śpiewały innym ludziom. Ale i dźwięki mowy własnej — tak samo w dłoń on chwyta, do klatki zamyka i w niej unieśmiertelnia, aby żyły jeszcze, gdy on już żyć przestanie. Dla umarłych prawo głosu zawojowanem zostało. Leżący w mogiłach prze-

mawiają do chodzących po ziemi powierzchni. Ach! jakże wielkim, jak wielkim jest człowiek!

— Jakże wielkim! jak wielkim...

— Czy pani wie, że każdego roku z jednej kopalni tego kraju 300.000 tysięcy górników dobywa 75,000.000 ton tego drzewa przedwiecznego, które wieki niezliczone przemieniły w węgiel i otrzymuje za nie 760.000 srebrnych monet; że dwie tylko prowincje tego kraju posiadają 140.000 par rąk ludzkich, które roztopiają i wyostrzają stal; że każdego roku na te prowincje wylewa się z kadzi gorzelnianych 13,000.000 litrów piwa; że jedno tylko miasto tych prowincyj w krótkim czasie lat paru zbudowało sobie ratusz za 5,000.000 i dróg nowych za 12,000.000 srebrnych monet; że jedno tylko państwo Kruppa każdego roku przynosi władcom swym 12,000.000 takich monet, że władca jego 2,000.000 ich zapłacił za szmat nieduży potrzebnej mu łąki. A czy pani wie, że jeden tylko kilogram esencji różanej, lub jaśminowej wytłacza się z 6.000 kilo różanego i z 40.000 kilo jaśminowego kwiecica. Zasadzić, uprawić, do pełnego rozkwitu doprowadzić tak potężną ilość róż wspinających, jaśminów uroczyn, aby z nich potem wytłoczyć — kroplę perfumy, o! dzieła takiego podjąćby się nie mógł Anioł, ani Szatan i tylko człowiek jeden dokonać go był zdolny! Czyliż więc nie jest wielkim?

— Wielkim jest, wielkim...

Wtem oboje podnieśliśmy głowy. Spłynęło na nas, ogarnęło nas i wszystko wkoło nas światło ogromne, nagłe. Jakby kto ćwierć słonecznego z trzema ćwiertciami księżycowego światła zmieszał i mieszaninę tę na świat

wylał, takie to było dziwnie łagodne, przedziwnie czyste i jasne. Elektryczność w niezliczonych lampach zapłonęła.

Towarzysz mój wzrok podniósł ku górze.

— Nadzwyczajne, bajeczne, cudowne światło! Spójrz pani w górę, proszę! Przed światłem tem niebo uciekło i miast niego otwarła się otchłań czarna, pusta. Gwiazd nie widać; jak świece przed mocą ziemskiego światła pogasły. Jakże wielkiem być musi stworzenie, które kopułę niebios w otchłań pustą i czarną przemienia, a gwiazdy gasi, jak świece! Jakże wielkim, wielkim, wielkim jest człowiek!

— Wielkim jest, wielkim, wielkim!

Tu spotkały się nasze spojrzenia i zarazem na usta wybiegły nam uśmiechy. Jak niegdyś dwaj Augurowie z uśmiechami na ustach patrzyliśmy sobie w oczy, aż uśmiechy nasze zamieniły się w śmiech, który był spazmem gardel ściśniętych, zgrzytem ironji... w mózgu, szlochem krzywdy w piersi...

Gdy towarzysz mój tak śmiał się, z oka jego wypłynęła bujna łza i ciężko po bruździe policzka płynęła.

Gdy tak śmiałam się, coś mię kłuło, parzyło, bolało, udręczało w miejscu, gdzie serce uderza.

I oto jak, na wspaniałej Wilhelmsstrasse, w rajku ziemskim, śmialiśmy się z oczyma pełnemi łez palących, my, dzieci stworzonego przez człowieka — ziemskiego piekła.

---

## MUZY.

Nie dziewięć ich było, ale trzy, i nie na Helikonie siedziały, ale na niedużem wzgórzu, trawą zarosłem, z którego wzrok ich ogarniać mógł szeroką, dojrzałem zbożem okrytą i żniwiarzami mrówiącą się równinę.

Ubrane były tak prawie pięknie, jak anioły, nieco przecież inaczej, w innym stylu, mniej modnie, więcej poetycznie. Trudno słowami określić, na czem właściwie polega różnica w tualecie Anioła i Muzy: jakaś draperja, w pewien oryginalny sposób opuszczona, jakaś fantazja w upięciu koronki, tu więcej prostoty, tam więcej komplikacyj, tu szpileczka, tam loczek, słowem, napozór jedno nic, ale napozór, bo w istocie rzeczy należy tylko przypatrzeć się pilnie, a przedewszystkiem inteligentnie, aby w tem jednym: *nic* dostrzec daleko większą żywość wyobraźni i daleko większy rozwój samodzielności. Tam, ślepe posłuszeństwo modzie, tu z modą pogodzona pomysłowość własna; tam elegancja prosta, żurnalowa, tu elegancja także, lecz z poetycznością połączona i do pewnego nawet stopnia sięgająca już sfer artyzmu, przez co przypominająca więcej obraz, aniżeli żurnal. Bo nikt

temu zaprzeczyć nie może, iż znaczenie wszelkiej rzeczy zależy od tego, kto i jak na nią spogląda: pustak światem bawi się, jak piłką; duch wyższy w kielichu polnego dzwonka ujrzeć zdoła świat. Zarówno gałganek dla jednych jest tylko gałgankiem, a dla innych światem.

Ubrane tedy modnie, ale zarazem pomysłowo i obrazowo, różniły się też one znacznie od aniołów wyrazami obliczy swych, niedoskonale może pięknych, ale niezawodnie wyższym poziomem ducha napiętnowanych.

Gdyby ktokolwiek chciał je do helikońskich sióstr porównywać, porównałby jedną do ognistej i popędliwej Melpomeny, drugą do tkliwej, tęsknej, miłosnej Eraty, a w trzeciej to już najpewniej żadnej innej z helikońskich sióstr uznaćby nie mógł, jak Kalliope, tylko Kalliope, którą Grecy wysoko śpiewną nazywali dlatego, że śpiewała górnie i dumnie, tylko o rzeczach górnych i dumnych.

Ale one nie były siostrami, tak jak Melpomena, Erata i Kaljopa i dziewięciu takich, jak one, nie mogło też być nietylko na jednej górze, ale może i w jednym kraju. Przytem i Apolina obok nich nie było żadnego. Jak okiem sięgnąć dokoła, na rozległej niwie dojrzałe zboże tylko złotem faluje, a wśród niego, na rozszerzających się coraz cierniskach, w drobne kwiaty haftowanych, same tylko żniwiarki, ku ziemi zgięte, sierpami stalowe błyskawice krzeszą, i sami żniwianze, prostując się z nad ziemi, ciężkie snopy na widłach podnoszą. Zresztą, ścinane kłosa, kładąc się na zagony bez ustanku, szumią a szumią, snopy, na wozy padające, stukają a stukają, w dzikiej gruszy, na miedzy, szczygły śpiewają i kędyś dalej szpak gwizdże. Apolina zaś i jego liry ani śladu.



Nic to. Apolinowie, jeżeli nie znaleźli się dotąd, to znajdują się najpewniej, może nawet i są, tylko kędyś daleko pozostali; co się zaś tyczy liry, to tak wyłącznie przysłuchują się one tym, które w ich piersi grają i śpiewają, że gdyby sam bożek pieśni nad samem ich uchem zagrał i zaśpiewał, nie usłyszałyby może, albowy powiedziały, że bożkiem pieśni został on jedynie przez niezdarność dyrektorów współczesnych kapeli, lub dzięki gminnemu i przez okoliczność zepsutemu smakowi czasu.

Melpomena szybko, z zapalem mówiła:

— Realistką jestem, więcej nawet, naturalistką, krańcową naturalistką. Żadnego fantazjowania, żadnych ozdób, żadnych ideałów, oto zasada, której się trzymam. Opisywać wszystko, co jest i tak, jak jest, ale to ściśle tak, jak jest, ani jednego szczegółu nie pomijając i z miejsca na miejsce nie przenosząc. Komar przeleci, opisuję go, prosię drogę mi przejdzie, opisuję je, kaszel usłyszę, staram się jak najwierniej przedstawić piórem ten dźwięk ludzkiej grtani. Rzecz główna pisać o wszystkim, a następnie czynić to prosto z mostu, krótko, dobitnie, zdaniami urywanymi, w jak najmniejszej ilości słów i wierszy.

— Nie, nie, Melpomeno — słabym i śpiewnym, lecz przez oburzenie wzmożonym i zaostrzonym głosem zawołała Erata — to, co głosisz, jest materjalizmem, grubym materjalizmem, zostającym w sprzeczności zupełnej z samą naturą sztuki, która wyłącznie, jedynie odtwarzać winna to, co piękne, wzniosłe, nieskalane przy mieszką żadnych pierwiastków niższych, co duchowe, idealne... Duch tylko jest wielki i piękny, wszelka materia błaża i wstretna...

— Moja Erato! — żywo i nie bez lekkiego sarkazmu przerwała Melpomena — cóż ja zrobię, skoro na każdym kroku spotykam się z materją?...

— Gardzić nią, Melpomeno! — zawołała Erata — ooczy od niej odwracać, a wznosić je ku błękitom, gwiazdom... zatapiać w sferach wysokich... Jakież jest twoje zdanie, Kaliopo?

Zapytana, nieco górnem spojrzeniem ogarniająca dotąd głowy towarzyszek, z dość wyraźnem lekceważeniem w głosie odpowiedziała:

— Nie należę do żadnej szkoły i nie obchodzą mnie żadne teorie, które są rzeczą bardzo nudną. W utworze piśmiennictwa idzie mi o artyzm, tylko o artyzm, który zawiera się w obrazie. Obrazowość, obrazowość, obrazowość... wszystko co nią nie jest, nie jest i artyzmem. Przytem, subtelność...

— Aha! — ze zbytnią trochę żywością wykrzyknęła Melpomena — bądźże łaskawą subtelnie przedstawić naszych chłopów!

— Nie przedstawiam też ich — odparła Kaliopa.

— Dlaczegoż nie? prostota życia, niewinność serc, czystość i wzniosłość dusz wieśniaczych... — śpiewała Erata.

Ale ognista Melpomena w mowę jej wpadła.

X — Trudno opierać się prądom czasu, trzeba nawet iść z niemi, koniecznie trzeba. Teraz w literaturze chłopi są modni. Utwory, ich za przedmiot mające, najchętniej są drukowane i najwięcej się podobają. Oni też, ci brudni, ciemni, głupi, niezgrabni chłopci najwięcej materiału dają do opisywania żywej, nagiej natury...

— Ależ przeciwnie, przeciwnie! — jak ptaszę w sieć pochwycone z bolesnego wzruszenia drżąc przeczyła Erata — jeżeli gdzie, to właśnie wśród naszych cnotliwych, zaonych, szlachetnych kmieci znaleźć można nieskazitelną czystość, świętą podniosłość... ideały miłości, niewinności i piękna. Jakież jest twoje zdanie, Kaljopo?

— Nie mam o tem żadnego zdania, bo mas nie znam i nic mnie one nie obchodzą.

— A mnie bardzo! — zarzuciła Melpomena — o, bardzo! Tego lata nawet dwa razy przeszłam wzdłuż najbliższą wioskę i tam naturę, prawdziwą naturę na gorącym uczynku chwyciłam. Właśnie dwie ostatnie nowelety moje na tych studjach są oparte.

Mówiąc to, dłonią dotykała stanika sukni, za którym szeleścił papier. Tak Erata, jak Kaljopa zbyt dobrze wychowanemi były, aby nie wiedzieć, że w tym wypadku prośba o wydobycie na światło dzienne owego papieru stanowiła dla nich prosty i nieunikniony obowiązek. Spełniły go pośpiesznie; papier na światło dzienne wyszedł, malutkie raczej dwa papierki, kilkadziesiąt drukowanych wierszy razem zawierające. Jednak, któż nie wie, że dla myśli ludzkiej kupieckie miary i wagi nic nie stanowią i że drobna pylina więcej nieraz w dziedzinie tej znaczyć może od centnarowych brzemion? Melpomena, rumieniąc się nieco, zaczęła:

— Pierwsza moja noweleta powstała wówczas, gdy odbyła po wsi pierwszą moją przechadzkę. Studium to było dla mnie bardzo korzystne. Opisałam to, co widziałam. Tytuł: Ulana.

— Urocze imię! jakże je Kocham! już ono samo dobrze mnie dla utworu twego usposabia! — zachwyciła się Erata.

Kaljopa milczała obojętnie; Melpomena czytać zaczęła:

»*Ulana*. Słońce zachodziło. Przy chacie stał płot, na którym Ulana rozwieszała mokrą bieliznę. Była to dziewczyna gruba i krępa, z brzydką, ospowatą twarzą. Usta jej posiadały wyraz zwierzęcy, który cechuje kręgowców niższego rzędu, a w zielonawych, jak u kota, oczach, palił się siny ogień nienasyconych żądź. Ciemne jej ciało ukazywało się z za dziwnie nędznej odzieży, brudne stopy tonęły w pokrzywach, nietyle przecież, aby nie można było dostrzec tego, że były brudne. Gdy spódnice o płot zaczepiła, ukazało się nawet jedno jej kolano, zgięte w pozycji takiej, w jakiej mistrze snycerskiej sztuki przedstawiają niewolnice, w upodleniu kłękające przed swymi panami. Widać dużo dziś zjadła kapusty i czarnego chleba nędzarzy, bo pierś jej, do łona Cerery, karmicielki świata podobną, wznosiło ciągle odbijanie się, przyczem wychodziły z niej dźwięki: hg! hg! Tak wieszala na płocie bieliznę, aż gdy tę pracę ukończyła, spojrzawszy w stronę zachodu, mydlinami ociekające ręce ku gwiazdzie dnia wyciągnęła i wymówiła zcicha: o, słońce! Ludzie! tego westchnienia Ulany nikt nie sły-szał, lecz jego echo powtórzą wieki!«

Głos Melpomeny przy końcu stał się drżącym; w jej oku palił się brylant lzy.

— Koniec przesłiczny! — szepnęła Erata.

Kaljopa była zbyt dobrze wychowaną, aby nie szepnąć także:

— Ładny obrazek!

Po chwili jednak, Erata z najśłodszym uśmiechem zaczęła:

— Przebacz mi, moja droga, ale ja tylko, do prawdy... z tem ciałem pogodzić się nie mogę... to wyraz tak materialistyczny... rażący...

— To cóż ja zrobię, skoro chłopki mają ciało? — raźnie zaprotestowała Melpomena.

— Trzebaby to jakoś inaczej wyrazić...

— Jakże?...

— Możeby lepiej... doczesna powłoka, albo... albo... naczynie duszy...

— Ja znowu — zaczęła Kaljopa — wątpię, aby dziewczyna, która, jak napisałaś, ma wyraz ust kręgowców niższego rzędu, a w zielonawych oczach siny płomień żądź, mogła wzdychać: o, słońce!

— A ja jeszcze — dodała Erata — protestuję jak najmocniej, aby typem wiejskiego dziewczęcia była dziewczyna ospowata, brudna, w podartem odzieniu i do zwierzęcia podobna...

Gdyby Apollo, bożek nie tylko pieśni, ale i prawdy, przelatywał tamtędy, za ten sceptycyzm i za te protestacje Eratę i Kaljopę pochwaliliby bardzo. Ale Melpomena ozwała się z triumfem:

— Krótka noweleta, prawda?

Temu zaprzeczyć nie było można; towarzyszki potwierdzająco głowami kiwnęły, a Melpomena powtórzyła jeszcze:

— Krótkość, warunek dziś konieczny. Streszczać się, streszczać się i streszczać się nam trzeba. I to jeszcze, co przeczytałam wam, jest za długie. Aby móc dosyć streścić się, wielkiej trzeba wprawy. To też druga noweleta moja jest od tej jeszcze krótsza.

I czytać zaczęła:

»*Gonitwa*. Do płotu przywiązane stało cielę, za niem w niejakiem oddaleniu siedziało małe chłopię. Droga, pomiędzy chatami, brnąc w błocie, biegł pies i na widok cielęcia, jak wryty, stanął. Pies patrzył na cielę, cielę na psa i trwało to dopóty, dopóki drugi płotu nie przeskoczył i z dzikiem szczekaniem nie rzucił się na łagodne, ryże stworzenie. Wtedy, ryże stworzenie, z siłą przez trwogę zdwojoną, zerwało krepujące je więzy i z podniesionym ogonem umykać zaczęło. Pies, z podniesionym także ogonem, zapamiętale je ścigał, a opodal siedzące chłopię, niebezpieczeństwo wychowańca swego ujrawszy, z rozwianemi włosami za cielęciem i psem pobiegło. Tak wszystko troje gonili się wzajem, aż zniknęli mi z przed oczu w rowie, cuchnącem błotem napelnionym!«

Umilkła na chwilę, a potem zauważyła:

— Ta lepsza od tamtej, bo krótsza!

— Ależ zlituj się! — zawołała Erata — dlaczegoż zawsze błoto, błoto, błoto! I pies brnie w błocie, i goniące go dziecię wraz z cielęciem niknie w błocie! Czyż dokoła wiosek naszych nie istnieją pola zielone i łąki kwitnące?

Gdyby Apollo, który był bożkiem nietylko pieśni, ale i prawdy, protestację tę słyszał, znowuby za nią Eratę bardzo pochwalił. Bo, jeżeli ktokolwiek wątpić

może o tem, aby istniały na ziemi chłopki nie ospowate, nie brzydkie, nie brudne i nie mające w oczach ogni żądź, to już istnienie dokoła wiosek, oprócz błota, pól zielonych i łąk kwiecistych wątpliwości żadnej i niczyjej podlegać nie może.

Kaljopa była bardzo dobrze wychowaną, niezmiernie nawet wytworną, wiedziała więc, że powiedzieć coś musi i że to, co powie, przyganą być nie może. Zresztą, wartoż trudzić się krytykowaniem takich nowelet, jak te, które tylko co usłyszała? Sam Apollo nie zadawałby sobie tego trudu. Rzekła więc tylko:

— Ładny obrazek!

A widząc Melpomenę, wyraźnie czegoś jeszcze oczekującą, dodała:

— Drugi twój utwór, kochana Melpomeno, podoba mi się więcej od pierwszego, bo jest w nim dziecko, a żywił to do najwyższego stopnia estetyczny.

— O, tak — potwierdziła Erata z zachwyceniem — dzieci... kwiaty, motyle... i piękne dusze!...

— Ja także studjuję dzieci — zauważyła Melpomena — uważam nawet, że przedstawiają one przedmiot dla studjów nadzwyczaj korzystny, bo nigdzie tyle, ile w tych embrjonach ludzkich znaleźć nie można prawdziwej, nagiej natury.

— Ja nawet nietylko dla względów estetycznych kocham dzieci — uczucia swe wyjaśniała wysoko śpiewna — ale dlatego także, że są to stworzenia miłutkie, zabawne...

— Niewinnością swą i bezbronnością budzą one

w sercu człowieka najwznioślejsze z uczuć — miłość i litość dla malutkich i słabych... — uzupełniła Erata.

— Altruizm, droga Erato, którego pierwiastki spostrzegać się dają już w niektórych gromadach zwierzęcych... Obszernie pisze o tem Spencer...

Erata zadrżała.

— O, Melpomeno, nie wymawiaj proszę imienia tego człowieka!

— Dlaczego? Jest to socjolog...

— Jest to gruby materialista, który gangrenę sieje pośród...

Kaljopa z lekkim ziewnięciem przerwała:

— Wszystkie te socjologie są okropnie nudne, nie czytuję ich nigdy. Czy nie przywiozłaś nam którego z nowych utworów swoich, Erato?

Erata skromnie spuściła powieki.

— Tylko początek. Powiastka moja będzie dość obszerna i tak, jak noweletry Melpomeny, na tle ludowym osnuta. Tylko, że ja zupełnie inaczej lud rozumiem i przedstawiam...

— Bo zapewne, droga Erato, nie czyniłaś nad nim takich, jak ja, studjów...

— Według mnie, kochana Melpomeno, poeta, nowelista, powieściopisarz powinien być jak ptak, który śpiewa, bo słońce świeci, bo róże kwitną, bo... bo... słowem, natchnienia swe czerpać on powinien z serca, które czuje, nie z głowy, która tylko rozumować umie, z wyobraźni, która ideał dostrzega, nie z rzeczywistości, która go poniża... Moja powiastka będzie dość obszerna, więc napisałam i wam przywiozłam tylko jej początek...



Tu, z za paska, który jej kibici nadawał dziewiczy i polotny pozór, wyjęła arkusik zapisanego papieru.

— Tytuł: »Dziewczę z nad strumienia«. Ale do-  
prawdy, nie śmiem... wstydzę się... znudzę was może...

— Nic nie szkodzi, czytaj jednak! — zatrzępała  
żywa Melpomena.

— Proszę cię, Erato... — wyrzekła dumna Kaljopa.

— Więc: »Dziewczę z nad strumienia«. Na błę-  
kitnym skłonie nieba, różowa jutrzenka roztaczała z fijo-  
letu i purpury utkaną, perłami rosy, krepami obłoków,  
mrużącemi się od znużenia oczami gwiazd, złotemi nićmi  
słońca, drobnymi sylwetkami unoszących się w błękitnem  
powietrzu skowronków, migotliwymi błyskami żaru i bla-  
dości, ciemności i jasności, boskiego wesela i piekielnego  
smutku, kończącej się nocy i poczynającego się dnia,  
haftowaną wstęgę, wstęgę, która jak pas zaczarowany  
z kibici czarodziejki-wróżki odwinięty, brylantami wysa-  
dzany, szafirami, opalami, turkusami nakrapiany, złotem  
obrębiony, srebrzystością anielską nalany, otoczył bu-  
dzący się do życia, od traw zielony, od białych róż śnie-  
żny, od kłosów złoty, przeźroczysem powietrzem, niby  
dzwonem nieskazitelnego kryształu okryty, woniami roz-  
kwitających konwalij i kalin owiany, tajemnemi szeptami,  
niby emanacją słowiczej, śpiewnej, podniosłej, przeczystej  
miłości, na wzór czary ambrozją napelnionej, po brzegi  
nalany — świat...«

Gdy Erata to czytała, Melpomena z błyskami ogni-  
stych oczu pochyliła się ku Kaljopie, cichutko szepcząc:

— Jeżeli jutrzenka jest różowa, to nie może być  
zarazem fioletowa i purpurowa. Rosa także na jutrzenkę

nie pada i gwiazdy na niej nie siedzą. Co to jest nie robić studjów z żywej, nagiej natury!

Kaljopa odszepnęła:

— Obrazowości niema, ale styl górny, wyniosły...

— A tak — sarknęła Melpomena — aby go płynnie czytać, primadonną z opery być trzeba.

Erata, ani jednej litery z cichutkiej rozmowy towarzyszek nie słysząc, czytała dalej:

»...Wśród białokorych brzóz, nad błękitnym strumieniem, w półleżącej postawie, z której oko poety wyczytałoby mogło wiośniane marzenie niepokalanego serca, siedziało wiejskie dziewczę. Było ono tak pięknem, anielskiem, białem, że na jej widok zaczarowany królewicz ściągnąłby wodze ognistego swego rumaka i długo, długo w oczarowaniu nowem zapytywałby białe róże i błękitne nieba: jest-że to nimfa, rusalka, zjawisko nadziemskie, z białej mgły i z błękitnych obłoków utworzone dlatego, aby przed oczami zachwyconego śmiertelnika zmienić się w mgłę białą, w obłok błękitny i ulecieć w niebo? Była ona tak smukłą i giętką, że zda się lada wietrzyk zdmuchnąłby ją mógł z zielonej trawy, i, jak białą różę, rzucić na błękitną falę strumienia. Błękitne jej oczy ściagały bieg strumienia, a śnieżnemi dłońmi powoli, w zadumie wila równiankę z białych kalin i błękitnych, jak niebo i jak jej oczy, niezapominajek...«

Tu, Melpomena, która od kilku sekund podnosiła się na swem siedzeniu i znowu na nie opadała, powściągnąć się już nie mogła.

— O, Erato! — zawołała — i gdzież na ziemi

widziałaś istotę ludzką, tak lekką, aby po wodzie jak róża pływać mogła, a także chłopkę ze śnieżnymi dłońmi?

— O, Melpomeno! — odpowiedziała Erata — nic w świecie skłonić mię nie może, abym opisywała grube postacie i brudne ręce...

Poczem czytała dalej:

»W cieniu białokorych brzoź kryła się przed okiem dziewczęcia postać wiejskiego młodziana, lecz do uszu jej doszły niebawem słodkie tony fujanki, którą młodzian do koralowych ust swych przyłożył i...«

— Chyba to był dzień świąteczny — wtrąciła znowu Melpomena — ale trzeba koniecznie położyć na to nacisk, że był to dzień świąteczny, bo ja, która robiłam studja, wiem, iż w dni powszednie chłopaki nie leżą nad strumieniem i wieńców nie wiją, a chłopci na fujarkach nie grywają...

— W świecie ideałów panuje wieczne święto — obroniła się Erata.

Kaljopa zaś wyrzekła:

— Ja o masach nic nie wiem, ale widzę tu obraz i subtelność... Szkoda tylko, Erato, że na tym obrazie nie umieściłaś jeszcze dziecka...

— Będzie... o, w powiastce mojej będzie wiele tych aniołków — upewniała Erata i dalej czytać miała, gdy krzyk nagły, donośny i piskliwy zamianowi jej przeskodził.

— Co to? — prostując się, zapytały jednogłośnie muzy i na ścianę berberysowych krzaków, w której cieniu siedziały, wzrok obróciły.

Krzyk piskliwy i przeraźliwy ozwał się był tuż, tuż

za tą ścianą i to głośnem chlipaniem, to kociem jakby miauczeniem przerywany, trwał ciągle.

Najciekawsza wszelkich zjawisk natury Melpomena powstała pierwsza i gęstwinę dzikich krzewów okrążyła, za nią też powolniej i ostrożniej poszły Erata i Kaljopa, aż wszystkim trzem razem, na kępiasto rosnącej trawie pagórka, u stóp kolczastego berberysu, ukazał się widoczek drobny i żaloszny.

Było to dziecko, drobne, kilkomiesięczne dziecko, znajdujące się w położeniu najmniej wygodnem i przyjemnem z tych, w jakich bezbronne i niewinne stworzenia znajdować się mogą. Matka, żniwiarka, przed wielu już godzinami zapewne, nic innego uczynić z niem nie mogąc, tu je umieściła, w chłodnym cieniu krzewów, w koszyku z łoziny, pod zawieszonym na łęku koszyka swoim pasiastym fartuchem. Pawilon ten, oprócz swych barw: granatowej i czerwonej, które czyniły go wspaniałym, ten jeszcze przymiot posiadał, że usypiającą pod jego przykryciem istotkę, od napelniających powietrze owadów chronił. W zamian, trwałość budowy jego wiele pozostawiała do życzenia, czego następstwem było, że uległ on przed chwilą smutnemu zniszczeniu. Może strąciła go z koszykowego łęku kolczasta gałąź berberysu, silniejszym nad inne podmuchem wiatru poruszona; skrzydło ptasie zaczepiło, lub wstrząsnęła polna lisica, ze strachu przed żniwiarzami kryjąca się w splątana i ciemną gęstwinę, ale stało się!

Pasiasty fartuch na ziemi leżał, a w odstłoniętym i na ukośne, a jeszcze gorące promienie zachodzącego

słońca wystawionym koszu, z całej siły wrzeszowało prawie niewidzialne zrazu dziecko.

Było ono prawie zrazu niewidzialnem, bo znajdowało się razem ze swym koszykiem w samym wnętrzu wznoszącego się od ziemi, wysokiego, złotego w słońcu, słupa drobniotkich polnych muszek. Ten słup drobniotkich muszek gęsto lotem swym przecinały znacznie bujniejsze od nich komary, o parę więc kroków widać było tylko niewyraźne zarysy dzieciennych kończyn, z towarzyszeniem krzyku, chlipania i miauczenia podnoszące się, opadające, drgające w tej gęstej, złotej, skrzydlatej kurzawie. O parę kroków od tej kurzawy i zatopionego w niem dziecka muzy stanęły.

— Patrz, patrz, Kaljopo — splatając dłonie, zawołała Erata — jak cudownie ten złoty słup owadów na błękitnem tle nieba odbija! Co za harmonja i zarazem świetność barw! A ten aniołek, zaledwie w tej mgle widzialny...

— Tak — z zadumą odparła muza śpiewna — to dziecko, niby w powietrzną szarfę ze złotej krepki upowite, tworzy wcale ładny obrazek...

Ale Melpomena, głowę swą śmiało już w kurzawie muszek i komarów pogrążając, wołała:

— Spójrzcie, spójrzcie zbliska, moje drogie, to dopiero przedmiot dla studjum!

Zbliżyły się i dłońmi usiłując powietrzną szarfę od twarzy i szyi swych odgarniać, pochylili się także, ale na krótko. Zbliska widziane, dziecko nie odznaczało się świetnością i harmonją barw, ani tworzyło ładnego obrazka. Czystą, ale szarą i grubą koszulą nawpół tylko

okryte, przez owady srodze napastowane, nagie i drobne ramiona swe i nogi konwulsyjnymi ruchy wyrzucało ono w powietrze, a czerwona, bawełniana czapka, od gwałtownych poruszeń głowy wykrzywiona, odsłoniła mu połowę czaszki drobnym i rzadkim puchem białych prawie włosów porośłą, a zasłoniła połowę czoła i jedno oko. Druga, widzialna połowa czoła, drgała od bólu i zmarszczkami przypominała zorane czoło starca, z drugiego widzialnego oka, przez blask słońca prawie oślepionego, z pod nabrzmiałej, przymkniętej powieki spływał sznurek łez. Ten sznurek łez, u warg jeszcze bezzębnych, wykrzywionych i rozwartych, łączył się z potokiem śliny, na szarą koszulę i widzialną z za niej drobną, ciemną pierś spływającą. Przytem to w półnagie, skrzywione, oślinione, konwulsyjnie miotające się stworzenie wydawało z siebie wrzask tak przeraźliwy, że dziwić się było można wytrwałości powietrznej szarfy, która, choć skrzydlata, więc uciec mogąca, upowijać go nie przestawała. Ale muzy mają naturę wcale inną, niż polne muszki i komary, więc dwie z pomiędzy nich szybko podniosły głowy i znowu o dwa kroki odstępowały.

— Biedna, niewinna, czysta duszyczka! dlaczegoż powłoka tak jest odrażająca? — smutnie szepnęła Erata.

— O, odrażająca!... takie dzieci są bardzo nudne! — potwierdziła Kaljopa, głowę w podniesione ramiona wtulając, a suknię dokoła nóg swoich zbierając tak, jakby od uczutej odrazy coprędzej uciec i skraj nawet faldzistej tuniki swej usunąć chciała.

— Czy uważałaś — szepnęła jeszcze Kaljopa — jaką to dziecko niemilą woń...

Kaljopa uważała.

— *Horreur!* — odrzekła i ściślej jeszcze ogarnęła się swą suknią, gdy tymczasem Erata, wydobytą z kieszonki cienką chusteczkę do ust i nosa podniosła. Tak obie, jedna za drugą śpiesznie przeszły na drugą stronę wzgórza, gdzie w znacznem oddaleniu od powietrznej szarfy i upowitego w nią aniołka usiadły.

Wkrótce przybyła ku nim i trzecia ich towarzyszka, z licem tak rozjaśnionem, że odrazu poznać można było, iż powraca z ważną zdobyczą. Najdłużej na stanowisku wytrwała, lecz i niemając korzyść odniosła. Zdała już, triumfująca, ku towarzyszkom wołała:

— Mam znowu noweletę, mam! Zrobiłam świetne studjum! Jak to dziecko śliniło płacząc, moje drogie, jak ono obrzydliwie śliniło! Taka obrzydliwość, to już prawdziwa perła żywej, nagiej natury!...

— O, Melpomeno — jęknęła Erata — że też twój boski ogień dla samych tylko obrzydliwości płonie!

— Tak, jak twój dla wzniosłości, których nie widziało żadne oko i nie słyszało żadne ucho ludzkie! — odcięła się Melpomena. Po ustach Kaljopy ślizgał się tylko milczący uśmiech wyższości, a w powietrzu wysoko coś zachichotało, wyraźnie zachichotało i metalicznie zabrzęczało. Czy to Apollo nad pagórek zleciał i niewidzialny śmiał się tak, że aż mu w kołczanie brzęczały srebrne strzały?

Jednak Kaljopa zapytała:

— Cóż się stało z tem stworzeniem?... bo dzięki Bogu, okropny wrzask jego ustał.

Erata opowiedziała, że matka zniwiarka, wrzask

jego usłyszawszy, jak strzała po miedzy biegła, przybiegłszy, na ręce je schwyciła, fartuchem osłoniła i co prędzej z niem razem wróciła na zagony, aby żąć znowu. Coś tam do dziecka mówiła, coś mu nawet pocichu zanuciła, ale Erata ani jej słów, ani nucenia nie słuchała, bo zajął ją ogromnie widok czarnych plam, które koszulę jej okrywały. Były to plamy od potu tak obfitego, że przemokło w nim i zczerniało grube płótno jej koszuli.

— *Horreur!* — szepnęła Kaliopa.

— Pot biedaków jest rzeczą świętą! — z za podniesionej znowu ku ustom chusteczki upomniała ją Erata.

Poczem, pragnąc zapewne estetyczną przyjemnością zatrzeć bolesne wrażenie, którego na widok czystej duszyczki, w odrażającą powłokę przyodzianej, doświadczyła, do Kaljopy zaniosiła prośbę, aby im jakki twór ducha swego zkolei ukazać chciała. Było to sprawiedliwym, one bowiem: Melpomena i Erata, przed nią już dusze swoje naościęz otworzyły i ukazały jej skromne owoce swych dumań, rojeń, pracowitych dni i bezsennych nocy.

— Co do mnie — żywo zarzuciła Melpomena — nic wcale nie roję, nie zapracowywam się wcale i sypiam wybornie. Są to korzyści szkoły, której hołduję, a której pierwszym przykazaniem jest: nic nie roić. Obserwowanie zaś i opisywanie nagiej natury, takich np. jej objawów i dokumentów, jak: wieszanie na płocie mokrej bielizny, gonitwa psa za cielęciami, lub ślinienie się płaczącego dziecka niewiele pracy wymaga i snu nie odbiera.

— O, tak! — potwierdziła Erata — służenie idea-



lom jest daleko mozolniejsze i cięższe, niż hołdowanie prozie i niezdrowym prądom czasu!

— Wolę hołdować prozie, niżeli wszystko, co pi-szę, z własnej głowy wymyślać, jakkolwiek przyznaję, że, aby to czynić, trzeba być mędrszym od samego Sa-lomona, który podobno z pustego naczynia nic wylać nie mógł.

— Przekładam naczynie puste nad napelnione tru-cizną — odparła Erata.

A Kaljopa, we wpółleżącej postawie, do traw szepnęła:

— *Comme elles sentent la roture, ces petites femmes!* zaraz jak przekupki klócić się zaczną...

I aby zapobiec powstaniu w jej pobliżu zjawiska tak rdzennie niesubtelnego, jakim jest klótnia, pośpiesz-niej, niżby to w każdym innym wypadku uczynić mogła, umysły towarzyszek ku utworowi swemu skierowała:

Była to także powieść i długą nawet być miała; tymczasem zaś początek jej zawiódł Eratę i Melpomenę do uroczej italskiej krainy, nad brzegi szafirowego Adrja-tyku i do stóp pałacu, w czystym stylu *renaissance* zbu-dowanego, a zamieszkiwanego przez dostojną rodzinę książąt X., pochodzącą z rodu, sięgającego swym po-czątkiem czasów antydiluwjalnych, a odznaczającą się zarówno fenomenalną pięknnością powierzchowności, jak i najwyższym z przymiotów prastarych rodów: dumą! Wszyscy w tym rodzie mieli wysokie wzrosty, posągowe rysy i dumne dusze. Najwyższą, najposągowszą i naj-dumniejszą była księżniczka Ludgarda, która teraz na balkonie pałacu swego stanęła, wśród białych marmurów

i posągowych magnolij, bielsze nad marmur ramiona ukazując i dumniejszą nad magnolję głowę wznosząc, a spojrzeniem dumnych, królewskich, rozkazujących oczu, puszczając po przestworzu, napelnionem żarem południowego nieba, i po lazurowych falach morza, na których, jak białe motyle, mknęły i jak niedoścignione marzenia niknęły, żagle rybackich łodzi. Gdy tak dumna księżniczka na balkonie stała i na przestworza patrzyła, z kwiatami usianej *peluzy*, doszedł jej uszu głos dźwięczny, muzykalny, lecz nieśmiały...

— *Bon jour, princesse!*

Księżniczka spojrzenie na *peluzę* i stojącego pośród niej wytwornego pana opuściła, a z ust jej mniej dumne od nich wybiegły słowa.

— *Bon jour, cher comte!*

— Czy to na tle średnich wieków? — w czytanie *Kaljopy* wpadło zapytanie *Melpomeny*.

— Nie, jest to powieść współczesna — lekceważąco odparła wysokośpiwna.

— Bo ten książęcy ród, pałac, balkon, na balkonie księżniczka, pod balkonem młodzieniec... myślałam, że to będzie coś zupełnie feudalnego...

— Nasza droga *Kaliopa* lubi w wysokich przebywać sferach — żywość towarzyszki załagodzić usiłując, wymówiła *Erata*.

— A tak, i wcale nie zapieram się tego — potwierdziła zaczepiona — obrazowość, wykwint, subtelność tam tylko znaleźć można, gdzie dosięgła już pełnia cywilizacji, gdzie piękność ciała, zarówno jak i wyniosłość duszy są tworem i dziedzictwem wielu pokoleń.

X Sfery wyższe stanowią, wedle mnie, kwiat ludzkości, którego masy ciemne i grube są niejako lodygą żywiącą i na to istniejącą, aby on na odpowiedniej sobie wysokości mógł rozwijać się wspaniale i swobodnie bujać...

— Takim sposobem, moja droga Kaljopo, świat i wszystko, co na nim istnieje tylko dla księżniczek, stojących na balkonach, i hrabiów, mówiących im z *peluzy*: *bon jour, princesse!*?

— Nie zastanawiałam się nad tem nigdy, Erato, dlaczego świat istnieje, bo takie rzeczy są nudne i dla artystycznych celów najzupełniej obojętne. Moim celem jest tylko artyzm, czysty artyzm, który tylko w otoczeniu wytwornem i subtelnem potężnie tworzyć i trywialności ustrzec się może. Artysta obojętnym zupełnie, obojętnym być winien dla wszystkich społecznych, filozoficznych i innych tam teoryj: a jak zatracenia samego siebie unikać wszystkiego, co gminne, trywjalne, z niskich pokładów ludzkości powstałe...

— Kaljopa ma słuszość, jeżeli nie całą, to wiele słuszości! — zawołała Erata — czuję, moja droga, że duch mój pokrewny jest z twoim, że nasze poglądy na zasady sztuki i piśmiennictwa wytworzyć mogą dwa nieco odmienne, lecz bardzo do siebie podobne odrośla... Domyślam się, zgaduję, że księżniczka miała na sobie białą suknię..

— Tak — potwierdziła Kaljopa — z miękkiego, w artystyczne fałdy układającego się kaszmiru.

— A hrabia posiadał oczy szafirowe, jak wody Adrjatyku, marzące...

— I dumne — patrząc w rękopis swój dokończyła Kaljopa.

— A dalej? co dalej?

— Cóż? Był on przybyszem z krainy dalekiej, północnej, kędy sosny szumią i puhacze jęczą, szare chmury zasłaniają słońce, a lzy leją się w nurty starych, poważnych rzek...

— Wiem już skąd pochodzi! — z prawdziwym entuzjazmem wykrzyknęła Erata — jakżeś to dobrze do zrozumienia dała! robi to efekt prawdziwie przyjemnej niespodzianki!

Po łaskawem na pochwalającą ją towarzyszkę spojrzeniu Kaljopa czytała, po części zaś odpowiadała dalej, że hrabia, który na balkonie księżniczki stał, miał duszę namiętą, burzliwą, dumną, która, w ciasnocie i duszności atmosfery rodzinnej wyżyć nie mogąc, powiodła go naprzód na szczyt starożytnego Araratu, później pod stopy egipskich piramid, następnie w wir Paryża, w mgły Albionu, do pomarańczowych gajów Iberji, na granitowe skały Skandynawii...

— A na Gwadelupie i w Rzeczypospolitej argentyńskiej nie był? — zabrzmiało nagłe zapytanie Melpomeny, ale Kaljopa, wyłącznie ku Eracie zwrócona, opowiadała jeszcze, że nakoniec hrabia ujrzał się nad brzegami szafirowego Adryatyku i tam poznał księżniczkę. Dwie te wysokie postacie, dwie te burzliwe dusze, dwie te dumy, dwoje nakoniec tych przedstawicieli dwu antydyluwalnych rodów północy i południa, spotkać się z sobą nie mogły bez burz, wstrząśnień i niezmiernie zawilych, nadzwyczaj subtelnych kolizyj. Z kolizyj tych wywija się

silne naprężenie akcji, wielka dramatyczność sytuacji, słowem, szerokie pole i bardzo bogaty materiał dla obrazowości, subtelnosci, plastyki i architektury.

Buntownicza Melpomena szepnęła:

— Wiele stuku, mało huku!

Ale Erata słuchała z przejęciem się, z zachwyce-  
niem, czem zachęcona Kaljopa dalej utwór swój opowia-  
dać i tłumaczyć miała, gdy znowu, nagle, zaszła ko-  
niecna przerwa. Powietrze napelniło się dźwiękami,  
które i mówieniu i słuchaniu przeszkadzały, zbiorowemi,  
rozgłosnemi dźwiękami chóralnego śpiewu.

Słońce już zaszło i na sklepieniu nieba zostawiło  
po sobie długie, strzępiaste pręgi różowości gorącej  
i przezroczystej. Na skrajach firmamentu, nad widzial-  
nemi tu i owdzie lasami i wioskami paliły się jeszcze ja-  
skrawe światła, ale szerokie, gładkie pole pociemniało  
i zwolna okrywało się zmrokiem. Środkiem pola, na wą-  
skiej drodze, żniwiarki, które przed chwilą zagony opu-  
ściły, rozciągnęły się długim sznurem. Rysy i linje po-  
jedyńczych postaci ich i twarzy zacierało oddalenie, lecz  
wyraźnie od ciemniejszego powietrza odcinały się różno-  
barwne chustki, głowy ich okrywające, i widać było tłum  
stóp bosych i ciemnych, śpiesznie po białym piasku kro-  
czących. Tu i ówdzie w długim tym szeregu, u jaskra-  
wych spódnic stalowo połyskiwały sierpy; pobłyskując  
sierpami, równym, wciąż jednostajnym, śpiesznym kro-  
kiem szły one ku wiosce, z pod dalekiego lasu, świateł-  
kami rozniecanych ogni pobłyskującej i — śpiewały.  
Śpiew ich wybuchnął nagle i rozgłosnie; kilkadziesiąt  
piersi, na całą równinę, aż pod samo, zda się, niebo rzu-

ciło wysokie, bardzo przewlekłe jego nuty i wyraźne słowa:

Oj, w dole, nade drogą,  
Rozkwitła kalina;  
Urodziła biedna wdowa  
Żołnierskiego syna.  
Urodziła ona jego  
Przed początkiem nocy,  
Dała jemu białe lica  
I czarniutkie oczy.

SYN.

Lepiejbyś mnie, moja matko,  
Czarnych ocz nie dała,  
Lepiejbyś mi, moja matko,  
Szczęsną dolę dała!

MATKA.

Gdzież dla ciebie szczęsna dola,  
Mój synku kochany,  
Kiedyś ty już zapisany,  
W rekruty oddany.

Wyjehawszy za wrota,  
Nisko głowę schylił,  
»Bądź mi zdrowa, wsi rodzinna,  
Możem w czem przewinił?  
Drózkę moją polewajcie,  
Aby nie pyliła,  
Matkę moją rozrywajcie,  
Aby nie tęskniła.«  
Drózkę często polewali,  
Jednak zapyłona;  
I matkę rozweselali,  
Jednak tęskni ona.

Kur przyleciał z za rzeki,  
Krzyknął: Kikiriki!  
Nie oczekuj, matko, syna,  
Nie doczekasz wieki!

MATKA.

Gdybym była kukuleczką  
I kukać umiała,  
Syna szukać na wojenkę,  
Wnetbym poleciała.  
Przyleciawszy nad mogiły,  
Wołałabym: ku-ku!  
Podaj synku, podaj miły,  
Swoją prawą rękę!

SYN.

Chciałbym ja ci, matko moja,  
Podać i obiedwie!  
Ziemia mokra, deska ciężka,  
Podnieść ich nie mogę!

Umilkły i słyhać już tylko było głośny i równy  
tentent bosych ich stóp, po białym piasku szybko kro-  
czących.

U początku zaraz tej pieśni, która tylko co prze-  
brzmiała, Muzy podniosły się były z siedzenia i, na pa-  
górku stojąc, ścigały wzrokiem sunący wśród pola szereg  
żniwiarek-śpiewaczek.

— Rzecz to jednak ciekawa — pierwsza ozwała  
się Erata — jakimi są słowa naszych ludowych pieśni.  
Ani jednej z nich nie znam, ale słyszałam, że jest to  
chaotyczna mieszanina słów nie powiązanych z sobą  
i wszelkiej idealności pozbawionych.

X — Tak, tak — potwierdziła Melpomena — zapytywałam o to pana Artura, który jest przecież zawziętym gospodarzem, więc lud znać musi. Powiedział mi, że ich pieśni są splotem samych głupstw. Zresztą, ja tam pieśni wogóle ciekawa nie jestem. To uczuciowość i poezja, mnie zaś idzie o nagą naturę.

— Ależ, kochana Melpomeno — przerwała Kaljopa — uczucie i poezja, to także natura; nie należy ich tylko szukać w masach, gdzie w najslabszym nawet związku istnieć one nie mogą.

Tu nad szeregiem idących wciąż żniwiarek, dalej już nieco od pagórka, wybuchnęła znowu pieśń, z nutą jeszcze od tamtej bardziej rozległą i smutną, z innymi lecz również wyraźnymi słowy:

Oj, matka syna ożeniła,  
Synowej nie polubiła,  
W daleką drogę synek pojechał,  
Młodą Kasieńkę w domu zostawił.

#### SWIEKRA.

»Ej doniu, doniu, idź gdzie len posiany;  
Gdy lnu nie narwiesz, do domu nie wracaj,  
I gdy lnu narwiesz, do domu nie wracaj.  
Na czystym polu w brzezinkę zmień się,  
Aby od wiatru się nie złamała,  
Ani od słońca się nie spaliła.«

Przyjechał Jasiek z dalekiej drogi,  
Sklonił się matce na białe nogi:  
»Matulu moja starutka,  
Gdzież żona moja młodziutka?«



SWIEKRA.

»Oj, weź ty, synku, ostrą siekierkę,  
Idź i zrób w polu cienką brzezinkę«.

I wziął Jasińko ostrą siekierkę  
I poszedł rąbać cienką brzezinkę.  
Oj, raz ją rąbnął, ona milczała,  
Rąbnął ją drugi, krew z niej trysnęła,  
Gdy rąbnął trzeci, ona zagadała,  
Cienka brzezinka tak zagadała:  
»Nie rąb mnie, Jasiu, ja żona twoja,  
Tak mi zrobiła matula twoja;  
Okrutna matka nas rozłączyła,  
Młodego synka osierociła!«

U szczytu pagórka, Muzy nieruchomo obok siebie stały. Trzy ich postacie proste, zgrabne, w malownicze fałdy sukien ujęte, zarysowywały na tle różowych obłoków ciemne i wdzięczne linje trzech posągów i z wysoka, bardzo z wysoka nad wszystkim, co otaczało je, górowały. Żniwiarki zaś szły ciągle, oddalały się coraz bardziej, ciemnymi stopami po białym piasku tętniąc i śpiewając.

Wtem, na niebie, pośród strzępiastych pręg ciemniejszego już fioletu, powstał obłok nieduży, srebrzysty, wydłużony, w którym, przyjrząwszy się pilnie, rozpoznać można było smętne zarysy helmu, kołczanu i liry. Powstał, w dół spłynął i nisko, szczytu grusz polnych prawie dotykając, w ślad i coraz prędzej za żniwiarkami szybował. Od niego w powietrzu coraz mroczniejszem a woniami zbóż świętych nalanem, rozchodziły się słabe,

lecz wyraźne i metaliczne dźwięki, niby strzał drżących w kołczanie, niby zcicha brzęczących akordów.

Byłżeby to Apollo, który, omijając Muzy, za wiejską pieśnią leciał, a tony jej i słowa, jak szczere i czyste lzy, na struny swej liry nawlekał?...

---

## O ZYGMUNCIE KRASIŃSKIM.

### I.

Szczęśliwą była godzina, w której z tajemniczych zaświatów na ziemię naszą zstąpiły trzy wielkie duchy twórcze i nadaremnym zajęciem byłoby zapytywanie: który z nich wyższy? Jasnym jest wzamian, że każdy z nich inny. Ze względu na to, jakie pierwiastki duchowe przeważały w każdym z trzech wielkich twórców, powiedzieć można, że w dziedzinie twórczości Mickiewicz jest upostaciowaniem uczucia, Słowacki — wyobraźni, a Krasiński — myśli. Duchowe ich imiona są: uczucie, wyobraźnia, myśl. Błędem byłoby wyprowadzanie ze zdania tego wniosku, że w którymkolwiek z tych prawie nadludzi istnieć mógł obok potęgi jednego brak dwu innych pierwiastków ogólnego ducha ludzkości. Każdy z nich posiadał je w sobie wszystkie, tylko w coraz innem ustosunkowaniu wyniknęła odmiennność materiału, z którego dzieła swe tworzyli, odmiennność form, w które je zakuwali, czyli odmienny u każdego z nich rodzaj poezji.

Ten z pomiędzy poetów, który najwyższą siłą uczu-

cia ogarnia świat ziemski, rzeczywisty, posiada wzrok przez to uczucie wyostrozony, widzi jasno i zupełnie, natura i człowiek nie mają dla niego tajemnic. Arcyszli-fierzem dla narzędzi wzrokowych człowieka jest uczucie. Spostrzeganie, przez uczucie zaostrome, obejmuje naj-niższą trawkę niemniej od niebosiężnego dębu, najcień-szą zmarszczkę czoła niemniej od orlej błyskawicy oka, przebija też zewnętrzną korę zjawisk i czarodziejstwem poetyckiego odgadywania wywołuje na powierzchnię rze-czy ich zawartość, ich mięsz, ich duszę, aby ukazywały nietylko to, jak wygląda zjawisko, lecz i to także, jakim we wnętrzu swoim jest, jakie związki i rozdziały zachodzą pomiędzy niem a zjawiskami innemi, wytwarzając harmonje lub zgrzyty, pogody lub burze życia. Taki mi-łośnik świata rzeczywistego, taki jego spostrzegacz i od-gadywacz, w momencie poetyckiego natchnienia doświad-cza wizyj tego świata tak jasnych, wypukłych, rozległych i silnych, że za pióro chwyta, jak za dłuto, i wykuwa, rzeźbi, cyzeluje niem kształty natury i ludzi pełne w so-bie, wyodrębnione, wyraźne, takie, o jakich mawiać zwykliśmy, że są jak żywe, że ich nieledwie dotknąć mo-żna, które też rozstaczają przed nami wszystkie formy i barwy, wszystkie zgiełki, pieśni, płacze, śmiechy, po-czątki i zgony życia. Z tego rodzaju natchnień poety-ckich wypływa epika. Narzędziami epiki są: *plastyka*, czyli doskonała wypukłość i odrębność kształtów, *jasność*, która nic z tego, co poeta ukazać zamierzył, nie owija w mgły, nie zaopatruje w pytańniki, i *plomiennosc*, bo u poety, w którego psychice przeważa nad pierwiastkami

innymi uczucie, spodem wszelkiej myśli i wszelkiego wyobrażenia płyną i wzdymają się fale uczuciowego ognia.

Takie są główne znamiona rodzaju poezji, zwanej epiką; takim poetą epikiem miary ogromnej był Adam Mickiewicz.

Nad kolebką innego poety z pośród trzech wieszczek najpierwsza staje wieszczka wyobraźni, przynosząc mu lirę, naciągniętą strunami uplecionemi z łez, i paletę, okrytą mnóstwem takich barw i blasków, że wszystkie blaski i barwy tego świata są tylko słabem ich przeczcuciem. Taki poeta we wzroku, w słuchu, w sercu przynosi z sobą na świat widzenie, słyszenie, upragnienie zaświata. Zjawiska rzeczywistości nie zadowolają go, są mu dla pieśni materiałem zbyt skąpym, szarym, lichym — więc serce i wyobraźnia jego odrywa się od rzeczywistości, zanurza się w snach, w rojeniach, w cudach, w złudach, dla których wyśpiwywania nie dość mu nigdy słów i tonów, dla których odmalowywania nie dość mu nigdy barw i światel. Dlatego w wiecznem poszukiwaniu słów znajdować on będzie takie, jakich nikt przed nim nie wynalazł, a w wiecznem poszukiwaniu barw i światel, takimi świat ten okryje, że przemieni go w zaświat. Z mowy rodzinnej uczyni taki poeta skarbnicę klejnotów językowych, twory swe osypie olśniewającą migotliwością tęcz, mgieł, kaskad, słońc, księżyców, nigdy na ziemi nie spotykanych anielstw albo szaleństw i przepoi je nawskróś smutkiem, którego sam jest pełen. Ze smutku tego w utwory takiego poety padają łzy, w których, jak w zwierciadlanych kroplach rosy, odbijają się tkliwości, tęsknoty, żale, wszystkim ludziom znane, lecz stokroć

upiększone i spotęgowane w pryzmacie brylantowego słowa i głębokiego serca poety.

Jest to poeta liryk. Takim lirykiem miary ogromnej jest Juliusz Słowacki.

Trzeciego poetę u wejścia na świat ziemski spotkała Myśl i, dłonią nieśmiertelnej poszukiwaczki czoła jego dotknawszy, wzbudziła w niem wicher zapytań.

Czem jest wszechświat? Skąd i dlaczego jest? Czy jest i jakim jest Stwórca? Poco Stwórca stwarzał? Czy był stworzeń swych prawodawcą? Jakiem jest prawodawstwo Boże? Jakie pierwiastki składają ten wśród wszechstworzenia pyłek drobny, któremu na imię: człowiek? Poco pyłek ten istnieje? Czy istnieje dla jakiegoś celu? Jaki to cel? Jakie drogi do celu tego wiodą? Dlaczego drogi te są powikłane, ciemnościami okryte, pługami cierpień zorane? Poco człowiek cierpi? Poco cierpią narody? Dlaczego upadają ludzie i narody? Czy z upadku niema powstania? Czy z grobu niema wyjścia? Jaka siła dźwiga z upadków? Jaki klucz otwiera groby?

Z takich zapytań utkane skrzydła Myśl mu przypięła do serca, które zagorzało miłością dla idei, a że było alabastrowo białe i przejrzyste, więc tą miłością zaświeciło, jak lampą, która ze skrzydłami, jak z dwoma masztami przez wichry Boży wzdętymi, wypłynęła na ocean nieskończoności, zaś na ziemi naszej obok wielkiego liryka powstał wielki poeta filozoficzny, Zygmunt Kraśiński.

Czem jest i w jakie formy piękna myśli swe przyobleka poeta filozoficzny?

Prawie jedynymi narzędziami, któremi toruje on

sobie drogę do serc i umysłów ludzkich, są: symbol i słowo. Dlaczego? Dlatego, że obraca on materiałem nie ważkim, najtrudniejszym do ujęcia i przytrzymania, to jest ideami. Gdy epik ze świata rzeczywistego przenosi kształty i barwy, gdy liryk napelnia je uczuciami, których zaczątki przynajmniej znajdują się w każdej duszy ludzkiej, poeta filozoficzny opiewa rzeczy od ziemi i codziennego bytu jej oderwane, abstrakcyjne, w duchu tylko poczęte i przebywające. Jakikolwiek dramat, jakkolwiek historję poeta filozoficzny przedstawić zamierza, rzecz dzieje się zawsze nie na górach, ani na dolinach, nie w mieście, ani na wsi, nie czasu pogody, ani czasu burzy, ale tylko w abstrakcyjnej dziedzinie idei, więc poeta filozoficzny, aby dać ludziom oparcie dla stóp i wskazówkę dla oka, tę rzecz bezcielesną i nieskończoną, jaką jest idea, obleka w formę skończoną i zmysłom dostępną, tworząc — symbol. Tak samo jak epik i liryk, posiada on dłuto i pendzel, któremi rzeźbi postacie i maluje obrazy, tylko, że te postacie i obrazy nie są spostrzeżone w życiu, lecz wynalezione przez poetę w nurtach własnego jego ducha i stworzone poto, aby wyrażały nie same siebie, ale to, co poeta przez nie wyrazić zamierzył. A ponieważ nie są wzięte ze świata zewnętrznego, życie zewnętrzne odbija się w nich nie jak w jasnym i wiernym zwierciadle, lecz raczej jak w jeziorze głębokiem, którego powierzchnię mącą podnoszące się z własnego ducha poety prądy i wiry. Dlatego postacie i obrazy w utworach poety filozoficznego przysłania zawsze mgła, czy mgielka, która może być różaną, świetlistą, krwawą, lecz niemniej jest mgielką przeszkadzającą kształtom i barwom wdzie-

rać się w oczy widzów z pełnią swoich nateżeń i świetności, nadającą utworom niejaką tajemniczość, mroczność, zagadkowość, którą ogół niezrozumiałością zwykł nazywać.

Oprócz symbolu poeta filozoficzny włada słowem, dźwięcznością jego i układaniem się w rytmy i rymy. Tych słów i różnych ich kombinacyj, tak samo jak poeta wyobraźni dla malowania światów fantastycznych, nigdy on dość mieć nie może dla przedstawienia świata idei. Więc w poszukiwaniu ich nietylko zapuszcza się w głębie mowy ojczystej, lecz tworzy je sam, kombinuje, spaja z innymi, dostraja tony ich do wysokości, rozległości, czasem nieujętości przedmiotu opisywanego. Tak samo więc, jak u wielkiego liryka, język jego musi być bogatym, nowym, w bogactwie swem czasem dziwnym, ale musi być od języka lirycznego innym: surowszym, podnioślejszym, jeszcze wyszukańszym. Język poezji filozoficznej, język Zygmunta Krasińskiego, bardziej podobny jest do muzyki organów kościelnych, do łoskotu morza albo szumu wichru, niż do westchnień lutni lub śpiewów słowika. Mało w nim nut tkliwych, — gruchań gołębich i zefirów, wiejących po ogródkach dziewczęcych, niema wcale; jest raczej plusk krwi, tryskającej z ran świata, i są akordy takie, z jakimi u wierzchołka przestworzy zamyślane gwiazdy wiecznie obracają się na swych osiach.

Takim jest poeta filozoficzny ze względu na formę, którą dziełom swym nadaje. Taką jest forma dzieł Zygmunta Krasińskiego.

Aby przedstawić idee, które zamyka on w tej formie, trzeba by posiadać płótno bardzo szerokie, na ma-



lym zaś skrawku czasu zmieścić mogą tylko w zarysie pobieźnym linje ich kardynalne.

Przedewszystkiem był to duch religijny w najwyższem tego słowa znaczeniu, przez co rozumieć trzeba, że posiadał przedziwną zdolność do umiłowywania pojęć oderwanych, wielkich, że płonął żądzą doskonałości i że doskonałość, jako z praśrodka, wyprowadzał z Boga. Bóg objawia się Krasińskiemu »ogniw wszechstworzenia związanym łańcuchem« Bytem, Duchem, który z nieba myśl swą sieje.

»Pan wciąż z nieba myśl swą sieje,  
Nie przypadek rządzi światem«.

Olbrzymi kosmos nie jest ślepą grą sił, niewiedzieć skąd i dokąd pędzących, ani ślepym chaosem przypadkowo zlepiających się cząstek materji; jest on dziełem Arcymyśli, stworzonem poto, aby stało się Arcydziełem, posiada plan, na którego wykonanie pracują gwiazdy i dusz miljony, posiada cel, ku któremu dążą i gwiazdy i dusze. Ludzkość więc nie jest pleśnią, powstałą przypadkowo ze składów i rozkładów ziemi, ale pracownicą Bożego dzieła, wspinającą się w swych postępkach ku prazródłu ducha swego, ku Bogu.

A człowiek, chociaż śmiertelnym, jest jednak i nieśmiertelnym. Godzina śmierci jego to godzina nowych narodzin. Przez kolejne istnienia i przemienienia, »przez piekła trudów i czyściec zasługi« wznosi się on w hierarchji bytów coraz wyżej, staje się w nieskończonym

łańcuchu ogniwiem, coraz bliższem ostatecznego jego kresu — którym jest doskonałość.

»I... wzięwszy skrzydła niezłączone,  
Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę«.

W wyższą stronę! Coraz wyżej! Ku coraz wyższemu, lepszemu, szczęśliwsiemu bytom i rozwojom. Dążyć i zmierzać, takim jest według Krasieńskiego prawodawstwo Boże, dane planetom, ludziom, narodom, jednostkom, i taką drogą, po której przejść może i musi to wszelkie dobro, które ogarniamy imieniem królestwa Bożego na ziemi.

Taką jest pryncypalna idea Krasieńskiego, o którą opierają się wszystkie inne jego idee. Jest ona niejako fundamentem, na którym spierają się wszystkie inne formacje jego pojęć. U szczytu zaś tej konstrukcji, spojonej wiązadłami logiki ścisłej, jak liść akantusowy u głowicy kolumny, wykwita marmurowy kielich wiary w dobro moralne, a z tego kielicha wielkie serce poety strzela niebosiężnym płomieniem nienawiści dla zła, miłości dla dobra.

Długo w dziejach umysłowości powszechnej szukać trzeba poety, któryby z równem Krasieńskiemu ostrowidztwem przebijał okiem sprawy świata i z równą nieomylnością rozpoznawał w nich pierwiastki zła i dobra. Żadna świetność, żadna potęga, żadne bogactwo złota czy genjuszu, a co dziwniejsze, żadna nędza wzroku i sądu jego omylić nie mogły. Nienawistnego wroga ludzkości dostrzegać umiał pod purpurą Cezara, zarówno jak pod frygijską czapką rewolucjonisty. Żadna piękność celu nie

okupywała w oczach jego szpetoty środków, żadne dobro zdobytem być nie mogło narzędziami kutemi przez zło. Walka ze złem, opieranie mu się zawsze i wszędzie, na jakichkolwiekby znajdowało się wyżynach albo nizinach, jest — według niego — Religją. Sam też z pieśni swych czyni psalterz tej religji. Walka ze złem wznosi go na wyżyny artyzmu, śród których stwarza postać Masynissy, która jest symbolem wiecznie pracującego na ziemi zła. Jest on symbolem nienawiści, pychy, łupiestwa, przelewu krwi, wzdardy dla wszystkiego, co czyste, wzniosłe, wzbijające się ku wierzchołkom uczuć i czynów. Przez Masynisę zatrute szlachetne siły Irydjona wzniesają nadaremne tylko mordy, pożogi i klęski, nadaremne, bo Grecji nie wskrzeszają, a nie wskrzeszają jej dlatego, że:

»Wszelka zwycięstwa godzina  
Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,  
Nim tu narodom na świecie uderzy! —  
Więc przed Nim stanąć narody wprzód muszą  
Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą«.

A kiedy, opuszczając symbol, poeta wznosi się na wyżyny kunsztu najtrudniejsze, bo za jedyne narzędzie mające słowo, to bezcielesne narzędzie staje się w jego ręku mieczem i piorunem.

Ale naprzeciw Masynissy, Ducha wiecznego zła, występuje do walki w samym łonie ludzkości działający duch Boży, którego samą esencją jest wiekuiste dobro. Poeta wierzy w ostateczne zwycięstwo dobra nad złem, w to, że wiek jego jest tylko złem przejściem, po którym nastąpi nowych narodzin godzina.

I tu jest punkt, z którego, jak promień z tarczy

słonecznej, wystrzela idea patrijotyczna Krasińskiego, idea tak oryginalna, że nikt przed nim, ani po nim takiej samej nie pomyślał, a tak wzniosła, że wzrost sił ludzkich z trudnością sprostać jej może.

---

»My nad otchłanią, na ciemnym przesmyku« — duma poeta w »Psalmie dobrej woli« i wnet z ust przerażonych wydaje okrzyk: »Zmiłuj się, Panie! broń nas, bądź ty z nami«.

Był to czas, a trwa on aż dotąd, w którym wszystkie serca, nie całkiem nieme, razem z poetą wzdychały: »My nad otchłanią!« i wszystkie piersi, choć trochę nie na miarę krawca skrojone, razem z nim wołały: »Zmiłuj się, Panie!«

Lecz jakim sposobem nad krawędzią otchłani nie tylko ostać się, ale jeszcze i wzrastać, jak »po ciasnym przesmyku« przejść na bezpieczne równiny, o tem rozmaici rozmaicie myśleli. Krasiński myśl swą zamknął pomiędzy wielu innemi w następujących słowach »Psalmu dobrej woli«:

O, Panie, Panie! Więc nie o nadzieję —  
Jak kwiat się sypie; — więc nie o zgon wrogów —  
Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje, —  
Więc nie o przestęp cmętarzowych progów —  
— Przebyłeś, Panie — ani o broń władną —  
— Z wichrów nam spada — ni o pomoc żadną —  
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole —  
Lecz śród tych zdarzeń straszego wybuchu  
O czystą tylko błagamy Cię wolę  
Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu!

My, zawieszeni pomiędzy otchłanią  
A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu,  
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,  
Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,  
Czasów pryśniętych otoczeni kołem,  
I państw ginących — Ojczy, Synu, Duchu,  
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —  
Odnów w nas zmysły — z dusz wypleń kąkole  
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste  
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!

## II.

W tem widzi on wszystko, a pojęcie to u niego nie jest oderwanem ani chwilowem, lecz po całej jego pracy twórczej rozwija się systematem szerokim i ściśle logicznym.

Ponieważ ludzkość nie jest przypadkowym tworem sił chaotycznie i bez celu działających, lecz w łańcuchu wszechstworzenia stanowi ogniwo potrzebne do uskutecznienia się planu i dzieła Bożego, ponieważ w nieustannem stwarzaniu się tego dzieła każda planeta, każde zbiorowisko istot i każda pojedyncza istota posiada wyznaczone jej do spełnienia zadanie, posiadają też je i narody.

Naród, którego synem jest Krasiński, przebywa w grobie. Ciało jego polityczne kamieniem grobowym przyciśnięte, ale duch żywie i odbywa »próbę grobu«. Nad dwoma ostatnimi słowami wielu wyjaśniaczy dzieł Krasińskiego zastanawiało się, znaczenie ich wynajdując i tłumacząc. »Próba grobu«. Co to znaczy? Nie zna-

czy to nic innego, jak tylko walkę ze złem, którą naród stacza w epoce swej zależności politycznej. Co znaczą spotykane u poety słowa: »zwycięsko wynijść z próby grobu?«

Znaczyż to wynijść z niej narodem z pomiędzy wszystkich najbogatszym, najzasobniejszym w pieniądze, w przemysły zyskowne, w mądrość dyplomatycznych kno-  
wań, w doskonałość morderczych oręży? Wcale nie.

Znaczy to — według poety — wynijść z próby grobu narodem z pomiędzy wszystkich najlepszym, władającym najwyższem pojęciem o Bogu, największą sumą miłości, braterstwa, sprawiedliwości, czystości intencji i czynów; znaczy to: w grobie wywalczyć i w posiadanie objąć dobro moralne tak potężne i nieskazitelne, że jak gwiazda zajaśnieje mu nad głową, pociągnie ku niemu narody inne i stanie im się wzorem, skrzydłem, ognistym słupem ideału, sunącym po pieklach tej ziemi ku obiecanyom krainom wybawienia.

W taki sposób zwyciężywszy »próbę grobu«, naród podejmie dzieło Chrystusowe i po raz drugi świat zbawionym zostanie przez ból, męczeństwo, śmierć chwilową i zmartwychwstanie w glorii świętości.

O tem mesjanicznym powołaniu Polski są w »Przedświcie« wizje potężne, w nadludzkich niemal ekstazach poczęte i wypowiedziane słowem, rozbrzmiewającym dźwięcznością i potęgą prawie nadludzką. »Przedświt« czytać trzeba, aby ujrzeć, do jak podniebieskich szczytów wzbijała się idea poetyczna Krasińskiego i jak olbrzymiemi były te akordy i nuty, któremi ją opiewał.

Alę rozumiał, bardzo dobrze rozumiał, że są to

tylko wizje jego ducha, że są to tylko ducha jego płomienne żądze i prorocstwa, nie rzeczywistość, nie to, co jest, co w momencie obecnym czas jego wypełnia. Wiedział, że tylko »z najwyższej dusz wyżyny« patrzy na »tę przyszłość prześwieclaną« i nie tajem mu było, że do urzeczywistnienia jej trzeba ludzi innych, niż ci, na których ziemskimi oczyma swemi spoglądał, że do urzeczywistnienia jej trzeba ludzi »w próbie grobu« przerodzonych w nadludzi. On już miał marzenie o nadludziach dużo wprzód, nim to słowo, z ust niezmiernie odmiennych wyszło, rozległo się po Europie.

Cel olśniewający, powołanie olbrzymie, lecz drogi ku niemu poeta wykreśla nie po gładkich posadzkach, nie po złotych piaskach, nie po różach, ale »po pieklach trudu i czyścicach zasługi«. On jasno widzi, co na tych drogach »bólu jeszcze i klęski«, więc gdy Irydjon, który nic dla Grecji nie wywalczył, ponieważ orężami zła walczył, budzi się ze snu wiekowego, poeta ustami Chrystusa do niego przemawia:

»Idź na ziemię mogił i krzyżów i zamieszkaj pomiędzy braćmi, których ci daję.

Idź i czyn, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci swojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyn ciągle i bez wytchnienia«.

I wtedy dopiero, gdy czyn bez wytchnienia złotym dymem ofiary wzbije się nad otchłanią i ciasnym przemyskiem:

»Zorzę rozwiodę nad wami, udam się was tem, czem Aniołów moich obdarzyłem w niebie — szczęściem i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością«.

Wtedy dopiero. Wtedy dopiero, mocą czynu, od którego serca szermierzy w piersiach ich usychają lub pękają — Irydjon zwycięży.

Irydjon to naród, lecz jakim ma być czyn?

Nie powstanie czyn ten z gniewu i nienawiści, bo:  
»Dzieciom tylko luby wściekły gniew«.

Nie powstanie z niecierpliwego zwątpienia, gdy nadzieje nie ziszczają się dość prędko, albowiem:

»Nie spodziewaj się snu swego domarzyć, bo każdemu dostała się jedna fala nieskończoności, która płynie dni kilka tylko. A ten błogostawiony już dzisiaj, kto w przyszłość tę uwierzył i stał się jej przyśpieszycielem«.

Ani powstanie czyn zbawczy przez rozjątrzone serca i gwałtowne walki stanów społecznych, poważnionych i nawzajem odpychających się od biesiadnych stołów tego świata.

Tylko po drodze przemian i udoskonaleń, przemian przez »trud cierpliwy«, udoskonaleń »przez drugich podnoszenie« nadejść może godzina sprawiedliwości społecznej, która oświeci duchy ciemne i nasyci ciała łaknące. A:

Kto inaczej świat swój kreśli,  
Ten nie wzniesie ludu dalej,  
Bo wszechświata prawom wbrew  
Sennych zbudzi nie na ludzi,  
Zbudzi sennych na zwierzęta.

»Boże pioruny, nie ziemskie trucizny  
Z upadku martwe dźwigają ojczyzny«.

Łecz cóż to jest »piorun Boży?«



»On w piersi ludzkiej drga i zwie się Miłość,  
I on rozcina tu losów zawilość«.

Przemieniły się tedy w duchu poety wszystkie wartości tego świata. To, w czem świat widzi blask, potęgę, obietnice rajów ziemskich, dla niego jest niczem wcale, lub gorzej niż niczem, bo »krwią i błotem«, lub narzędziem urobionem »w kuźni czarta«. W zamian tego, co świat współczesny zdjął ze swych ołtarzy, jako coś przeżytego, albo zbyt surowego, niemilego, on widzi wszystko.

Ten przepastny rozdźwięk pomiędzy prawdą jego i prawdą świata poeta dostrzega jasno, lecz wie zarazem, że dla jego narodu, daleko więcej niż dla narodów innych, wybór pomiędzy dwiema temi prawdami jest wyborem pomiędzy życiem a śmiercią. Więc nad krawędź otchłani i na ciasny przesmyk rzuca błagalne wołanie:

Bądź arcydziełem nieugiętej woli!  
...Bądź strojem w rozstroju,  
Bądź tym pokarmem, który serca żywi,  
Bądź im lżą siostry, kiedy nieszczęśliwi,  
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją!

. . . . .

W walce z tem piekłem świata, co się złości,  
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania,  
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania,  
Bądź piekłem miłości!

Rozumiał dobrze poeta, do jak błyskawicznych stref i niebosiężnych wysokości podnosi w swych rękach Ideę, więc były momenty, w których do duszy jego zaglądało blade widmo trwogi.

Czyje oko dosięgnie ją tak wysoko?  
Kto uderzy ziemskim czołem  
Aż o stopy Stworzyciela?  
Kto poleci z Archaniołem?

A z momentów wątpienia o tem, czy ci, dla których miał w sobie »piekło miłości«, przyjmą z rąk jego Ideę taką, jaką on ją pojął i podawał, wylaniały się dla niego momenty smutków bezbrzeżnych, straszliwych.

»I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą...«  
»Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło.«

Możem ja zasnął, umarłem już może?  
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi!  
Próżno mię wskrzeszać, nic mi nie pomoże,  
Nikt rany mojej pod niebem nie zgoi.

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,  
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,  
Mnie (zabił) krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,  
Jam pił zanadto z krynic, mętnych łzami...«

### III.

Tak śpiewać może ten tylko, kto cierpi niezmiernie,  
i niezmiernie cierpieć musi, kto tak śpiewać może.

Lecz męka zwątpienia to na harfie poety fala krótka tylko, moment wnet pożarty przez płomień »bożego piorunu«, po którym wnet rozwija on znowu skrzydła »namiętnych, nieskończonych marzeń« i, »nad otchłanią, nad ciasnym przesmykiem« zawieszony, rzuca znowu przybawającemu je narodowi hasło archanielskie:

»Lud tylko święty królestwo odierży!«

Taką jest w najogólniejszym zarysie idea patryjotyczna Krasińskiego, której wszystkich słońc i odcieni zmieścić i wskazać na krótkiej przestrzeni czasu niepodobna.

Ale jasnym i zrozumiałym stać się już może to, dlaczego sława tego poety zatacza koła mniej od dwóch tamtych szerokie i promieniste.

W formie, którą podał mu rodzaj jego genjuszu, panują tylko: symbol i słowo, a chociaż symbol jest u niego zawsze potężnym i pięknym, słowo włada bogactwem brzmień wielkiem i przedziwną ich muzykalnością, brak im przecież tej siły podbijającej, z jaką figury, kute dłutem epicznym, z jaką uczucia, wyśpiewywane przez lirykę, zdobywają sobie szerokie rzesze.

W symbol i w słowo Krasińskiego wmyślać się trzeba, obcować z niemi długo, o znaczenie ich myśli własnej i innych zapytywać, aby umysłowi tajemnice swe wypowiedziały i serce oblały czarem swej piękności.

Ale i wtedy nawet, co z tej topieli myśli i tonów wzniesie się przed oczyma naszymi?

Czy kwiaty, motyle, ogrody rozkoszy, anioły słodczy, które pocieszą, zachwycą, zabawią, łagodnie rozrzewnią?

Wcale nie. Z topieli tonów i myśli Krasińskiego, już znurtowanej i odczutej, wznosi się przed nami Idea— rzecz niezmysłowa, rzecz surowa i wymagająca, coś, co nieraz względem pożądań naszych zajmie stanowisko wrogie, co biczem wyrzutu zatnie nam nieraz sumienie.

Idea ta wznosi przed człowiekiem górę wysoką, ze stromemi zboczami i mówi: wspinaj się! Na krawędź otchłani i na ciasny przesmyk rzuca narzędzia ratunku, ale takie, że siłom człowieczym podnosić je niemiło i trudno. Więc, ze czcią pochyliwszy czoła przed świątynią, co prędzej zwracamy się ku ścieżkom łatwym, ku kwietnym ogrodom, jeżeli nie ku różom, to ku snom o różach. Przyznajemy, że fronton świątyni jest wspaniały i że w jej wnętrzu rozlega się uroczysta muzyka organów, lecz wolimy altany pełne świeżego cienia, kryształowe fontanny, w których kąpią się nimfy, dźwięki lutni, opiewających własne nasze dole i niedole. Rzadko kto zdoła, jak orzeł w słońcu, długo wzrok zatapiać w obliczu idei, rzadko kto ziemskim czołem uderzać może w stopy Stworzyciela i wzlatywać z Archaniołem. Wślad za Archaniołami ciągnie zwykle szereg duchów — niedługi.

Oprócz tego, Krasieński przed narodem swym postawił Ideę przewodnią w sposób taki, że słusznie zapytywać można, czy do urzeczywistnienia jest podobna? Czy istotnie naród siłą miłości, siłą cnoty i ofiary, siłą samego tylko moralnego dobra zdoła przez ciasny przesmyk utworować sobie drogę ku równinom gładkim i nie tylko z krawędzi otchłani w bezdno jej nie spaść, ale tak zmęźnić, wzrosnąć, zajaśnieć, aby ku krainom idealnym pociągnąć za sobą ludy inne, tak jak słońca po przestworach prowadzą za sobą korowody planet? Czy dzieło to jest dostępne dla terażniejszych ludzi? A jeżeli nie, to czy przyjdą nadludzie, czy przyjdzie przepowiadane przez poetę plemię nowe, jakiego dotąd nigdy nie widziano? A jeżeli nie przyjdzie? Jeżeli żądaniu poety

ani dziś, ani nigdy nie sprostają siły jego narodu? To co? To czy w błędzie był poeta i czy pieśniami swemi szerzył błąd?

Nie; poeta nie błędził i w pieśniach jego jest wielka i wiekuista prawda, tylko że każda taka prawda w duszach i dłoniach ludzkich musi zmaleć i ulec powszechnemu dla ludzi prawu względności.

Więc nie spełni się zapewne wszystko, co poeta wyśpiewał w chwilach, kiedy czołem uderzał aż o stopy Stworzyciela, lecz że w części pewnej spełnić się będzie musiało, zdaje się to być niewątpliwem.

Naród, po ciasnym przesmyku idący ku lepszej przyszłości, będzie musiał zrozumieć, że bez zaopatrzenia się w wiatyk moralnego dobra — nie dojdzie, że same jego rozumowe, tem więcej materialne zdobycze muszą, jak na fundamencie, oprzeć się na cnocie, muszą, jak winna jagoda sokiem, nabrznieć miłością, muszą, jak krew od żelaza, zarumienić się od czynu i ofiary, jeśli przetrwaną ma być próba grobu, jeśli Anioł czasu, budziciel śpiących po grobach narodów, ma naród ten »zbudzić na ludzi«, nie »zbudzić go na zwierzęta«.

Prawda! Idea ta jest tak wysoka, że stopom ludzkim trudno wzbijać się na jej wierzchołki, lecz pocóż są na świecie poeci, jeżeli nie poto, aby do biednych stóp naszych przypinali skrzydła? Że naród składa się z istot ułomnych, to nie wina poety; on jest jego punktem wierzchołkowym, wzbil się najwyżej, widzi najwięcej i opiewa to, co widzi, a im większe ogromy widzi i opiewa, tem większym jest poeta.

Bo poezja wogóle rozpada się na dwa działy: wielkiej i małej.

Piękność formy dla obu działów jest niezbędna, aby miały prawo do nazwy poezji.

Ale miarą wielkości poezji jest i pozostanie na zawsze wielkość myśli, w formie pięknej zawartej.

Obejmować zaś ją wzrokiem i wzrost jej wzrostami duszy ścigać, do nas już należy.

Tymczasem wielka poezja Zygmunta Krasińskiego unosi się nad narodem glorią tej chwały, że umysłowość narodowa wzbila się do tych wyżyn, na jakich jedynie powstawać mogą poeci filozoficzni.

Unosi się ona nad nami płomiennym protestem przeciw złemu, niebosiężnym hymnem na cześć dobra, czemś tak bezcielesnym, bezosobistym, świetlistym, że powiedzieć o tem można:

»Po tych strunach Duch przelata,  
Na tych strunach Duch przygrywa,  
Ta pieśń ciszą, zgodą świata«.

O zgodzie i ciszy świata śnił, cierpiał od »gwałtu nieskończonych marzeń« i »od dni naszych wciąż tak podłych dziejów«, pił zanadto »z krynic, mętnych łzami«.

Dlatego może wydzielona mu z nieskończoności fala krótszą była, niż dla innych. Umarł młodo.

Na niebie ojczyzny został po nim wysoki łuk tęczy z zawieszoną u szczytu harfą Archaniola.

---

## EXCELSIOR!

### I.

— Patrz! patrz! Czy widzisz tego człowieka, który przeciska się przez tłum i za którym spojrzenia tłumy ciągną, jak żelazo za magnesem? To pisarz utalentowany i sławny. Znasz go? Tem lepiej. Może mi o nim cokolwiek powiesz...

— Sam rzekłeś: pisarz utalentowany i sławny.

— Talent i sława to blask; człowiek ten chodzi w płaszczu utkany z blasku. Piękny kostjum, ale co pod nim?

— Człowiek.

— Jaki człowiek?

— Zwyczajny: z ciałem, kośćmi, krwią, nerwami.

— I z duszą także?

— Najpewniej; tylko, jak mniemam, z większą, energiczniejszą, piękniejszą, niż inne.

— To niepewne...

— A cóż pewności tej dostarczyć może?

— Mogłaby jej dostarczyć wiadomość: jak człowiek ten żyć i czynić pragnie?

— Chciałeś powiedzieć: jak żyje i czyni?

— Nie, jak żyć i czynić pragnie.

— Dziękuję! Co za pożytek z pragnień?...

— Przy ważeniu wartości człowieka, one największym ciężarkiem na szalę spadać powinny. Gdyby podobna było przenikać ludzkie wnętrza, należałoby sądzić człowieka więcej wedle tego, czego pragnie i ku czemu dąży, niż wedle tego, co urzeczywistnia i osiąga. Chciałbym wiedzieć: jakie pobudki słynnego pisarza tego dźwigają codziennie ze snu i jakie westchnienia pierś jego podnoszą, gdy oczy zamyka do snu? Bo zważ tylko rozmaitość ogromną pobudek, z którymi ludzie dni rozpoczynają, i żalów, z którymi je kończą! Mogą być pomiędzy niemi złe, dobre, samolubne, ofiarne, blahe, ważne, czyste, występne, bohaterskie i zbrodnicze. Chciałbym wiedzieć: czego mianowicie twórca ten od dnia rozpoczynającego się pożąda i co kończącemu się wyrzuca? Jaką pobudkę gra mu serce zrana i jaką elegję śpiewa wieczorem? Jakim jest główny motyw jego życia, nie tego życia, które widzimy wszyscy, ale tego, które zna on sam jeden? Z jakiego jeziora, głęboko i tajemniczo tkwiącego mu w mózgu, w sercu, w nerwach, jak strumyki z macierzystego gruntu, wypływają te pieśni, w których blasku przebywa on całe życie, jak salę maskaradową, olśniewający, a nieznany?

— Tej tylko wiedzy pragniesz? A fakty, czyny?

— Bardzo ważne; lecz jak winowajcę przed sądowemi kratkami, chciałbym sądzić człowieka mniej wedle czynów, niż wedle zamiarów. Błąd — rzecz powszechna; płatek śniegu, dotknąwszy ziemi, staje się szarym. Niepokalaność bywa często jednoznacznikiem



niedoleństwa, a wyraz: siła — powinienby w mowie ludzkiej rymować z wyrazami: burza i walka. Gdy wichur dmie gwałtownie, zachwiać się łatwo; gdzie stał błyska, tam mogą być zwycięstwa, lecz muszą być i upadki. Z góry więc wiem, że ten człowiek, posiadający siłę, która okryła go blaskiem, błędził; może być nawet, że błędził więcej od innych, bo jest głębszym i więcej wrzącym od innych, zbiornikiem wrażeń, wzruszeń, marzeń, tęsknot i pożądań. Ale idzie mi o to: co w życiu jego jest regułą, a co trafem? Jakiem jest fiolet, na które padają w nim plamy błędów? I co na te plamy spływa: lekceważący uśmiech, czy smutek i wstyd? Czy błąd jest mu kwiatem mile pachnącym, albo robakiem przewiercającym serce? regułą, otrzymującą absoluację w imię zysku, lub rozkoszy, czy momentem, noszącym imię nieszczęścia, a przynajmniej goryczy, zatruwającej rozkosz i zysk? Słowem, wiedząc, że na szali jednej złożył on daninę swojej naturze ludzkiej i jeszcze, swojej naturze wyjątkowej, chcę wiedzieć, co się znajduje na szali drugiej?...

— Cóż się tam, na tej szali, według chęci twoich, znajdować powinno?

— Dobro. To nic, że, jak wiemy wszyscy, znajduje się tam piękno; ono wówczas tylko prowadzi do wniebowzięć i do zmartwychwstań, gdy wschody buduje ku dobru. Postacie dobra są tak rozmaite, jak te linje, barwy i blaski, które przelewają się po niebie i po oceanie, od świtów do zachodów i od zachodów do świtów. Chciałbym wiedzieć, czy w piersi i mózgu tego człowieka, pod wspaniałym płaszczem, którym okryła go sława,

plonie słońce miłości dla tego, co prawdziwe, sprawiedliwe, niewinne, a zgnębione, cierpiące, a wzywające ratunku, słońce tak piekące, że zmusza go iść pod górę w pocie utrudzenia, w zapomnieniu o krwi ran własnych i w poniewierce własnych sił mdlejących? Czy tęskni w nim nieziszczone, lecz wieczne upragnienie nieskazitelnej czystości? Czy rozlegają się w nim gromy gniewów świętych, bo zrywających się do obrony rzeczy wielkich? Czy, jak miecze w niebie poświęcane, przesywają go bóle i trwogi o to, co nie jego własne? Czy jego warsztat piśarski jest jako obłok, w promieniach nad ziemią stojący, albo jak stragan, z nóżkami zanurzonemi w błocie rynkowem?...

— Dosyć! dosyć! cha, cha, cha, cha! I po co to wszystko? I co komu do tego wszystkiego? I któż rozsądny wszystkich tych rzeczy żądać może od tego, którego całem zadaniem życia, całym i jedynym obowiązkiem jest — dobrze pisać! Co mi do tego, jakim człowiek ten jest sam w sobie, czego chce, albo nie chce, co mu jest regułą albo trafem, czy serce swe zapala u słońca, albo u łojowej świeczki, czy pisze dlatego, aby rzucić na ziemię smugę światła, lub sprowadzić do swojej kieszeni garść złota! Co mi tam! Co mi do tego? Pisz dobrze — to dosyć; o resztę nie dbam.

— I jesteś w błędzie. Lekceważące pomijanie duszy człowieka, przed którego talentem i sławą składasz głębokie ukłony, jego przerabia na fetysza, ciebie na balwochwalcę. Najcenniejszym klejnotem człowieka — może jedynym istotnie cennym — jest jego serce. Wobec najwyższej prawdy, do jakiej wzrok ludzki sięgnąć zdoła,

żebrak, który na kamieniu przydrożnym kawalkiem chleba dzieli się z psem zgłodniałym, przewyższa bogactwem Lukullusa, który morduje słowiki, aby ich językami laskotać mile swoje łakomstwo. Wobec tej prawdy, wyższą dostojność posiada prostak z sumieniem białem, niżeli mędrzec z szarem, albo mocarz z czarnem; szczęśliwszym jest usypiający po płaczu, niż po rozpuszcie, przeświecający nagiem ciałem z łachmanów, zdobytych znojem własnym, niż owinięty purpurą, zdartą z ciała bliźniego. Dawać komuś z góry rozgrzeszenie za zło, byleby tylko jakąś specjalną rzecz czynił dobrze, znaczy to krzywdzić go w tem, co dla niego najdroższe. Cieszysz się, jeżeli szewc, wybornie robiący buty, okaże się równie wybornym człowiekiem. Stawiasz więc niżej mózg, snujący myśli, od ręki, wyciągającej dratwę. Dlaczegoż tak ubliżasz przedmiotowi swoich hołdów? To jedno; a drugie, że człowiek nie jest zbiorem gratów, bez ładu na kupę rzuconych, i z których każdy sterczy zosobna, lecz organizmem, w którym czynność jednego z organów wpływa na czynności innych, ściśle są z sobą spojenemi. Umysł! charakter! wyobraźnia! serce! Kto doświadczył, jaką falę myśli rzuca do głowy silne uderzenie serca, jak trwoga i troska o przedmiot ukochania budzi i zaostrza zdolność do spostrzeżeń, jak żądza czystych wyżyn przypina skrzydła wyobraźni, jak szlachetne ambicje i silne postanowienia wołają do zemdlnych, zmęczonych, spragnionych usnięcia na różach: »Powstań! wytrwaj! poświęć! znieś!« — kto wszystkiego tego w drobnej chociażby mierze doświadczył, ten wie,

że twórczość umysłowa, potężna i czysta, nie może istnieć obok uczuć i zamiarów lichych i brudnych...

— Przepraszam cię! Istniała nieraz. Świat znalazł nicponiów, którzy pisali bardzo zabawnie i nawet tęgich łotrów, po których zostały dzieła genialne...

— Przypatrz się tylko uważnie tym ostatnim, a odkryjesz Achillesowe pięty, które w nie przeszły z istoty ich autorów. Ani Platon i Arystoteles, ani Dante, Szekspir i Jan z Czarnolesia, nie byli łotrami, a jeżeli historia oskarżyła Franciszka Bacona o kradzież dobra publicznego, Machiavellego o schlebianie tyranji, Goethego o samolubstwo, to może tylko dlatego, że sonda jej jest zbyt krótką i motyka zbyt płytką, aby dosięgać dna tej otchłani, którą jest genjusz, i dobywać z niej czystą prawdę. Co do zabawy i rozrywki, masz słuszną: dostarczali ich światu pisarze najrozmaitszej wartości człowieczej, ale czyliż nie widzisz różnicy, zachodzącej w rozrywce, podawanej przez Arystofanesa i Petroniusza, przez Boccaccia i Swifta, przez Molièr'a i Paul de Kock'a? Komedjopisarze i romansopisarze, noweliści, humoryści bawili i rozśmieszali ludzi, lecz w jakże różny sposób! Czy w jednym z nich, z pod swobodnie rozigranego dowcipu, jak z pod roziskrzzonej w dzień słoneczny powierzchni rzeki błękitnej, nie przegląda majestatyczne oblicze wolnego Greka, który tylko co wrócił z pod Maratonu? A gdy czytasz »Satyrikon«, czy usta twoje, oprócz śmiechu, nie drgają także niesmakami, na widok rozkładu, który sinemi i brunatnemi plamami okrywa duszę arbitra Neronowskiej elegancji,

nie umiejącego ani żyć, ani umierać inaczej, tylko na łonie bachanalij?

Śnił mi się raz Boccaccio, skądinąd sympatyczny i poważny, w postawie siedzącej, z piórem w rękę i z czającą się u boku filuterną, rozczochraną, obnażoną zmysłowością, która szeptała mu do ucha najswawolniejsze powiastki Dekameronu. Po głowie Paul de Kock'a latały bardzo zabawne i trochę cuchnące wiatry galijskiej płochości, a serce jego doskonale w takt uderzało z zegarkami, regulującymi życie episjerów. Człowiek, żył, pragnął ani wyżej, niżej, lecz równiuteńko tak, jak episjer, który szeroko i z całej duszy uśmiechać się mógł tylko do tłustej pieczeni i podkasanej spódniczki.

Swift i Molière, to królowie w krainie śmiechu, który przenika aż do szpiku kości, aż do dna sumienia, aż do najgłębszych komórek mózgowych, i prowadzi stamtąd do oczu łzy, do głowy rozum, do serca żądę dobra i wzgardę dla zła. Tych dwóch, nie znając nawet ich biografji, o poziomość, lekkomyślność, sobkostwo, o żadną gangrenę moralną nie posądzisz, tak, jak i twórcy Don Kiszota, który cię bawi i rozśmiesza, to prawda, lecz nie romansem Opata z Magdą, ani obnażonemi lydkami gryzетки, tylko sprzeciwieństwem, zachodzącym pomiędzy rzeczywistością a ideałem, i widokiem mąk, które po wsze czasy i miejsca rzeczywistość zadaje rycerzom ideału. Uważaj tylko i zapamiętaj sobie, że jednak ani Petroniusza i Paul de Kocka, ani tembardziej wielkiego pod niektórymi względami Boccaccia, nie skazuję na stos lub szubienicę i djabłu w posiadanie oddać nie chcę, za nic nawet nie chcę, bo każdy z nich

w umysłowej ekonomice ludzkości stanowi jakąś cyfrę, sumę ogólnych jej nabytków o jakieś ziarno pomnaża, coś przedstawia, o czemś świadczy, ten i ów przeblask prawdy i piękna, choćby drobny, na świat rzuca. Więc nie o palenie na stosach, ani odmawianie wszelkiej wartości i zasługi iść tu może, lecz o ustanowienie różnicy, o stopnie tej drabiny, na której różni na różnych wysokościach stoją.

— Dlaczego na różnych wysokościach stoją?

— Różne umysły twórców i różne stopnie talentów, — powiadasz. Niezawodnie, lecz nie tylko. Przypomnij sobie, co mówiłem o rannych pobudkach i wieczornych elegjach pisarza, o głównych motywach najtajemniejszej pieśni jego życia, o tem jeziorze wewnętrznem, ukrytem, jemu samemu tylko znanem, i nawet jemu bodaj aż do dna nieznanem, z którego wytryskują jego pieśni, jak strumienie z macierzystego gruntu.

Otóż, gdybyśmy to wszystko poznać i przeniknąć mogli, poznalibyśmy i przeniknęli nie jedyną zapewne, lecz może najważniejszą przyczynę różnic i stopni. Może najważniejszą, bo jeżeli zdolność twórczą porównać można do kopalni klejnotów, to serce, wola, moralny wzlot i nastrój są górnikami, którzy zapuszczają się w tę kopalnię mniej lub więcej głęboko i dobywają z niej brylanty mniejsze lub większe, mniej lub więcej czystej wody. Są one jeszcze jubilerami, bez których pilności, ręce najzręczniejsze nie mogą być dość pilne, ani dość cierpliwe i są też jeszcze skrzydłami, na których waży się duch twórczy i nie opuszcza roboty, ani mdleje lub kona, choć w kopalni duszno, ciemno, czasem krwawo.

II.

Ani odgadnąć, ani zliczyć niepodobna i szkód, i strat, zrządzonych twórczości umysłowej przez zaniedbywanie czystości i podniosłości moralnej, przez niedostateczne filtrowanie potoku uczuć, woli i przyzwyczajzeń twórców. Gwiazdy, gdy raz zabłysną na niebie, przeświecają się w każdej wodzie, lecz jakże różnem jest ich odbicie w fali morskiej, w szybie jeziora, wstędze górskiego potoku, w błotnistej rzeczulce, w kałuży!

Jak gwiazdy, tak twórcze natchnienia są wielkości różnej, lecz czyliż odbicie najdrobniejszej z asteroid w morzu lub górskim potoku nie jest świetniejszym, piękniejszym, pełniejszym drgań i blasku, niż Syrjusza w rzeczulce, zasiedlonej przez żaby, lub w kałuży, zmaczonej przez tłuste cielsko wieprza?

Niesłychaniem żałował zawsze, że aby przypatrzyć się przepysznyim gwiazdom twórczości, które tu i ówdzie świecą w dziełach Zoli, trzeba po kolana stać w błocie. Skąd pochodzi to lubowanie się w malowaniu ohyd i sprośności tak nieprzeparte, że wielkiego artystę pozbawia nieraz wszelkiego poczucia artystycznej miary i niepospolitego myśliciela wprowadza w grube błędy psychologiczne i inne? Dlaczego twórca, bądź co bądź wielki, jest takim przeważnie w dziedzinie najniższych tylko funkcji i żądź człowieka, a ilekroć próbuje przedstawiać onotę, czystość, wzniosłość, staje się podobnym do malarza daltonisty, malującego niebo na żółto lub szaro, bo błękitu nie pozwala mu rozpoznawać, ani naśladować wadliwy ustrój wzroku?

Powiadają niektórzy, że warsztat Zoli to stragan, na którym ekstranaturalizm sprzedaje zgniłe owoce lubownikom ich, nader licznym, więc dostarczającym klienteli nader zyskowej. Niebardzo w to wierzę, ale przypuszczam w istocie moralnej Zoli innego jakiegoś demona, niemniej upartego i potężnego, jak demon pieniężnej chciwości, a nawet istnienia tego demona pewny jestem. Przedarł się on do istoty moralnej nowożytnego pisarza przez szereg wieków i pokoleń od trubadurów, Rabelais'go, Le Sage'a i całej plejady swawolników z końca zeszłego stulecia. Jest to demon galijski; w inną postać przedzierzgnięty, syczał on w ustach Woltera i fosforycznym blaskiem świecił w pięknych oczach George-Sand'a; potężny w Balzaku, stygmatem swym dotknął Flaubert'a, aż w pełne posiadanie swe, szczerzy, niczem niezamaskowany, przez nic nie równoważony, objął Zolę.

Byli jednak tacy, którzy plemiennemu demonowi temu nie ulegli; pozbyć się go zdołali Corneille, Rochefaucauld, Wiktor Hugo i inni. Umieść, bądź łaskaw, na jednym szczeblu drabiny Wiktora Hugo i Zolę, »Nędzników« i »Nanę«, »Doktora Pascala«, »Rok 1793-ci« i »Brzuch Paryża!« A czy potrafisz zmierzyć wzrost dwu tych talentów i powiedzieć napewno, który większy, który mniejszy? Wątpię; oba są ogromne i potężne.

Więc skąd różnica?

Z różnych epok, w których tworzyli, powiadasz. To prawda; każda z nich w inny sposób oddziaływała na ustrój moralny swoich pisarzów i otóż znowu sta-  
nęliśmy u źródlika, którem są: serce, woła, większa lub



mniejsza moc nad plemiennym, albo osobnikowym demonem. Przypatrz się tylko pilnie dobrym i wielkim demonom ludzkości, tym, którzy nie tylko ją bawili, lecz ku wyższym strefom doskonałości i szczęścia wzbijali, a jeżeli nie zawsze, to często zdołasz odkryć tę prawdę, że serca ich zapalonemi były nie u lojowych świeczek, lecz u słońc, nie u balowych żyrandolów, lecz u męczeńskich stosów, że własna ich droga, nieraz zwązając się i od prostego szlaku zbaczając, pięła się jednak coraz wyżej i nieraz, kurzawą ziemską okryta, zmiataną zawsze bywała przez wichry tych podniosłych zgryzot i pożądań, które gładzą grzechy świata...

— Przebacz, że przerwę, ale to, co mówisz, wygląda tak, jakby, według mniemania twego, święci tylko mogli pisać dobre książki!

— Tylko co wspomniałem o zboczeniach i kurzawie. Na równi z innymi, więcej może od innych duch twórczy potrzebuje przebaczenia od ludzi i Boga. Bogatszy, — łatwiej stać się może marnotrawcą, gorętszy — naglej u ognia pokus kipi, czulszy na wszelkie powiewy, — liczniejsze struny im poddaje, lecz jeżeli nie może osiągnąć świętości, trzeba, aby jej pragnął, aby mu błędy jego nie były miłe, aby pobudki jego życia grały coraz wyżej i wznosiły go w sfery uczuć i myśli coraz wyższe, aby sam dla siebie nie był wszystkim, lecz osobę swoją, zawsze malutką, choć tytuł wielkiej noszącą, wiązał silnie z jakąś całością niezmiernie większą, z narodem, ludzkością, ideą, i usiłował jak najpotężniej roztoczyć skrzydła, aby je z sobą unieść jak najwyżej. Wówczas w natchnieniach jego, jak w mo-

rzu rozległem lub potoku wartkim, odbijają się widnokreśli szerokie, krajobrazy rozliczne, dramaty przejmujące, liry szalone pieśniami czarującemi; wówczas, siła uczuć krzesać w nim będzie siłę słowa, a z wielkości myśli powstanie jej trwałość.

Tak, trwałość. Bo jedną z najdziwniejszych zagadek tego rzędu jest efemeryczność niektórych talentów, nawet dużych, które jak meteory przelatują po firmamencie ze świetnym blaskiem i przepadają w wiecznej ciemności. Wątku zabrakło, ale gdzie? W mózgu zapewne, ale dlatego, że serce nie dosyłało do mózgu dosyć krwi. W ogromnej większości wypadków, mózg jest niedokrwisty tam, gdzie serce słabo działa.

— Umilkłeś, a ja, po zastanowieniu, gotów byłbym słuszość ci przyznać, gdybym nie lękał się — staroświecczyny. Wszystko, coś mówił, mocno pachnie staroświecczyną. Pewien znajomy mój, człowiek wielce wykształcony, z umysłem krytycznym, pesymista, sceptyk, wielbiciel Baudelaire'a, Cabulle-Mendès'a, potrosze Zoli także, a Ibsena i wszelkich Skandynawów najbardziej, zwykł mawiać o sobie: »ja, modernista!« albo »my, moderniści!« I wiesz? imponuje to ludziom ogromnie. Raz byłem świadkiem, jak pewna pani, dotychczas żona i matka tak wyborna, że trochę aż na kwoczkę zakrawająca, po kilku z nim rozmowach zaczęła na prawo i lewo flirtować, aby w oczach jego okazać się modernistką. Młodzieniec pewien znowu, wychowany w tradycjach najlepszych i uczuciach najszlachetniejszych, w obecności tego znajomego, o którym mówię, zaparł się ojczyzny, jak św. Piotr Chrystusa, pragnąc tą ceną

wkupić się do cechu modernistów. Inny, zdrów i wesół przedtem, zaczął w tymże celu udawać melancholję i tak dobrze ją udawał, że naprawdę w nią popadł. A pisarze, — ma się rozumieć tacy, którzy jeszcze berła w dłoni nie dzierżą, — Boże! jak się lękają mojego modernisty! »Co! — powiada jeden — pan myśli, że ja w Boga wierzę? Czy pan mię bierze za mego pradziadka?« A drugi: »Utworowi temu zarzuca pan liryzm! Czyliż tak staroświeckim jestem? Niech się pan lepiej wczyta; zobaczy pan, że w gruncie rzeczy ci dwunożni kochają się u mnie zupełnie, jak czworonożni«. A on, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i z uśmieszkiem na ustach wysłuchawszy wiersza Mickiewicza, lub Asnyka, pobłażliwie mówi: »Ładne! ładne!« I zaraz dodaje z litością: »Mais comme c'est vieillot! n'est ce pas?«

Niedawno słyszałem, jak utrzymywał, że scena w więzieniu pomiędzy Winicjuszem i Lygją, w powieści *Quo Vadis*, jest nienaturalną, a nawet zupełnie *contre nature*. Dlaczego? — zapytano. »Jakże! objaśniał z przebiegłym uśmiechem: — kochają się, są we dwoje i — nic. Gdyby to pisał modernista, mielibyśmy mniej lub więcej wiernie przedstawiony obraz sposobu sprawowania na ziemię — nowego jej obywatela. Bo takimi są ludzie, wszyscy na świecie ludzie: gdy tylko kochają się i zostają sam na sam, — zaraz nowy obywatel! A te różne inne rzeczy: gruchania, wzloty, liryzmy, mogą być ładne, bardzo ładne, ale nie są naturą, *ce n'est pas nature et c'est vieux jeu!* Sienkiewicz zresztą bywa często *vieux jeu*. Naprzykład w *Bez Dogmatu*, walka

Anielki z miłością i nawet zwycięstwo nad miłością, — dlaczego? Dlatego, że jest mężatką! że potajemny romans jest brudem, a ona pragnęła pozostać białym łąbędziem! *Est-ce possible?* któż dziś jeszcze w takie rzeczy może wierzyć, a jeszcze się niemi i zachwycać! Otóż to, co znaczy nie być modernistą. Taki talent, taki, można powiedzieć, genjusz, ale nie jest modernistą i wpada we *vieux jeu!*«

Na to jeden z najgorętszych adeptów mojego modernisty zawołał: »To prawda, ileż razy żałowałem, że zamiast *Bez dogmatu*, Sienkiewicz nie dał nam *Brzucha Warszawy!*«

»Albo, ciągnął inny, że Prus zamiast *Lalki* nie napisał *Mejstofeli!*«

Inni ciągnęli dalej gorzkie żale: »Ach, któż literaturę naszą wzbogaci w *Kwiaty grzechu!* Albo w *Les diaboliques!* Jaka tam, panie, jest scena pieczętowania położonej na stole kobiety!... to coś nawet w modernizmie zupełnie osobliwego!«

Tu, młoda panienczka odezwała się, bardzo rozanimowana: »Albo ta Marynia Połaniecka! — ja jej nigdy nie mogłam zrozumieć. Skono tylko spostrzegła, że mąż jej nie jest zupełnie takim, jak trzeba, ciekawam, dlaczego nie mogła tak, jak Nora, powiedzieć wszystkiemu: *adieu!* i wyjść sobie z domu? Nie, cierpiała, znosiła, milczała...« »Aż się nawrócił!« »*Vieux jeu!* Alboż ktokolwiek kiedy się nawraca?«

»Obowiązek, wierność, miłość głęboka i bezinteresowna, która nie potrzebuje nawet przebaczać, bo w grzechu lub występku ukochanego człowieka widzi nie

swoją krzywdę, lecz jego nieszczęście i więcej jeszcze kocha!»

»*Plait-il?* Nie zrozumiałem; pan mówi językiem archaicznym!»

W ten to sposób toczyła się rozmowa, a mój modernista, zadowolony, dumny...

— Powiedz-że mu, kochanku, aby nie był dumnym i szedł spać, bo ani obejrzał się, jak sam stał się staroświeckim. Z takiego modernizmu, jaki on apostołuje — śmieć się! Jeżeli być modernistą znaczy: poznawać i szanować zdobycze umysłowe czasów najnowszych, rozumieć prądy uczuć i myśli, przebiegające społeczeństwa nowożytne, to bardzo dobrze; takiego modernizmu wymagać należy od każdego umysłu wykształconego, od umysłu twórczego także, i może najbardziej. Lecz jeżeli przez modernizm rozumieć ci każą usunięcie z pod stóp ludzkości podstaw duchowych, zdziwaczenie umysłu, zdziczenie obyczajów, histerję smaku; jeżeli ci powiedzą, że modernizm to uwielbienie dla tego, co schlebia zmysłom, a pogardzanie tem, co pokrzepia duszę; jeżeli jako modernizm wskażą ci u pisarza kult najniższych instynktów i rozlewanie przed oczyma ludzkiemi nieścignionych wzrokiem rynsztoków, — śmieć się z tego, że to modernizm, bo rzeczy te znanemi były wszystkim czasom, a naprawdę i bez językowego szarlatanstwa nazywają się — rozpustą.

W tym ruchu wahadłowym, który nieustannie odbywa umysłowość ludzkości, daje się dziś uczuwać silne parcie ku temu, co przez czas pewien ulegało istotnie zaniedbaniu, ponieważ. Społeczeństwa uczuły usu-

wanie się gruntu pod stopami swemi, piśmiennictwa zadrgały pożądaniem chwilowo utraconych z oczu ideałów. Nana już przestaje zasłaniać sobą Joannę D'Arc. Jeszcze trochę, a ludzkość zacznie »nazywać kota kotem, a Rolleta łotrem«; \*) to zaś, co wybornie umieli już praktykować tacy starzy nieboszczycy, jak Lukullus, Petroniusz, Neron, Heliogabal, przestanie uzurpować nazwę modernizmu. Możesz tedy powiedzieć modernistcie swemu, że zaczął już być zupełnie staroświeckim, a tymczasem, odpowiedz mi na jedno pytanie: czy społeczeństwo ojczyste pisanza, od którego rozmowa ta początek wzięła, jest potężnem, bogatym, kwitnącem, słowem szczęśliwym?

— Niech djabli wezmą takie szczęście! Kupa ludzi, po której przejeżdża się koło Fortuny, druzgocąc...

— Nie zdruzgotało jeszcze?

— Dzięki sile moralnej!...

— Powiedziałeś i zapisz to sobie w pamięci. A czy przypadkiem pieśń nie jest jednym ze źródeł tej siły? Lecz kto ma innym grać pobudkę do życia, musi w samym sobie posiadać życie, nie zgniliznę, bo inaczej tony, które z siebie wyda, będą fałszywe, lub słabe. Nie pamiętam, który z pisarzy powiedział: »Poeci, siedząc przy warsztacie czasu, tkają Bogu suknię, dzięki której chwilami go dostrzegamy«. Stosuje się to do piszących i wierszem i prozą.

Sprawić, aby z pod koła Fortuny głowa druzgotana dźwignęła się wysoko i wzrok podniosła ku źró-

---

\*) Nommer un chat-un chat et Rollet un fripon (przysłowie).

dlisku światła, nadziei, pociechy i siły — to zadanie, które drogocnością przynosi płaszcz, utkany z blasków sławy, świetny płaszcz, lecz pod którym może jednak istnieć wiele łez i serdecznych bólów.

Niechże ten płaszcz będzie dla twórczego ducha ozdobą i uciechą, lecz cel istnienia, jego największy trud i zaszczyt, niech mieści on w skierowanym ku innym i ku samemu sobie, coraz pełniejszym i doskonalszem haśle: *Excelsior!*

---

## NIEMEN.

Zdjęcie migawkowe.

Pozdrawiam cię, dawny bohaterze snów moich, błękitny szlaku marzeń, źródłu natchnień żywych, płynny kryształ, który światło słoneczne w pryzmatach swych rozbijasz na iskier nieprzeliczone mirjady; gościńcu wieczny, którym w przeszłość bezpowrotną przez wieki wędrują fale, nigdy powrócić niemające;

zwierciadło czarnoksiężskie, które w swych przezroczach odbijasz dziewicze róże wschodu i królewskie djamenty płynące od zachodu po wieczornych seledynach nieba; które w swych przezroczach odbijasz chmury piorunowe i chmury gradowe, białe stada obłoków, złote słońce i srebrne albo czerwone księżycy;

tafla szkła dźwięczącego, która przez wieki rozbrzmiewasz echami krzyków, wołań, szlochań, westchnień, przekleństw i pieśni tej ziemi;

naszyjniku z roztopionej stali, turkusami we dnie, a gwiazdami w nocy wysadzany, srebrem w pogody, a pianą śnieżystą w burze haftowany; upały letnie przepływający wstęgą chyżą, wyziewającą tchnienie świeżości niewymownej, a na zimowe mrozy przechowywany



w skrzyni trumiennej, szklanej, zimnej, przykrytej pachami śniegu;

pałniku, którego błękitna szata skrętami olbrzymego węża, wśród pól, ziół, drzew, grodów starych, siól spokojnych, gospód gwarliwych, świątyń samotnych, lasów ciemnych, piasków białych, przepasuje łono ziemi szerokiej, smętnej, zadumanej...

O czem zadumanej?

Ach, o tem zapewne, coś ty kryształe płynny, gościńcu wieczny, zwierciadło czarnoksiężskie, taflo dźwięcząca, naszyjniku stalowy, pałniku w długiej szacie błękitnej, coś ty — o Niemnie! — przez czasy minionie widział, słyszał i o tem, co przez czasy inne, z otchłani przeszłości jeszcze nie wyłowione, widzieć i słyszeć będziesz...

Ty szemrzesz, a przepasana tobą ziemia duma o tem, co przeminęło i o tem, co przybywa.

Były takie wieczory, gdy na tle usypiających powiek widywałam cię, jako obraz zjawy dnia minionego najmiłszy i smugą wspaniałą wypływałeś wówczas do sennych marzeń moich, oczyszczając je od mętów i od bólów jawy.

Były poranki, gdy słońce nie wzeszło jeszcze, a ja biegłam ku tobie obudzona i ciekawa, aby z pośrodku traw rośnych ujrzeć, jakim obliczem spotykasz sine świtanie i usłyszeć szmery, westchnienia, dźwięki, które wydaje twe szklane łono, kiedy go dotknie piieszczota różanych palców jutrzunki.

Były godziny, tak ciężkie jak ołów, które łzami tak

palącemi jak roztopionego ołowiu krople, nad brzegiem twym przepłakałam;

i takie, w których po wysokich wyżach nosiły mię nad tobą skrzydła rojeń cudnych, myśli szerokolotnych, natchnień bijących z wnętrza tej ziemi, którą ty przepasujesz;

i takie, które spłynęły mi w pogodzie przyjacielskiego obcowania z poważnym, a nieustannym pochodem fal twoich, ze wzrastającemi u serca twego ziołami, drzewami, ze wszystkim, co wokół ciebie kwitnie, śpiewa, roni blaski, kolory, wonie, roni liście uwiędłe, mrze i zmartwychpowstaje.

Minęły lata i obraz twój widuję już tylko w zwierciadle wyobraźni, ale czas nie zamąca zwierciadła, bo bezprzestannie oczyszcza je i wygładza pracownica nieustrudzona, której na imię: tęsknota.

Z za murów miast wielkich, z za wyniosłych postaci odległych gór, z za morza niezmiernej roztoczy, — z za mgieł smutku nieskończonego, z za błyskawic przełotnych radości — obracałam ku tobie oczy i widywałam cię tak jasno i zupełnie, jak wówczas, gdyśmy na siebie wzajem, twarzą w twarz przeciągle patrzali.

Trzymam w ręku puhar, garncem gorzkości i kroplą słodkości nalany, któremu na imię: życie. Z za ścian puharu rubinowych, operlonych, rozmigotanych, czy omglonych, objawiasz mi się błękitny, jasny, zupełny, o Niemnie! — bo tęsknię po tobie!

I.

Nigdy, w żadnej innej porze dnia lub nocy, świat nie bywa zakuty w nieruchomość tak doskonałą, jak w chwili, która zbliiska poprzedza wschód letniego słońca.

Uchodzi z powietrza czarność nocna i nabiera ono koloru, będącego czemś pośredniem pomiędzy białością i błękitem, będącego szarością dość silnie błękitem zaprawioną. Światło to jest niepewne, niejednolite, błędnymi pasmami czołga się po ciemnościach i obejmuje drzewa, których postacie stają wyodrębnione, gdy trawy i kwiaty złane są jeszcze w jedną, rzuconą na ziemię plachtę szarą i grubą.

Za ogrodem, na polach, stoją gdzieniegdzie topole włoskie, najwyższe ze wszystkiego, co tu rośnie, smukłe, wyprostowane, zgrabne. Zdają się być stróżami, które przez czarną noc wartowały nad polem i gdy noc z nich opada, jeszcze w kamiennej nieruchomości wartowania swego stoją, wyniosłymi czołami, kędyś daleko, za las spoglądają, czegoś z za lasu oczekują i jak rycerze w kamienną postać zakłęci — milczą.

A las, jak ogromny sarkofag czarny, przytłacza wysoką ścianę kotliny, na której dnie leży wstęga szkła zmatowanego gładka i nieruchoma. Niewiedzieć czem wstęga ta jest, bo nic nie zdradza, że jest rzeką. Nic też nie wskazuje, że sarkofag jest lasem, bo tylko szczytowy brzeg jego wygina się w mętne wypukłości i wgłębienia, lecz całość złana w jedną bryłę czarną posiada ciężkość rzeczy z jednego kamienia wykutych.

Wszystko jeszcze, — oprócz wysmukłych wartowników pola, którzy czegoś zza lasu wyglądają, śpi z oddechem tak cichym, że go nie słychać wcale. Tylko powietrzem wstrząsają niekiedy chłodne dreszcze i choć wnet ustają, wzruszone niemi mgły białe wzbijają się od ziemi, coraz wyżej ku błękitowi nieba, poczynającemu blado wzbijać się nad szare świty. Mgły te podobne są do tej pary lekkiej i rozwiewnej, która w zimne powietrze ulatuje ze wzdychających piersi. Można by mniemać, że to ziemia, w nocnym chłodzie zmartwiała, wzdycha ku zbiornikowi ciepła: przybywaj!

Jeszcze nie przybywa. Tylko powietrze staje się coraz bielszem i ściany kotliny poczynają w niem odrzynać się ledwie powstającą zielenią i żółtością.

Na dnie kotliny powstaje też ruch, zrazu bardzo drobny. Jakby coś w drobne pręgi mat szklanej wstęgi posiekało; jakby głębiej jej zanurkowało cierpienie i powierzchnię w gęste zmarszczki wyrznięło, lecz widać zarazem, że te pręgi i zmarszczki są ruchome i że, do robaczków małych podobne, wciąż i szybko pełzną naprzód mrowiskiem, końca nie mającym. Są to fale rzeki. Nie obudziły się ze snu nocnego i nie w tej chwili pochód swój rozpoczynają, bo nie śpią nigdy i wiecznie dniami, nocami, latami, wiekami, idą i idą. Lecz wznoszące światło poranku dobyło je z ciemności i coraz wyraźniej spostrzegać można szybkie umykanie w dal ich półkręgów.

Wtem rozległ się szklany dźwięk i woda plusnęła głośno. Coś od spodu uderzyło o szklaną taflę i wyrzuciło nad nią fontannę płynnego srebra, która wydała

szklany dźwięk. To ryba wyrzuciła się nad dach pałacu i wnet znowu we wnętrzu jego zniknęła, lecz powtarza się to już teraz nieustannie. Wzdłuż rzeki, dalej, to bliżej, tryskają krótkie fontanny srebrne i rozlegają się krótkie dźwięki szklane, woda pluska, fale zataczają tanciec kolisty. Wśród powszechnego milczenia i kamiennej nieruchomości świata, Niemen na szklanych strunach gra i fale jego w sukniach, srebrem migocących, zataczają krótkie, koliste płąsy.

Lecz i sarkofag ogromny, brzemieniem swem uciśkający ścianę kotliny, poczyna stawać się mniej czarnym, mniej ciężkim. Coś poczyna bryłę przeświecać, rozluźniać, wydobywać z niej szczegóły samoistne. Wychodzą na jaw rzeźby coraz wyraźniejsze; rozkuwają się z nocnego zaklęcia liczne postacie. Są to brunatne kolumny sosen i białe kibicie brzóz. U stóp ich na piaskach zawisają wielkie wachlarze podbiałów i podnoszą się bogate pióropusze paproci.

W górze zaś, nad wierzchołkami sosen i brzóz, nad tulającymi się jeszcze gdzie niedzie strzępami mgielek białych, powstaje blada różowość, iść poczyna na blady również błękit nieba, idąc rozszerza się, rozgrzewa błękit, rozgrzewa się sama, wzbiera w kolor i ogień, aż rozkwita pełną różą jutrzni porannej.

Nad rzeźbami lasu stanęła na niebie i przejrzała się w Niemnie, a on odbiwszy ją w sobie, popłynął sam ciecżą rubinów roztopionych. Ogromna barwność zaprawiła wodę. W oddalach srebrny, czy szklany, przed obliczem jutrzni Niemen oblekł się w rumieniec, któ-

rego spodem przeblyskuje błękit nieba, jak wśród zawstydzenia miłosnego ciche o szczęściu marzenie.

Po rzeźbach lasu zaś przechodzą drżenia, bo lekkie wietrzyki latają powietrzem, poruszając trawami, liśćmi, wzniecając wszędzie szmery ciche, szepty stłumione. Nooni stróże pól, topole włoskie, wciąż jeszcze patrząc za las i za jutrzencę, gałęzie, jak ramiona, rozwierają i zamykają, ciesząc się: przybywa! już przybywa!

Nie przybyło jeszcze; tylko z łona róży porannej daleko na niebo wytrysnęło pięć smug różanych. Aurora starych latynów wyciągnęła nad światem pięć boskich swych palców. Błędne różowości rozpraszają się po lesie, po polach i szerzej się rozlewa rumieniec Niemna.

W drzewach podzwaniają rzadkie, senne, nieśmiałe ćwierkania i pogwizdy.

Rajem różowym, oichym, świeżym, niewinnym wydaje się świat.

Wtedy w różowości, świeżości i ciszy wylatuje z nad lasu duży, piękny ptak. Jakby jutrznia go zrodziła i jakby z jej łona wypłynął. Cały srebrny, z podbitami białym atlasem skrzydłami, nieruchomo zawisł na chwilę, pomiędzy różaną jutrznią a rumianym Niemnem. To wczesnie obudzona, po żer lecąca rybitwa. Czas jakiś pływa w powietrzu, królewskimi ruchami srebrnych skrzydeł zatacza szerokie koła, aż lotem prostopadłym i z szybkością strzały spadłszy na rumiane wody, równie szybko, z rozpostartymi skrzydłymi wzbija się nad nie znów, ale nie sama jedna. U dzioba jej, jak promyk srebrny, drga i błyska drobna, konająca rybka...

## II.

Pątnika w błękitnej, niezmiernie długiej, sukni otacza każdego lata orszak niesłychanie liczny i świetny. Prowadzi go królowa Flora, przesiłwana i niedorównana tkaczka, rzeźbiarka i malarka. Pomysłowość jej tak nadzwyczajnie jest bogata, że najbogatsza z wyobraźni ludzkich w podziwieniu przed nią stawać musi, a kunszt tak wysmieniony, że każdy z nieprzeliczonych swych pomysłów przyobleka w formę, która sama w sobie i w stosunku do form otaczających jest dokładnym wyrazem doskonałości. Nie rozróżnia ona w staraniach swych o doskonałą piękność twórców drobnych od wielkich i najdrobniejsze właśnie najwymowniej może świadczyć o niepojętej rozległości warsztatu i niewymownej delikatności twórczych jej palców.

W orszaku, którym otacza pochód błękitnego pątnika, panuje ogromna różnorodność wzrostów, obliczy, tkanin, kolorów. Znajduje się tu mnóstwo rodów, a co ród, to inny, z inną postawą, z innymi rysami, w innych sukniach. Osobniki, z których składają się rody, jakkolwiek licznymi podobieństwami połączone, licznymi też różnicami odrzynają się od osobników innych i każdy z nich żyje życiem własnym, tak jak to być musi w każdym doskonałym dziele każdej wielkiej twórczości.

Idzie orszak królowej Flory niezliczony, wystrojony, wonny, kolorowy przez pola, łąki, lasy, wąwozy. Przez wąwozy. Bo wody Niemna, w wysokich brzegach zamknięte, nie wylewają się w chwilach gwałtownych wezbrań na świat otaczający i nie roznoszą po nim

przerażeń i klęsk powodzi, lecz taranami fal bijąc o ściany brzegów, wydrążają w nich sobie dla ujścia szczeliny, wrota, odślania się robotą wieków: głęboki rozłam ziemi, z dnem strumieniistem i kwiecistem, ze ścianami gdzie niegdzie tak wymytemi przez wodę, że sterczą rzędem nagich, skalistych żeber, gdzie indziej okrytymi zielenią, pełną drzew i wijących się pod drzewami ścieżek białych, które zbiegają w tajemnicze głębie i cienie, lub wspinają się po stromych, czy falistych stokach, ku wyżynom i światłu.

Do wąwozów tych zstępuje z pól słonecznych, lub z lasów cienistych królowa Flora i tak samo, jak pola i lasy, zaludnia je swym tłumnym i strojnym orszakiem.

Są to naprzód wzrostem najmniejsze, lecz liczbą naprzędniejsze istotki, z niepojętą delikatnością wyrzeźbione i gęsto u samego łona okrywające ziemię.

Na obrzeżynach dróg, na łąkach, na miedzach polnych, na pastwiskach, wszędzie, gdzie tylko ziemia ma barwę zieloną, samą podstawę zieloności, lwią jej część stanowi Rdest ptasi, do maluteńkich drzewek podobny, w maleńkości swej wyprostowany i czupurny, gęsto przepleciony przez Bluszcz ziemny o drobno wyząbkowanych, okrągłych listkach. Z pomiędzy Rdestu i Bluszczu dobywają się spiczaste, nakształt szpilek wyostrzone torebki nasienne Bocianich nosków i szeroko rozsiadają się na nich, głuszac je i ciemiężąc, przysadziste, niezgrabne Babki, których kwiat przecież buja wysoko osadzonemi na grubych łodygach kiściami barwy różowawej i miesza się z równemi mu wzrostem okwiatami Dmuchawca, temi kulami zaokrąglonemi ze ścisto-



ścią geometryczną, a złożonemi z tysięcznych piórek, tak lekkich, że oddech dziecięcy rozwiewa je na wsze strony, jak kryształową mgielkę. Na równym poziomie z liśćmi Babek i Dmuchawców żyją tłumy białych, różowych, liljowych koniczyn, lucern, wyczek, wśród których Szelążnik ściele lodygi, okryte guzami do drobnych pieńżków podobnymi i wyższe od niego Jaskry ze szczuplemi, szeroko rozgąbżionemi ramionami, Jaskółcze ziela krzaczyste, Połonki wiotkie, Dziurawce rozłożyste, razem ze Srebrnikami gatunków rozlicznych o liściu pierzastem i lśniącym, osypują ziemię niezliczonemi rojami kwiatów żółtych, w blasku słonecznym świecących czystem złotem. Lecz liczba złotych ócz tych, jakkolwiek ogromna, jest bardzo nieduża w porównaniu z przepastną ilością drobnych, białych gwiazdek, które na Rdesty i Bluszczki, na wyższe od tych rośliny, na niskie krzewy często, na przydrożne nawet kamienie niekiedy rozsypuje Gwiazdnica, ta Stellaria, tak pajęczo wyprzedżiona i tak subtelnie, choć bajecznie bogato ubrana, że zdaje się być przez królową Florę przeznaczona na ślubne wieńce wieszczek. Ten sam niski poziom zaludniają jeszcze Szczawie, rozciągające po trawach smugi miedziano-czerwonych połysków, drobne, a silnie woniejące Mięty, Marzymięty, Miodunki, które pachną miodem, a błękitem naśladują Niezapominajki, pocieszne Krzywoszyjki ze skrzywioną osią i bolejącą miną ledwie dostrzegalnych kwiatków, Rzepice szafranowe, Rozchodniki o tłustych lub szczupłych i bez końca wijących się lodygach, Kocanki w sukniach z edredonowego puchu, Krzyżownicżki, ociekające liljowemi łzami, Kurzyślady i Mu-

szotnawy, rozsypujące na złoto ściernisk drobne klejnoty, wyrżnięte z krwistego koralu.

Na łąkach niziutka i posiadająca wielkość główki od niedużej szpilki rośnie Rosiczka, przemyślna zjadaczka owadów, które zagarnia i więzi za pomocą włosków porastających jej powierzchnię, aby je potem w soku swym rozłożyć i pochłonać. Lud spostrzegł niezmiernie drobne włoski oraz pełnioną przez nie czynność i roślinkę zagarniającą owady nazwał *Zahartuską*. W dni letnie dziewczęta wiejskie w krasnych chustach pełzają po łące, poszukując drobniuchnej Rosiczki, która, w napoju użyta, ma zagarnąć dla nich serca kochanych, a niewzajemnych. To jeden ze słynnych i w skutkach najniemylniejszych *Lubczyków*.

Na polu okrytem dojrzewającymi kłosami, gdy w przedwieczornej porze motyle ze złożonemi jak do pacierza skrzydły, zawisają do snu na kłosach, a kłosy chwieją się pod lekkim tym ciężarem, z samej głębi, z samego dołu zbożowej gęstwiny dobywa się i w zmierzchającym powietrzu rozplywa zapach migdałów. Wydaje go z różowych piersi powój polny, pełzający po zagonach i mnóstwem krętych wici prześlizgujący się wśród podnóży kłosów. Wieńce stulających się przed zmierzchem czarek różanych obejmują stopy kłosów, gdy w kiści ich zawieszane motyle usypiają na fali migdałowej woni.

Tę samą woń rozlewa po lesie *Linea* północna, tak jak powój wśród kłosów polnych pełzająca wśród leśnych borówek, mchów, paproci i tak, jak powój u podnóży kłosów, ścieląca się pokornymi wieńcami pod stopy

drzew. Niekiedy oplata je niemi do wysokości dość znacznej i wówczas, brunatne pnie olbrzymów toną w subtelnym przezroczym drobno jej liścia i różowego kwiecica. Naprzeciwko zaś migdałowej woni Linei, którą królowa Flora z dalekiej Szwecji tu przywiodła, płynie od spodów lasu woń silniejsza, do żadnej innej niepodobna, mocna, upajająca woń Gruszczyki jednokwiatowej, której alabastrówce liczka tu i ówdzie pogładają z najniższego spodu lasu. Walczą z niemi o białość śnieżystą kwiaty poziomki i Srebrnika srebrzystego, a nad wszystko to małeństwo podnosi się wysoko żółty, bujny kwiat Jastrzębca, którego włochate liście, rozkładające się przy samej ziemi, stanowią w lesie, tak jak Rdest ptasi na polu i łące, główną podstawę, lwią część zielonego podścieliska.

Te wszystkie i wiele innych jeszcze tworów tego samego wzrostu, pochod swój u boku Niemna odbywają przy samej ziemi, niziuchno i w gęstym skupieniu; lecz istnieją inne, mniej liczne, a niekiedy rzadkie, wspanialsze, a niekiedy bardzo wspaniałe, mogące stanowić ozdobę i chlubę każdego orszaku królewskiego.

Są niemi np. rozliczne, bujnie i jaskrawo, purpurowo lub liljowo kwitnące Geranje, Przetaczniki kłosowe, jak pióropuszcami wysoko powiewające szafirowymi kiśómi, Przytulje żółte i białe, które nad miedzami polnemi, powyżej kłosów rozwieszają w powietrzu zwoje mglistych koronek, Storczyki, napelniające ustrońia leśne olśniewającą białością i wonią tak mocną, że aż odurzającą; są niemi całe rodziny Tawuł, rozwiewających na wiatr pióra przebogate, bo złożone z niezli-

czonej ilości manizanych na cieniuchne nici gwiazdek białych, całe rodziny Ślazów, które ustronia łąkowe i polne wielkimi twarzami malw wysadzając, czynią z nich potajemne królewskie ogrody.

Do tych wspaniałych należy łąkowa Kalla, z jednym tylko lecz wielkim, z grubego białego atlasu wykrojonym, płatkim, Wiesiołek wysoki, duże, żółte swe oczy szeroko rozwierający w nocy zarówno jak we dnie i dlatego przez lud Świecą nocną nazywany, Chaber wielkokwiatowy, który nad ścieżkami leśnymi pochyla ciężką, szafirowem włosieniem rozczochraną głowę, Złota różga, bujająca w zaroślach więziami jaskrawo pomarańczowych kwiatów i w mowie ludowej nosząca malowniczą nazwę: Iskry, Dzwonek jednostronny, skupiony, rozpięrzchły, szerokolistny, okrągłolistny, pachnący, który na poziomach różnych zasypuje las deszczem ametystów.

Do tych królewskich członków orszaku należą jeszcze Irysy różnobarwne, Mieczyki purpurowe, Nostrzyk, czyli Melilot w sznury pereł ubrany, wzrostem niekiedy przenoszący wysokie krzewy, Carlina, po zaroślach sosnowych rozrzucająca wielkie, żółte gwiazdy, z czarną źrenicą pośrodku, Annika, zawieszająca nad ciemnymi jałowcami okrągłe, jaskrawe twarze.

Na dnie głębokiego wąwozu płynie po różowych kamykach strumyk do srebrnej nitki podobny, tak błyszczący i wąski. Z kamyka na kamyk spadając szemrze, dzwoni. Nad nim rosną olchy rosochate i brzozy szczupłe, tak spowinięte w Chmiel dziki, że mają postać kolumn, bogato oplecionych rzeźbą z wielkiego liścia i buj-

nych gron seledynowego kwiecia. Pod olchami i brzo-  
zami błękitnieją kępy Niezapominajek, a ponad nie,  
na łąkach bardzo wysokich Kozłek lekarski, czyli Wa-  
leriana, wspina aż pod gałęziste sklepienia olch, brzo-  
z i chmielów liljowe, ogromne baldachy. Dalej, zieloność  
łąki, rozslanej pod stopami wysokich ścian wąwozu,  
przystaniają białe koronki baldaszkowatych Biedrzeń-  
ców, Dzienglów, Krwawników, Barszczów, Snitek, Mar-  
chwi dzikich, a zwoje ich, jak bajecznymi broszami, spi-  
nane są kępami gwiazdzistych Orchidei.

Po ciemnym lesie rozlało się jezioro fioletowej  
purpury; widać zdaleka, z pośród pni drzew brunatnych,  
jak ostro odrzyna się od siwych i szmaragdowych  
mchów. To łąk kwitnącej Wierzbówki wązkolistnej, czyli  
Epilobji, do lewkonji ogrodowych podobnej, tylko wy-  
żej od lewkonji podnoszącej swe jaskrawo fioletowe ki-  
ście. Zakwitły Epilobje łąnem gęstym i wysokim, a stopy  
ich otoczył pokorny wianek drobnych Bratków. Poczy-  
niają już przekwitać, wydając nasiona, podobne do tych  
białych pajęczyn, która daleko później prząść zaczną  
po świecie bladozłota jesień. Lud nadał tej Epilobji na-  
zwę Babiego lata. Snują się z dziwnego kwiatu prze-  
dziwnie lekkie przedzie, oplatają kwiaty sąsiednie, które  
z kolei łączą i płaczą swoje z innymi, aż cały łąk fioletu  
staje pod siecią, uplecioną z nici pajęczych. Przez ga-  
łęzie drzew przedarł się promień słońca i sieć pajęcza  
zaśnęła srebrem. Duży, ciemny motyl wplątał się w je-  
den z jej splotów, zawisł w srebrzystych okowach, skrzy-  
dła jego, w czerwone pręgi wymalowane, boleśnie  
drgają...

### III.

Południe. Jakby ognisty glob niebieski spadł na rzekę i powierzchnię jej osypał niepojętem mnóstwem rozplamionych okruch! Ale nie! Słońce pała pośrodku firmamentu, a tylko promienie jego łamią się i rozkruszają na falach w olśniewające iskry. Każda fala ma swoją wielką drgającą iskrę i płynie z nią, jak rozgorzała w szalonej radości żrenicą. Od tej szerokiej, płynnej smugi błękitu i ognia bije w powietrze luna złotawa. Powódź światła zalewa ziemię, chór blasków wzbija nad ziemią triumfujące: Gloria!

W powodzi światła, w chórze blasków, na płynnej smudze błękitu i ognia kipi wezbrane życie. Jest ona teraz gościńcem, po którym nie same jedne tylko biegną fale, o rozgorzałych w słonecznym upale żrenicach. Suną po nim, fale te ciężko przytłaczając, szerokie i długie tratwy, w mowie miejscowej noszące nazwę płytów. Słońce tak je wyzlaca, że mają pozór statków bajecznych, naładowanych sztabami złota. Jakby Kalif Harun al Raszyd podarki ślubne słał ulubionej królownie. Są to tymczasem trupy ściętych daleko i daleko uwożonych drzew. Nad niemi z ognisk flisackich wzlatują sine mgielki dymów; dokoła nich jaskółkom podobne, przemykają, albo kołyszą się na fali drobne czółna rybackie; gdzie indziej z ogromnym pluskiem wody rozlegają się wesole krzyki i śmiechy kąpiących się dzieci wiejskich. Od wsi, która wieńcem chat szarych i drzew srebrnozielonych osiadła u szczytu wybrzeża, bucha gwar głosów zwierzęcych i ludzkich; pochwytuje go las ciemny

i roznosi echami po głębiach swych, które wzamian przysyłają tu dalekie hukania, wołania, chwilami w krzyk szalonej radości wzbierający szczebiot ptactwa. Pomiedzy płytami i czołnami zawiązują się rozmowy. Idący skrajem wysokiego wybrzeża rzucają głośnie słowa na dół kotłiny, po której dnie błękitnem i wyiskrzonem toczą się gamy głośnych śmiechów. Kędyś z oddali, dochodzą przewlekłe wołania oraczy, na pobliskich drogach turkocą koła wozów, za firanką olch, na łące nadbrzeżnej, zadzwoniły kosy.

Od brzegu świecącego złotym piaskiem, z pomiędzy gęstych sitów i ajerów, wyszła samotna, wspaniała Noświta (*Butonnus Umbelatus*), zbliżyła się ku środkowi rzeki i wysoko nad falami zawiesiła szeroki baldach amarantowych, jakby z wosku tęgiego wyrzeźbionych kwiatów. Stoi samotna, ze stopami utopionemi w wodzie i wysoko podnosi koronę w słońcu lśniącą. Podobne to do żyrandola, z mnóstwem zwisających ogników purpurowych. Potrąca czasem tę świetną, choć samotną istotę lekkie czołenko rybackie, lub ociera się o nią skraj złotego płyty, lecz ona, bardzo silna, po krótkiem drgnięciu stoi znowu wyprostowana i koronę amarantowych świeczek zawiesza nad biegnącemi falami. Potrąciło ją jeszcze skrzydło lecącej jaskółki; nie zachwiała się, ani zgasała, a jaskółka poleciała nad niziuchne półko rozkwitłych u brzegu Grzybieni.

Grzybienie rozkładają na wodzie szerokie wachlarze liści i wznoszą nad wodę bujne kwiaty o cudnym kształcie i cudownej woni, którym mowa pospolita nadaje miano Lilij wodnych. Coś do Lilij wodnych przy-

nęca Jaskółki. Zebrała się gromadka duża tych ptaków z kibicią smukłą, z ruchami zwinnymi i nad wachlarzami liści, nad śnieżnymi koronami kwiatów krąży na skrzydłach, w których czarności słońce krzesze szafirowe błyski. Taniec to jest gromadny, szybki, pełen ruchów kolistych i wdzięcznych, a że rozwija się nisko nad wodą, więc odbija się w wodzie i patrzącemu się z góry zdawać się może, iż na cześć pięknych kwiatów piękne ptaki zataczają dwa koła taneczne, z których jedno jest napowietrzne, a drugie podwodne.

Grzybienie silnie pachną; razem z zapachem ich rozlewają się w powietrzu wonie nadbrzeżnych powojów, mięt, czombrów i topniejącej w leśnych dusznościach żywicy. Skrzydła jaskółek zdają się leniwieć od przesycających gorące powietrze woni, lecz wesoło i wysoko wzbijają się w niem rybitwy, które co chwilę spadają na roziskrzoną wodę i co chwilę z porwanym w niej łupem wznoszą się w powietrze na szeroko roztoczonych skrzydłach srebrnych, białym atlasem podbitych.

Na niebie, na ziemi, na wodzie, w powietrzu, wszystko łśni, błyszczy, goreje, kwitnie, wzlatuje, śmieje się, pachnie. Radość, świetność, życie rozweselone pogodą, rozgrzane ciepłem. Szeroki rozmach twórczych dłoni natury pognał za bory i góry smutki i strachy, ocknął i dźwignął zdrętwiałe boleśnie nadzieje. W kąpieli słonecznej, gorącej i złotej, przeciągnęła się rozkosznie, skurczona od chłódów siła życia i z oblicza jej posiniałego od prochów szarych, wytrysnęła na świat cały struga złotej radości.



Wtem, na iskrzącym błękitie firmamentu ukazał się ptak wielki i, jak czarny kamień, nieruchomo zawisł w powietrzu, nad lasem. Był to jastrząb. Czy tak na złotych wysokościach zawieszony oczyma chciwemi wpatrywał się w głębie leśne? Czy spostrzeżono go na tych głębiach i co się w nich dzieć zaczęło? Niewiadomo.

Złote, gorące, miłosne oko słońca i chciwe, krwią zasłte, krwi łaknące oko drapieżcy, jednocześnie patrzyły w czarę, nalaną polotami, szczebiotami, śpiewami życia. Ptak lotem prostopadłym spadł na las i w gestwinie jego wierzchów zniknął. Na dole lasu, rozległ się krzyk przerażenia i przemieniony w gamę śmiertelnych bólów, trwał długo, potem umilkł...

Coś tam na kwitnącem podłożu leśnem skonało w męczarni.

#### IV.

Gdy pszenica dojrzewa, gdy pod sierp żniwiarki chyli się ostrym wąsem nastrzępiony kłos jęczmienia, gdy o zmrokach, nad śnieżnym łanem gryki uwijają się chyże, kręte, tajemnicze loty nietoperzy, w wieczory ciemne i bezwietrzne, gwiazdami tylko oświetlone, rozpoczyna się na całej długości Niemna dziwne igrzysko ludzi z motylami i motyli z ogniem. I jest to igrzysko po dwakroć śmiertelne.

Od wsi, osiadłej na wysokim brzegu, od innej, która szarzeje w oddali, od trzeciej, dziesiątej, setnej, od zagród i dworów, gdziekolwiek ludzie gromadnie, albo choć trochę gromadnie żyją, ze stoków wybrzeży,

po trawie rośnej, po ścieżkach wydeptanych na stokach, zbiegają ciemne od zmroku wieczornego postacie i cicho, cicho bez rozmów, ani śmiechów, czasem chyba z porozumiewawczym, przytłumionym szeptem, nad wodą pochyleni, zdejmują z łańcuchów lub sznurów łodzie i czółna.

Wieczór powinien być bez księżycy i bez wiatru, cichy, cichy. Ludzie powinni być cisi, bez hałasów, nawet bez głosów. Wiatr, hałas, rozmowy płoszą i odpędzają bohaterkę igrzyska; płoszy ją i odpędza wszelkie światło, oprócz jednego tylko światła, ognisk, rozpalonych na łodziach i czółnach, które ją przyciąga. Ale jedynem będąc, światło to przyciąga ją z siłą nad śmierć mocniejszą. Ogień i ona spotkać się muszą z sobą w uścisku dla niej śmiertelnym, a ludzie z kolei ze zwłok jej uczynią sobie narzędzie mordu.

Kto ona? Motyl. Jaka? Maleńka, śliczna z podłużnymi skrzydłami utkanymi z białej krepy. Jak jej na imię? Jentka, w mowie ludu miejscowego Jacica, a rodzina jej nazywa się Szarańcza. Aż dziwnie pomyśleć, że to śliczne, niewinne stworzenie, takie biedne! jest członkiem tak strasznej rodziny. Skąd przybywa? Z dna Niemna. Jakto? Motyl... z dna rzeki?

W maju, w czerwcu jeszcze, rybacy, w odpowiednie narzędzia zaopatrzeni, szukają na dnach rzeki miejsc, w których Jacica gniazda swe założyła i dobywają na szerokich łopatach warstwy gliniastej ziemi, do plastrów wosku podobne, mniej tylko regularnie od plastrów wosku wyżłobione, a w każdym żłobku zawierające poczwarkę motyla. We wczesnej tej porze lata

Jacica jest jeszcze poczwarką, którą przykrywa tafła płynnego kryształu. W płynnym kryształcie sennie, zaledwie marzy wówczas o życiu motylem.

A życie to ma być krótkie, jak jedna noc lipcowa. W lipcu, w porze, gdy dojrzewają najpóźniej dojrzewające zboża, dostaje skrzydeł i wylatuje nad wodę — na jedną noc, na jedną, cichą, bezwietrzną, w gwiazdy ubraną noc. Jest to właściwie noc miłości i odrodzenia się dla gatunku. Dla osobników, to tylko chwila. Osobniki tego gatunku chwili miłości nie przeżywają. Łączą się w pary, zadatki istnień przyszłych spuszczaają na wodę i same padają na jej powierzchnię, martwe. Na rok przyszły, także same roje takich samych istot wzbijają się znowu nad kryształową swą kolebkę, aby pod gwiazdami, w cichem powietrzu wieczornem żyć, latać, kochać przez chwilę i — dno kryształowej kolebki nowem życiem usiawszy — zginąć.

Nie jest-że to wierny wizerunek w miniaturze innego gatunku ziemskiego, złożonego z istot dużych i mądrych? Ta tylko różnica, że w tym dużym i mądrym gatunku nie wszystkie osobniki mają skrzydła i choćby jedną chwilę lotu.

Związkiem zaś pomiędzy dwoma gatunkami i przyczyną wspólnych igrzysk ich w lipcowe noce jest to, że gatunkiem motylim chciwie żywi się inny znowu gatunek istot, mianowicie: ryby, będący, jak wiadomo, pożądanem pożywieniem gatunku dużego i mądrego.

Gatunek duży i mądry, mianowicie ludzki, dostrzegł, że już poczwarki jacycy ze skutecznością przedziwną wabią ku sobie ryby i dlatego rybacy, z trudem

niemałym, samych już jej gniazd na dnie rzeki poszukują. Ale nic już w kategorii przynęt rybich dorównać nie może tej, którą stanowią zwłoki dojrzałych motyli. Po wysuszeniu, z gliną zmieszane i do rzeki wrzucone, nieomylnie przyciągają tłumy ryb. Są przedmiotem pożądania, są skarbem rybaków.

Bez oczekiwań i niepokojów skarbu osiąść nie można. Nie jeden jest wieczór taki, że choć gwiazdzisty, mroczny i bezwietrzny, jacyca lecieć zaczyna późno, albo i nie leci wcale. Nikt nie zna tajemniczych zegarków, na których wybijają godziny jej wzlotów. Oczekiwanie. Pilne wpatrywanie się w nocną przestrzeń nad rzeką. Czółenko, jak widmo, lekkie, ciemne, ciche pomknęło od wybrzeża ku środkowi rzeki na wywiady: czy leci? Powraca. Po wybrzeżu rozchodzą się szepty: leci! leci! Szepty; głośno mówić nie wolno. Od wszelkich brzmień głośniejszych jacyca pierzcha, ginie w dalekich mrokach, nie wiedzieć gdzie przepada!

Leci! leci! Czy obficie? Obficie! obficie! U dziwnego stworzonka tego, z narodzinami podwodnymi, z życiem migawkowym i śmiercią napowietrzną, nic różnie dziwnem nie jest, jak obfitość wprost niepojęta, z jaką wlatuje, ilekroć wlatuje obficie. Bo czasem jest tego niezbyt wiele. Niewiedzieć jakie skąpstwa, czy katastrofy natury przygubiły ród, rozrost jego liczebny przytłumiły i wówczas ciężka zgryzota dla rybaków; to samo prawie co dla rolników pogorzel pługów i bron.

Ale często, najczęściej, są to mirjady, miljardy, gęsta mgła, której każdy atom jest skrzydlaty. Miarą niejaką tej niezliczoności to być może, że płon parogo-

dzinnego połowu wynosi dla jednego łowcy kilka pudów stworzonek, z których każde waży tyle co szpilka. Powracają przed północą łowcy, z worami na plecach tak ciężkimi, że uginają się pod nimi pleczyste ich ciała. I sąż to ciała człowiecze, czy raczej jakichś istot bajecznych? Bo dwunożne, ciężkie, grube, grubo odziane postacie od włosów do stóp obrosłe są miliardami drobnych skrzydeł. Aż prawie nie widać włosów i odzieży, tak obsiadły je i przytwierdziły się do nich roje białych, krepowych skrzydełek, z których jedno już nieżywe sterczą w nieruchomości sztywnej, a inne drgają jeszcze ostatkiem bolesnego konania.

Jacica obficie leci. Na stojących u brzegu łodziach i czółnach ludzie zapalają złożone tam już wprzód stopy drzewek i chróstów. Odbijają od brzegu, wypływają na rzekę i wkrótce środkiem jej sunąć zaczyna, w niewielkiem oddaleniu wzajemnem, szereg płomiennych punktów.

Las nadbrzeżny, znowu do ogromnego sarkofagu podobny, stoi w nieruchomości kamiennej, odbija się w rzece i szlak jej do połowy czyni zupełnie czarnym; w drugiej połowie obleczony pobłyskami zmatowanej stali, gdzie niegdzie drgają złote odbicia gwiazd. Po stalowym szlaku, nad drgającymi odbiciami gwiazd, płynie szereg płomieni, spowity w białą, ruchomą mgłę. Nad każdym z punktów ognistych widać tę mgłę do wysokości dość znacznej, na której znika i przestrzenie dzielące te punkty, nie mają jej, puste są i ciemne.

Ludzie, siedzący na ciemnych, małych, zwolna posuwających się statkach, nabierają od ognia postaci

widmowych. Blask ognia zaczerwienia ich twarze i wylacza ręce, dokonywające nieustannych, miarowych ruchów. Skrzydlatą ulewę, która zasypuje ich statki, zmiatają oni, wciąż zmiatają do wielkich worów. Zasypuje też im ona odzież, głowy, dostaje się za odzież, do ust, uszu, oczu, które czasem oślepia na chwilę, ale oni na to nie zważają. Garną i garną do worów miljardy drobnych ciałek motyli i płyną, płyną powoli, coraz dalej szeregiem płomiennych punktów, pod czarnym cieniem lasu, po stalowym szlaku wody, nad złotymi odbiciami gwiazd, które roztrącają w tysiące drgających iskier.

Cisza! Cicho na wysokim niebie palą się gwiazdy, cicho nad wodą wyprostowana, zmrokiem opowita, śpi z pogaszonymi żyrandolami samotna Roświta. Czasem, od wsi szarzejącej wysoko, dolatuje kilka tonów skrzypcowych, wnet urwanych, albo w pobliskim wąwozie odzywa się nuta pieśni wędrowniej, spóźnionej, albo kędyś na polu, w dziupli starego dębu, głośno zaszlocha lelak.

Trwa to do północy, za północ, a gdy nad lasem rozkwita róża jutrzeńki, na szklanej wstędze Niemna leży pas szeroki, śnieżnie biały, utkany z nieprzeliczonego mnóstwa pomarłych motyli.

## V.

Tego i tego dnia, o tej i tej godzinie i minucie nastąpić ma zaćmienie słońca.

Wieść ta rozbiegła się wśród ludu i aż na dno jego zapuściła ostrze przest్రachu. Usłyszeli ją nawet

pastuszki najmniejsze i starcy najzgrzybialsii, słyszały żniwiarki z czołami najobfitszym potem oblanemi i gwarzyły o niej wśród żniw i potu, gdyż ta rzecz niesłychana i niesłychanie straszna przyjść miała właśnie zaraz po żniwach. Więc pocóż żniwa, poco trud, poco nadzieja, skoro tak wkrótce słońce zgaśnie, ziemia stanie w ciemnościach i nastąpi skończenie świata? Każda zapowiedź zaćmienia słońca jest dla ludu nadniemeńskiego zapowiedzią skończenia świata. Kościoły napelniają się modlitwami i płaczem, robotom polnym grozi ustanie. Potem wpływy i wyjaśnienia różne koją nieco trwogę, która jednak tylko na dno dusz splywa i tam żyć nie przestaje, przyczajona, sycona krążącemi baśniami o zagrażających słońcu pożarciem, lub rozbiciem, niebieskich smokach, kometach...

Miało to nastąpić zrana, niewiele po wschodzie słońca. Niebo zrazu pochmurne wyjaśniło się pod oczyszczającym je biczem wiatru; z za chmur, błakających się po horyzoncie, złota kula słoneczna wytoczyła się na błękit gorący, gdzie niegdzie poplamiony smugami szarych obłoków.

Żadne złe przeczucie nie malowało się na złotej twarzy słońca; była ona owszem jasna, pogodna, spokojna i szło od niej z łagodnym blaskiem miłe nieupalne ciepło. Trawy i drzewa, niezupełnie z porannej rosy oschłe, świeciły rozsypanymi brylantami; wiatr niesilny szemrał w drzewach i szumiał od niego las; Niemen w głębokiej kotlinie płynął błękitnie, tu i ówdzie odbijając szare smugi obłoków, albo na migotliwe iskry rozkruszając w falach promienie słoneczne. Zdaleka na

zółtych ugorach pasło się rude bydło; u dalekiego również zakrętu Niemna piaszczysty brzeg lśnił wyskrzonym złotem. Aż powieki mrużyły się, tak wielkiem było lśnienie tej wysokiej ściany, stojącej nad wspaniałe zaokrąglającym się błękitnym ramieniem Niemna.

Wszystko było, jak bywa zwykle w pogodny, sierpniowy poranek. Tylko na wybrzeżu, tu i ówdzie stały gromadki ludzkie, od których wiało oczekiwanie skupione i trwożne. Milczały i patrzyły na niebo, na słońce. Rozglądają się po niebie, jakby szukając na niem potwora, który już, już miał powietrzem przyplłynąć i pożreć promienistą kulę niebieską, źródło światła i ciepła. Za gromadkami ludzkimi przybiegały psy wiejskie, żółte lub łaciaste kundle kudłate i z ruchami niespokojnymi, wężąc, biegały po wybrzeżu.

Zamiast wyglądanego potwora, przyplłynęła powietrzem, podłużna smuga chmury mętnej i przysłoniła słońce. Gromadki ludzkie zaruszały się niespokojnie, lecz wnet znieruchomiały znowu i zaświeciły bukietami przybliżonych ku sobie twarzy, tak pobladłych, że aż białych. Zrenice ich rozszerzyły się i osłupiały, oddechy stanęły w piersiach. Bo w powietrzu poczęło zmierzchać i czuć było, że za tą chmurą, która przysłania słońce, staje się coś ciemnego i ciężkiego, że wielki moment przybywa...

Na tle zmierzchu uwypuklały się blade twarze ludzi i, z drżeniem wszystkich członków, tulące się do kolan ludzkich, psy. Drzewa napelniły się śpiesznym trzepotaniem skrzydeł i trwożnymi wołaniami matek ptasich, zlatujących na gniazda. Żalodne ryczenia przychodziły



z dalekich ugorów, po których w bezładnym biegu rozpraszala się ruda trzoda...

W miarę jak zmierzch gęstniał, wody Niemna ciemniały i poczynały toczyć na falach jakieś białawe, trupie połyski. Nie było już na niebie i rzece ani kawałka błękitu, nie było na całym świecie ani kropli zieloności, ani iskry blasku... świat okrywał się ciemnością i nabrzmiewał lękiem. Powietrze kładło się na ziemię nieruchome i chłodne, jak ręce trupie.

Tak upłynęła odrobina czasu, aż z nagłością wielką zmierzch gęsty przemienił się w ciemność zupełną. Była to ciemność czarna, zupełniej i grubiej czarna od najczarniejszej nocy i jednocześnie z tą czarnością spadła cisza zupełniejsza od wszelkich zwykłych ciszy, przypominająca z natarczywością nieodpartą grób, nic, tylko grób. Świat stanął w ciemności, chłodzie i ciszy grobu.

Raz, i jeszcze raz, jak przeciągłe hasło żałoby, ciemność i ciszę przerznęło zawycie psa. Odpowiedziało mu szlochliwe, ostro zakończone żalamentowanie kobiece i potem, przez kilka mgnień oka znowu nic...

Wtem, w oddaleniu dość znacznem, zabrzmiał i potężnie rozplynął się po grobowej ciemności i ciszy, wielki chór głosów silnych, męskich, śpiewających psalm ufności i nadziei.

»Kto się w opiekę poda panu swemu  
A całym sercem szczerze ufa jemu...«

Zdawać się mogło, że od tej nuty chóralnej, uroczystej i od tych słów, z których każde rozbrzmiewało

wyraźnie i odrębnie, ciemność drgnęła i zrzędnęła jej gruba, ponura tkanina. Stało się tak, jak bywa o świtanii, mętnie biało i błękitnawo.

Chór oddalony śpiewał:

»On twoją tarczą, On twój puklerz mocny,  
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,  
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały...«

Jednocześnie w mętnie białem i błękitnawem świetle, z za wysokiej, ciemnej teraz ściany wybrzeża, wychylać się i na zaokrąglone ramię Niemna jeden po drugim wypływać poczęły długie, płaskie płyty, z pozapalaniami ognikami, które drgały i migotały, naksztalt nieśmiały gwiazdek poczynającego się wschodu...

U ogników, coraz wyraźniej zarysowywały się stojące postacie ludzi, wciąż wzbijających w powietrze, które się rozwidniało, chóralną, potężną pieśń.

»Iżes rzekł Panu: Tyś ucieczka moja,  
Sam Bóg najwyższy jest obrona Twoja.

Flisacy to, Lidzianie, czy Nowogrodzianie, lub Mińszczanie, gdy w drodze dalekiej zaskoczył ich na kryształowym gościńcu grobowy moment ziemi, hymn ufności i nadziei wzbili za nią — ku niebu.

Ogromna malowniczość i uroczystość biła od tych wypływających z ciemności i po ciemnych jeszcze wodach posuwających się statkach, światełkach, ludziach i tonach.

Lecz niebo i woda stawały się coraz więcej jasne i błękitne, drzewa wyraźnie oderznięły się od zmroku i jak o wschodzie dnia zaświegotało w nich ptactwo,

aż z okrywających ją zasłon rozebrana, zajaśniała twarz słońca nienaruszona, cała, jak przedtem złota, łagodna i spokojna.

Wówczas z drzew nadbrzeżnych i z lasu wybuchnął ogłuszający krzyk i śpiew ptaków, gamy wesołych śmiechów ludzkich potoczyły się blisko i daleko, zieleność zabłyszczała brylantami, Niemen popłynął błękitem i ogniem, a po falach jego, jaskółkom czy strzałom podobne, mknęły czółenka rybackie i sunęły poważnie płyty pozłoczone, wiozące znowu od Kalifa Bagdadu dla królowny ulubionej sztaby złota w podarunku ślubnym.

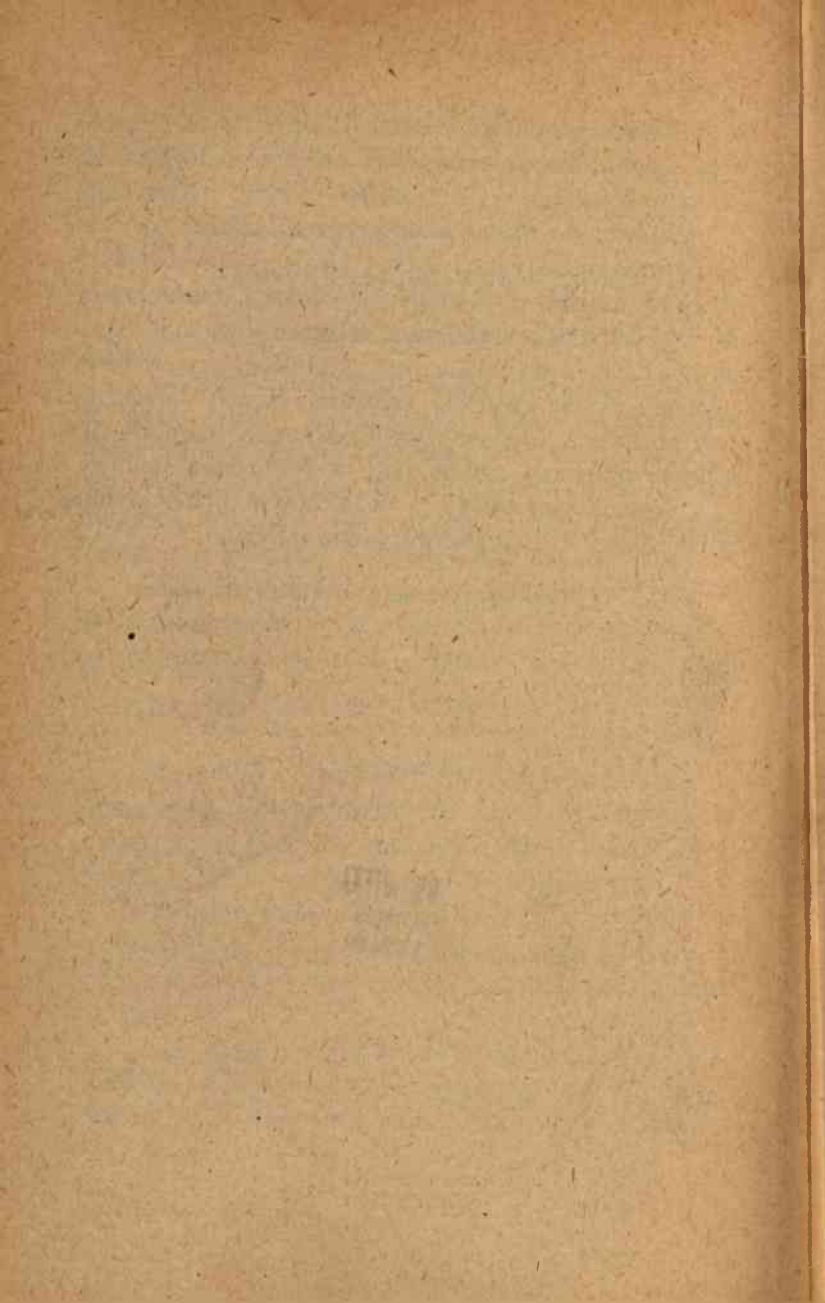
W świat odrodzony, z pozłoczonych płytów wzbija się chóralna nuta ostatniego wiersza hymnu:

— »Dam życie, całość, szczęście i zbawienie!«

---

---

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN



## SPIS RZECZY.

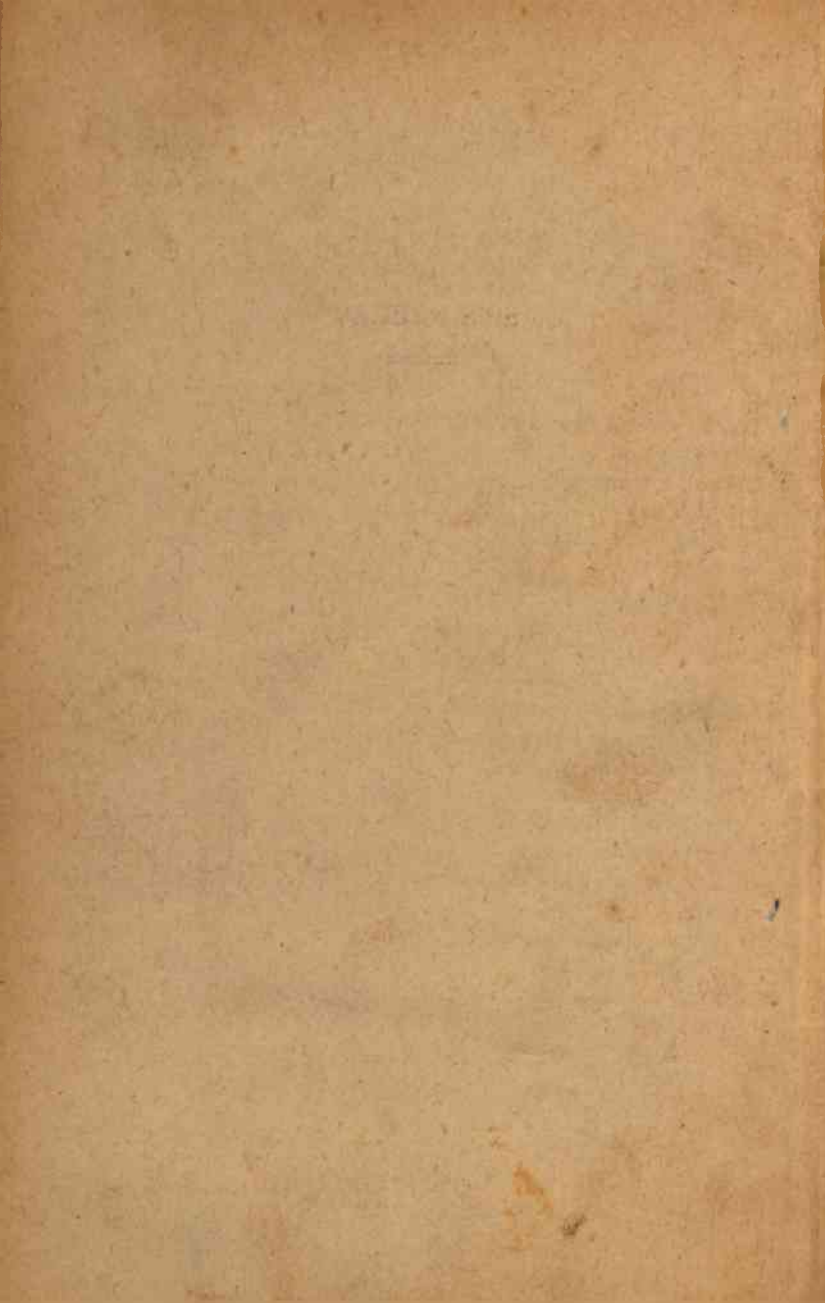
---

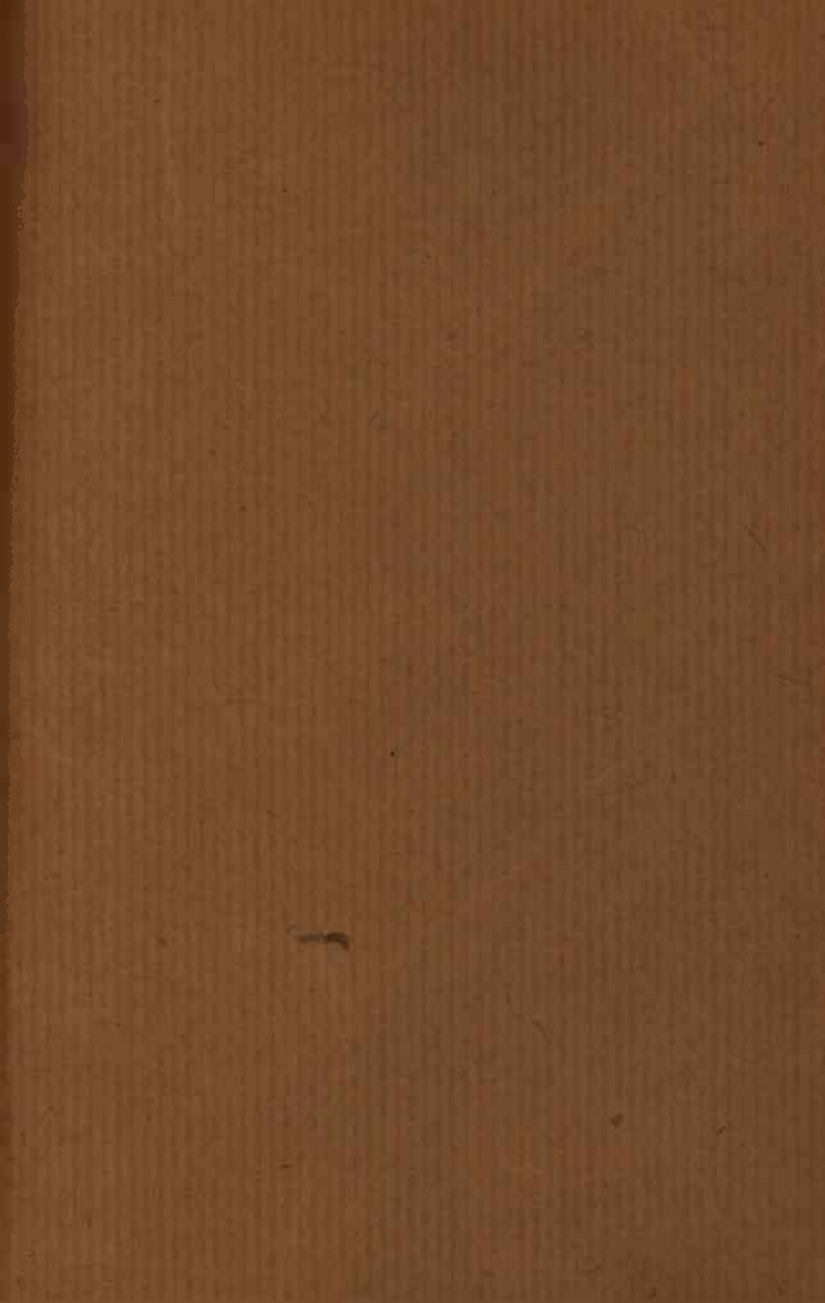
---

	Strona
✓ Trzy uderzenia dzwonu . . . . .	1
Serce dzwonu . . . . .	4
✓ Urywek z rozmowy . . . . .	16
Było ich trzy . . . . .	23
Śpiewna . . . . .	31
Pytanie . . . . .	40
Trzy chwile . . . . .	48
Słowo . . . . .	52
Mowa . . . . .	55
Literatura . . . . .	58
Kilka słów o Słowackim . . . . .	75
M. Konopnicka: »Prometeusz i Syzyf« . . . . .	89
✓ Małe stworzenie . . . . .	100
Z rąk do rąk . . . . .	106
Przypomnij! . . . . .	108
O Janie Kochanowskim . . . . .	112
Na wspaniałej Wilhelmsstrasse . . . . .	137
✓ Muzy . . . . .	143
O Zigmuncie Krasińskim . . . . .	171
Excelsior! . . . . .	191
✓ Niemen . . . . .	208

---

---











Biblioteka Uniwersytetu  
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 19159

BIBLIOTEKA U. M. C. S

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1005023765